

JODI
PICOULT
SAMANTHA
VAN LEER
Z INNEJ BAJKI



Prószyński i S-ka

JODI
PICOULT
SAMANTHA
VAN LEER
Z INNEJ BAJKI

Przełożyła
Magdalena Moltzan-Małkowska

Prószyński i S-ka



Dla Emy,
która zawsze będzie
bohaterką mojej bajki.

Ucałowania,
Sammy

Dla Tima,
ponieważ bajki czasem
stają się rzeczywistością.

Kochająca,
Jodi

OD JODI PICOULT

Byłam na promocji w Los Angeles, kiedy zadzwonił telefon. „Mamo”, powiedziała moja córka Sammy. „Mam chyba świetny pomysł na książkę”.

Nie dziwiło mnie to. Z trójki moich dzieci Sammy zawsze wyróżniała się niezrównaną fantazją. Kiedy inne maluchy bawiły się pluszowymi zwierzątkami, ona rozrzucała zabawki po domu i tworzyła skomplikowane scenariusze – miś jest ranny, utknął na szczycie Mount Everestu i trzeba do niego posłać psa ratownika. W drugiej klasie zadzwonił do mnie jej nauczyciel z pytaniem, czy przepiszę na maszynie opowiadanie Sammy. Podobno miało czterdzieści stron. Córka przyniosła je ze szkoły, a ja spodziewałam się czegoś bez ładu i składu. Tymczasem była to bardzo przemyślana opowieść o rybie i kaczce, które spotykają się nad stawem i zostają przyjaciółkami. Kaczka zaprasza rybę na kolację, a ryba na to jak na lato. Ale potem nadchodzi ją obawa, czy przypadkiem sama nie skończy w roli posiłku.

Panie i panowie, nosi to nazwę KONFLIKTU, i nie sposób się tego nauczyć w szkole. Człowiek rodzi się bajzrem lub nie, a moja córka – w wieku lat siedmiu – posiadała rozwiniętą zdolność budowania napięcia literackiego. Jej zacięcie twórcze rozwija się z wiekiem, a koszmary są tak plastyczne, że zawstydziłaby Stephena Kinga. Jako nastolatka pisze takie wiersze, że gdy zaglądam do własnych wycieczek z tamtego okresu, odpadam w przedbiegach.

Dlatego... kiedy powiedziała mi, że ma ciekawy pomysł na książkę dla młodzieży, nadstawiłam ucha.

I wiecie co? Miała rację.

A gdyby bohaterowie bajki żyli własnym życiem, kiedy książka jest zamknięta? Gdyby akt czytania był tylko wielokrotnym odtwarzaniem tego samego scenariusza... i nie przeszkadzał bohaterom snuć własnych marzeń, nadziei i aspiracji bez związku z rolami, które odgrywają? I gdyby jeden z owych bohaterów rozpaczliwie pragnął wydostać się z książki?

Albo jeszcze lepiej: gdyby zakochana w nim czytelniczka postanowiła mu pomóc?

– Mamo – powiedziała Sammy, gdy przedzierałam się zatłoczonymi ulicami Los Angeles.
– A gdybyśmy tak razem napisały książkę?

– Dobrze – odpowiedziałam. – Ale to znaczy, że *my* piszemy. Nie ja.

Po czym nastąpiły dwa lata weekendów, wakacji i wieczorów spędzonych przy moim komputerze na mozolnym dopracowywaniu historii. Sammy chyba nie podejrzewała, jaka to katorga siedzieć i wymyślać, a ja przekonałam się, że chociaż trudno skłonić nastolatkę do posprzątania pokoju, jeszcze trudniej skłonić ją do dokończenia rozdziału, gdy na zewnątrz świeci słońce. Pisałyśmy na zmianę i wypowiadałyśmy każde zdanie na głos. Ja mówiłam jedno, a Sammy wskakiwała z następnym. Najfajniej było, kiedy zaczynałyśmy się przekrzykiwać i odkrywałyśmy, że myślimy dokładnie o tym samym, jakby podczas pracy łączyła nas telepatia.

Zdarza się, że czytam świetną książkę i myślę sobie: rany, że też sama nie wpadłam na ten pomysł. To prawdziwy zaszczyt poczuć to samo w przypadku historii wymyślonej przez własną córkę. Kiedy Sammy zadzwoniła do mnie ze swoim pomysłem, uznałam go za wspaniały. Mam nadzieję, że czytając *Z innej bajki*, pomyślicie to samo.



POCZĄTEK

Dawno, dawno temu, za górami, za lasami mieszkali sobie dzielny król i piękna królowa, tak bardzo zakochani, że gdziekolwiek się udali, ludzie przerywali swoje zajęcia, aby odprowadzić ich wzrokiem. Kłótlive żony wieśniaków nagle zapominały o swarach, mali chłopcy, którzy wkładali dziewczynkom pająki za kołnierz, próbowali skraść im buziaka, a malarze płakali rzewnymi łzami, nie umieli bowiem oddać na płótnie nic, co odzwierciedlałoby czystość uczucia łączącego króla Maurycego i królową Morenę. Wieść niesie, iż dnia, w którym król i królowa dowiedzieli się, że los obdarzy ich dzieckiem, tęcza, jakiej ludzie nie widzieli, opasała królestwo, jakby samo niebo przyłączyło się do świętowania.

Lecz nie wszyscy podzielali radość królewskiej pary. W pieczarze na dalekim krańcu królestwa mieszkał człowiek, który wyrzekł się miłości. Kiedy raz się oparzysz... Przed laty Rapskullio miał nadzieję na swoją bajkę i własne szczęśliwe zakończenie u boku dziewczyny obojętnej na jego blizny i zdeformowane kończyny, która okazała mu życzliwość na przekór całemu światu. W myślach powracał do dnia, gdy banda szkolnych rozrabiaków wepchnęła go w błoto, a smukła, biała dłoń wybawicielki pomogła mu wstać. Ależ uczepił się tego anioła, łudząc się obietnicą życia wraz z nią! Całymi dniami układał wiersze na cześć ukochanej i malował portrety – daleko im było do pierwowzoru – w oczekiwaniu na właściwy moment, aby wyznać jej miłość – po to jedynie, by ujrzeć ją w ramionach mężczyzny, jakim on sam nie miał szans się stać: wysokiego, silnego i skazanego na sukces. Nienawiść owładnęła Rapskulliem i zamieniła mu serce w kamień. Portrety ukochanej ustąpiły miejsca misternym planom zemsty na człowieku, który własnoręcznie zrujnował mu życie: królu Maurycym.

Pewnej nocy u bram królestwa podniósł się krzyk, jakiego dotąd nie słyszano. Ziemia się zatrzęsła, niebo przeszył snop ognia, strzechy stanęły w płomieniach. Król Maurycy i królowa Morena wybiegli z zamku i oczom ich ukazała się potworna bestia o pokrytych łuską skrzydłach niczym żagiel okrętu i oczach czerwonych jak rozżarzone węgle. Buszowała po nieboskłonie, syczała siarkowym oddechem i pluła ogniem. Rapskullio namalował smoka na magicznym płótnie i ten ożył. Król potoczył wzrokiem po zatrwożonych obliczach poddanych i zwrócił się do żony, która z bólu osunęła się na kolana.

– Dziecko – wyszeptwała. – Już czas.

Rozdarty między miłością a poczuciem obowiązku, król nie wahał się ani chwili. Ucałował żonę i pozostawiwszy ją pod opieką służek, obiecał, że zdąży na powitanie syna. Następnie w asyście setki rycerzy w migotliwych zbrojach pogalopował przez most zwodzony mężnie stawić czoło niebezpieczeństwu.

Ale pojedynek ze smokiem to nie przelewki. Widząc, że jego dzielni żołnierze padają jak muchy, król Maurycy zrozumiał, iż musi wziąć sprawy w swoje ręce. Pochwyciwszy lewą dłonią miecz powalonego rycerza, prawą zacisnął na rękojeści własnego i stanął oko w oko z bestią.

W miarę jak noc gęstniała, a pod murami zamku szalała bitewna zawierucha, królowa w bólach wydawała na świat syna. Kiedy dziecię się narodziło, w myśl królewskiej tradycji zjawiły się nadworne wróżki, niosąc dla niego dary. Lśniły ponad głową królowej, a ta odchodziła od zmysłów z bólu i strachu o króla Maurycego.

Pierwsza wróżka spowiła łożę poświęcą o takiej jasności, że królowa musiała odwrócić wzrok.

– Daję temu dziecku mądrość – powiedziała.

Druga wróżka zesłała obłok gorącego powietrza, które otoczyło królową.

– Daję temu dziecku lojalność – obiecała.

Trzecia wróżka zamierzała obdarować dziecię odwagą na miarę królewskiego potomka, ale nim zdążyła się odezwać, królowa Morena usiadła z rozmachem na łóżku, mając wizję małżonka na polu bitwy, uwięzionego w smoczych szponach.

– Błagam! – krzyknęła. – Ratujcie go!

Zdziwione wróżki wymieniły spojrzenia. Noworodek leżał cichy i nieruchomy. Obsypały go prezentami, a on jeszcze nawet nie zaczerpnął powietrza! Trzecia wróżka odłożyła na bok męstwo, które zamierzała nań zesłać.

– Daję temu dziecku życie – oznajmiła i słowo pofrunęło złotym obłoczkiem w jej dłoń, skąd zdmuchnęła je prosto w usta maleństwa.

W królestwie mówiono, że w chwili gdy książę Oliver wydał swój pierwszy okrzyk, król Maurycy wydał ostatni.

Nielatwo dorastać bez ojca. Książę Oliver skończył szesnaście lat, ale tak naprawdę nigdy nie miał szansy być dzieckiem. Zamiast bawić się w berka, musiał nauczyć się szesnastu języków. Zamiast czytać bajki na dobranoc, wykuwał na blachę prawa obowiązujące

w królestwie. Kochał matkę, lecz odnosił wrażenie, że kimkolwiek jest, nigdy nie stanie się mężczyzną, jakiego chciałaby w nim widzieć. Słyszał czasem, że rozmawia z kimś w swojej komnacie, lecz po wejściu do środka zastawał ją samą. Gdy spoglądała na jego czarne włosy i niebieskie oczy, dodając, jak bardzo urósł i przypomina ojca, wydawała się bliska płaczu. Wiedział, że brakowało mu jednej rzeczy, której bohaterski rodzic miał nadto, odwagi. Oliver był bystry i lojalny, jednakże w kwestii męstwa leżał na obu łopatkach. Chcąc uszczęśliwić matkę, usiłował nadrobić ów brak w dwójnasób, zawsze czyniąc to, co do niego należało. W poniedziałki rozstrzygał spory wieśniaków. Wprowadził płodozmian, dzięki czemu nigdy nie zabrakło w spichlerzu ziarna, nawet w środku najsroźszej zimy. We współpracy z Orville'em, nadwornym czarodziejem, stworzył żaroodporną zbroję na wypadek kolejnego smoczego ataku (przy czym mało nie zemdlął ze strachu, kiedy musiał w nią odziany eksperymentalnie przejść przez ognisko). Miał szesnaście lat i był gotów objąć panowanie nad królestwem, lecz ani jego matka, ani poddani nie kwapili się wręczyć mu berło. Nic dziwnego. Rolą króla jest bronić swojego państwa, Oliver zaś nie palił się do potyczki.

Oczywiście znał tego przyczynę. Ojciec jego poległ z mieczem w dłoni: Oliverowi życie było miłe, więc miecz tu jakoś nie pasował. Gdyby chociaż tata zdążył nauczyć go fachu... a tak, matka zabierała mu nawet nóż do masła. Posmak wojaczki dały Oliverowi tylko udawane bijatyki w wieku dziesięciu lat z kumplem o nazwisku Figgins, synem nadwornego piekarza. Razem walczyli na dziedzińcu z wyimaginowanymi smokami i piratami, ale któregoś dnia Figgins jakby się pod ziemię zapadł. (Oliver zachodził w głowę, czy przypadkiem matka nie maczała w tym palców, by uchronić go choćby przed zabawą w wojnę). Po tym incydencie jedynym prawdziwym przyjacielem Olivera stał się bezpański pies, który przybłąkał się tego samego popołudnia, kiedy Figgins wyparował. Chociaż Buła okazał się kompanem przednim, nie mógł pomóc Oliverowi podciągnąć się w sztuce fechtunku. I tak książę w duchu zacierał ręce, że nie dane mu było zaznać gorączki bitewnej, skruszyć kopię z innym rycerzem czy choćby zdzielić kogoś pięścią... bo w głębi serca truchlał ze strachu.

Mogło to trwać dopóty jednakże, dopóki pokój panował w królestwie. To, że smok, zabójca jego ojca, schronił się w górach i nie ujawnił od lat szesnastu, nie wykluczało bynajmniej kolejnej wizyty. A kiedy to się stanie, wyuczone przez księcia języki i prawidła, które kuł do poduszki, bez wsparcia miecza nie będą warte funta kłaków.

Któregoś dnia, gdy sesja sądu dobiegała końca, Buła zaszczekał. Oliver wyteńczył wzrok

przez całą długość sali tronowej i ujrzał samotną postać w czarnej pelerynie. Nieznajomy padł na kolana przed księciem.

– Wasza wysokość – rzucił błagalnie. – Proszę ją ratować!

– Kogo? – spytał odruchowo Oliver. Buła, który znał się na ludziach jak mało kto, warknął i wyszczerzył zęby. – Spokój, piesku – przywołał go do porządku Oliver. Wyciągnął rękę i pomógł tamtemu wstać. Mężczyzna wahał się chwilę, po czym uczeplił się go jak tonący brzytwy. – Jaka krzywdą cię spotkała, dobry człowieku? – spytał książę.

– Mieszkałem z córką w królestwie daleko stąd. Została porwana – wyszeptał nieznajomy. – Szukam kogoś, kto ją uwolni.

Prośba różniła się od tego, co zwykł wysłuchiwać Oliver – że sąsiad ukradł drugiemu kurę albo warzywa na południowym krańcu królestwa rosły wolniej niż na północnym. Książę ujrzał oczami wyobraźni siebie w zbroi, wyruszającego na ratunek damie w opałach – i o mało nie zwrócił obiadu. Skąd tamten biedak miał wiedzieć, że spośród wszystkich książąt świata los rzucił go na dwór największego tchórza?

– Na pewno znajdzie się książę bardziej odpowiedni do tego zadania – stwierdził.

– Wszak ja dopiero raczkuję w tej materii.

– Pierwszy książę, do którego się zwróciłem, miał na głowie wojnę domową. Drugi jechał na spotkanie oblubienicy. Tylko ty jeden zechciałeś mnie wysłuchać.

Oliver miał mętlik w głowie. Świadomość własnego tchórzostwa to jedno, ale co, jeśli prawda wypłynie poza granice królestwa? Jeśli nieznajomy wróci do wioski i rozpowie wszystkim, że książę Oliver ledwo może zwalczyć katar... a co dopiero wroga?

Mężczyzna wziął milczenie Olivera za przejaw wahania i wyjął z zanadru owalny portrecik.

– To Serafina – powiedział.

Oliver w życiu nie widział śliczniejszej dziewczyny. Włosy miała tak jasne, że lśniły jak srebro, a oczy w kolorze królewskiej szaty w odcieniu najpiękniejszego fioletu. Z jej cery bił blask księżycowej poświaty, zmaconej bladą różowością policzków i ust.

Oliver i Serafina. Serafina i Oliver. Nawet nieźle to brzmiało.

– Znajdę ją – obiecał książę.

Buła zadarł pysk i zaskomlił.

– Później będę się martwił – mruknął do niego Oliver.

Nieznajomy, dziękując, zgiął się wpół w ukłonie; kaptur odsłonił na chwilę pokrytą bliznami, szpetną twarz i Buła znów zaszczekał. Po wyjściu ojca dziewczyny Oliver zapadł głębiej w tron i złapał się za głowę, w co też, u licha, się wpakował...

– Wykluczone – oświadczyła stanowczo królowa Morena. – Tam czai się zbyt dużo niebezpieczeństw, Oliverze.

– Tutaj też – zauważył jej syn. – Mógłbym spaść ze schodów. Albo zatruć się dzisiejszą kolacją.

Oczy królowej wypełniły się łzami.

– Nie pora na żarty, Oliverze. Mógłbyś zginąć.

– Nie jestem ojcem.

Zaraz pożałował tych słów. Matka zwiesiła głowę i wytarła oczy.

– Robiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby cię uchronić – szepnęła. – A ty chcesz to zaprzepaścić dla dziewczyny, której nawet nie znasz?

– A jeśli mam ją poznać? Jeśli zakocham się w niej tak, jak ty zakochałaś się w ojcu? Czy nie warto podjąć ryzyka dla miłości?

Podniosła głowę i spojrzała na syna.

– Muszę ci coś powiedzieć – rzekła.

Przez następną godzinę Oliver słuchał jak urzeczony opowieści o chłopcu imieniem Rapskullio i złym człowieku, którym się stał, o smoku i trzech wrózkach, o prezentach, które dostał po urodzeniu, i darze, którego nie dane mu było otrzymać.

– Latami umierałam ze strachu, że Rapskullio kiedyś powróci – wyznała królowa. – I że pozbawi mnie ostatniego dowodu miłości twojego ojca.

– Dowodu?

– Tak, dowodu, Oliverze. Ciebie.

Oliver pokręcił głową.

– Tu nie chodzi o Rapskullia, tylko o dziewczynę o imieniu Serafina.

Królowa Morena ujęła dłoń syna.

– Obiecuj mi, że nie będziesz walczył. Z nikim ani z niczym.

– Nawet gdybym chciał, pewnie nie wiedziałbym jak. Nie obmyśliłem jeszcze planu skutecznego działania – dodał z uśmiechem.

– Los pobłogosławił cię wieloma innymi darami, Oliverze. Jeśli komuś się powiedzie, to

na pewno będziesz ty. – Matka wstała i sięgnęła po rzemyk, który miała zawieszony na szyi.

– Ale na wszelki wypadek noś to przy sobie.

Na końcu rzemienia wisiał okrągły przedmiot, który podała synowi.

– Kompas – powiedział Oliver.

Pokiwała głową.

– Należał do twojego ojca. Dostał go ode mnie. Przechodził w mojej rodzinie z pokolenia na pokolenie. – Spojrzała na syna. – Zamiast wskazywać północ, wskazuje drogę do celu. Twój ojciec nazywał go swoim amuletem.

Oliver pomyślał o dzielnym ojcu jadącym na pojedynek ze smokiem z kompasem zawieszonym na szyi. Owszem, doprowadził go do celu, ale życia mu nie uratował. Księżę przełknął ślinę, głowił się, jak uratuje dziewczę bez choćby miecza u boku.

– Pewnie ojciec nigdy się nie bał – wymamrotał.

– Mawiał, że strach oznacza tylko, iż masz do czego wracać – oznajmiła królowa Morena.

– I powtarzał mi, że boi się cały czas.

Oliver pocałował matkę w policzek i zawiesił kompas na szyi. Wychodząc z sali tronowej, pogodził się z myślą, że bardzo, ale to bardzo skomplikował sobie życie.

OLIVER

Kiedy mówią „Dawno, dawno temu”... kłamią jak z nut.

Żadne tam „dawno temu”. Ani nawet „kiedyś”. Rzecz toczy się setki razy, ilekroć ktoś przewraca kartki tej zakurzonej książki.

– Oliverze – mówi mój najlepszy przyjaciel. – Szach mat.

Podążam za wzrokiem Buły i patrzę na szachownicę, która tak naprawdę nie jest szachownicą, tylko kwadracikami wyrysowanymi na piasku Plaży Szczęśliwych Zakończeń, a uczynne wróżki służą jako wieże, królowe i gońce. W bajce nie ma szachów, więc radzimy sobie, jak możemy, a po grze zawsze musimy posprzątać, aby nikt się nie domyślił, że opowieść kryje coś więcej ponad to, co ujęto w zdania.

Nie pamiętam, kiedy po raz pierwszy zrozumiałem, iż życie w znanej mi postaci to fikcja. Że rola, którą w kółko odgrywam, nie jest niczym innym jak tylko rolą. I że odgrywam ją na użytek osób postronnych, których wielkie, płaskie twarze majaczą nad naszymi głowami z chwilą rozpoczęcia historii. Relacje, jakie tutaj widzicie, bywają inne, niż się zdaje. Gdy nie odgrywamy naszych ról, dostajemy wolną rękę. To nieco skomplikowane. Jestem księciem Oliverem, a zarazem nim nie jestem. Gdy książka się zamyka, mogę przestać udawać, że jestem zakochany w Serafinie lub walczę ze smokiem, i dla odmiany wygłupiam się z Bułą, próbuję specjałów przygotowanych przez królową Morenę albo idę popływać z piratami, którzy tak naprawdę muchy by nie skrzywdzili. Innymi słowy, każdy z nas ma własne życie poza rolą, odgrywaną na użytek Czytelnika. Pozostałym wystarczy, że o tym wiedzą. Mogą bez oporów odgrywać ten sam spektakl i tkwić na scenie nawet po zniknięciu Czytelników. Ale nie ja. Możliwe, że skoro mam swoje życie poza bajką, to samo dotyczy Czytelników, których twarze dryfują nad nami. Oni nie są uwięzieni w książce, więc gdzie właściwie się znajdują? Co robią, kiedy książka się zamyka?

Kiedyś pewien Czytelnik – bardzo młody – zrzucił książkę i otworzyła się na stronie, która opowiadała tylko o mnie. Całą godzinę miałem Innyświat na wyciągnięcie ręki. Te olbrzymy układały drewniane cegły z literami na bokach, tworząc gigantyczne budowle. Kopały rękami w takim samym piasku, jaki mamy na Plaży Szczęśliwych Zakończeń. Miały sztalugi

podobne do sztalug Rapskullia, ale dla odmiany smarowały po papierze rękami umazanymi farbą. Wreszcie jedna z Tamtych, na oko w wieku królowej Moreny, nachyliła się ze zmarszczonymi brwiami.

– Dzieci! Książki trzeba szanować – upomniała i zatrzasnęła mi okładkę przed nosem.



Gdy opowiedziałem reszcie, co widziałem, tylko wzruszyli ramionami. Królowa Morena zaproponowała, abym opowiedział Orville’owi o moich zwidach i poprosił o eliksir nasenny. Buła, mój najlepszy przyjaciel w bajce i poza nią, uwierzył mi na słowo.

– I co z tego, Oliverze? – spytał. – Po co marnować czas i siły na rozmyślanie o czymś, czego nigdy nie zmienisz?

Natychmiast ugryzłem się w język. Buła nie zawsze był psem – pojawia się w bajce jako Figgins, mój najlepszy kumpel z dzieciństwa, którego Rapskullio zamienia w psa. Istnieje tylko wzmianka na ten temat, toteż pozostaje w psiej skórze nawet poza sceną.

Zabiera mi królową.

– Szach mat – oznajmia.

– Dlaczego zawsze ze mną wygrywasz? – Wzdycham.

– Dlaczego mi na to pozwalasz? – odpowiada pytaniem Buła i drapie się za uchem.

– Głupie pchły.

Kiedy pracujemy, on nie mówi, tylko szczeka. I biega za mną jak, uhm, wierny czworonóg. Nikt nie wpadłby na to, że w rzeczywistości rozstawia nas po kątach.

– Chyba widziałem rozdarcie na stronie czterdziestej siódmej – rzucam możliwie obojętnym tonem, choć odkąd je ujrzałem, myślę tylko o tym, żeby tam pójść i dokładnie zbadać sprawę. – Pójdziemy sprawdzić?

– Nie, no znowu. Tylko nie to. – Buła przewraca oczami. – Jesteś jak ten koń pociągowy.

– Wołaliście mnie? – Strzała podbiega kłusem. To mój wierny rumak, a przy tym klasyczny przykład na to, że pozory często mylą. Chociaż na kartach naszego świata tupie i parska niczym ognisty ogier, w istocie to kłębek nerwów z tupetem komara.

Uśmiecham się, bo inaczej pomyśli, że się gniewam. Jest przewrażliwiony.

– Nie, nie wołaliśmy...

– Wyraźnie usłyszałem słowo „koń”...

– To tylko takie wyrażenie – tłumaczy Buła.

– Skoro już tutaj jestem, mówcie prawdę – żąda Strzała i odwraca się tyłem. – Siodło pogrubia mi zad, prawda?

– Ależ skąd – zaprzeczam, Buła zaś energicznie kręci głową.

– Same mięśnie – stwierdza. – Miałem cię spytać, czy ćwiczysz.

– Tylko tak gadasz, żebym się lepiej poczuł. – Strzała pociąga nosem. – Wiedziałem, że tę ostatnią marchewkę mogę sobie darować.

– Wyglądasz szalowo – zapewniam. – Mówię serio. – Ale on nadąsany podrzuca grzywą i odchodzi na drugi koniec plaży.

Buła przewraca się na grzbiet.

– Jeżeli ten durny koń nie przestanie marudzić...

– Właśnie o tym mówię – wpadam mu w słowo. – Może nie musi? Może jest szansa, żeby się stąd wyrwać, być, kim chcesz?

Mam takie marzenie. Trochę to głupie, ale widzę siebie idącego nieznaną ulicą w wiosce, której nigdy przedtem nie widziałem na oczy. Mija mnie dziewczyna; ciemne włosy powiewają za nią jak sztandar i w pośpiechu wpada na mnie z impetem. Gdy pomagam jej wstać, iskra przebiega między nami. Oczy ma w kolorze miodu, a ja wzroku nie mogę od nich oderwać. Nareszcie, mówię, a kiedy ją całuję, ma smak mięty i zimy, który wcale nie przypomina smaku Serafimy...

– Taa, jasne – mówi Buła. – A powiedz ty mi, kim może zostać basset?

– Jesteś psem, bo tak cię przedstawiono. – Nie daję za wygraną. – A gdybyś mógł to zmienić?

Rechocze.

– Zmienić. Zmienić bajkę. A to dobre, Ollie. Skoro o tym mowa, może zamienisz ocean w sok winogronowy i poprawisz syrenom skrzydła?

Niewykluczone, że ma rację, może problem tkwi we mnie. Pozostali sprawiają wrażenie zadowolonych ze swojego losu, chociaż odgrywają role jak aktorzy w sztuce wystawianej przez nieskończoność. Pewnie uważają, iż ludzie w Innymświecie żyją tak samo jak my. Trudno mi uwierzyć, że Czytelnicy dzień w dzień wstają o tej samej porze, jedzą to samo na śniadanie,

godzinami siedzą na jednym krześle, odbywają z rodzicami tę samą rozmowę, po czym idą spać, a rano budzą się i powtarzają wszystko od nowa. Sądziłbym raczej, że prowadzą niezwykle żywy, innymi słowy, są panami swojego losu. Bez przerwy zastanawiam się, jak by to było poczuć, że książka się otwiera, lecz nie błagać królowej o zgodę na wyprawę. Uniknąć pułapki zastawionej przez wróżki i nie wpaść w łapy zbirów. Zakochać się w dziewczynie o oczach w kolorze miodu. Ujrzeć osobę, której nie rozpoznam, i spytać o jej imię. Wcale nie grymaszę. Naprawdę bardziej niż księciem wolałbym być rzeźnikiem. Albo przepłynąć ocean, aby okrzyknięto mnie legendarnym sportowcem. Lub pokłócić się z kimś, kto wpycha się przede mną bez kolejki. Robić cokolwiek byle nie to, co robię, odkąd sięgam pamięcią. Chyba nie pozostaje mi nic innego, jak wierzyć, że świat to coś więcej aniżeli te kartki. A może po prostu chcę wierzyć w to ze wszystkich sił.

Rozglądam się po pozostałych. W przerwach między poszczególnymi aktami ujawniają się prawdziwe charaktery. Jeden z trolli ćwiczy melodię na flecie własnoręcznie wystruganym z bambusa. Wróżki rozwiązują krzyżówki, które układa dla nich kapitan Krab, ale oszukują, zaglądając do kryształowej kuli. A Serafina...

Przesyła mi pocałunek, a ja odpowiadam wymuszonym uśmiechem.



Owszem, jest niczego sobie z tymi srebrzystymi włosami i oczami w kolorze fiołków na łące opodal zamku. Ale stopę ma większą niż iloraz inteligencji. Myśli na przykład, że skoro etatowo ratuję ją z opresji, naprawdę mi na niej zależy.

Powiem wprost: znam gorsze zajęcia niż całowanie ślicznotki. Ale wszystko może człowiekowi zbrzydnąć. Na pewno nie Kocham Serafiny, jednakże ów szczegół chyba umknął jej uwadze. Mam z tego powodu wyrzuty sumienia, bo wiem, że liczy na więcej, niż mogę jej dać po zamknięciu książki.

Obok mnie Buła wydaje długi, żalostny skowyt. Oto drugi powód, dla którego mam wyrzuty sumienia, całując Serafinę. Podkochuje się w niej, odkąd sięgam pamięcią, co dodatkowo pogarsza sprawę. To musi być straszne, patrzeć, jak dzień w dzień na niby zakochuje się w dziewczynie, dla której stracił głowę.

– Wybacz, stary – mówię do niego. – Ona nie wie, że to tylko na pokaz.

– To nie twoja wina – stwierdza oschle. – Robisz, co do ciebie należy.

I jak na zawołanie widzimy oślepiające światło, a niebo pęka wzdłuż.

– Na miejsca! – krzyczy Buła. – Wszyscy na stanowiska! – Pomaga trollom rozebrać most, aby mogły wznieść go na nowo.

Łapię tunikę i nóż. Wróżki podrywają się z szachownicy i skreśliwszy w powietrzu DO ZOBACZENIA, śmigają do lasu.

– Jasne, dzięki – odpowiadam uprzejmie i spieszę do zamku na pierwszą scenę.

Co by się stało, myślę, gdybym się spóźnił? Gdybym zamarudził po drodze i wachał kwiatki przy bramie zamkowej, zamiast stawić się na miejscu w chwili otwarcia książki? Nie dałaby się otworzyć czy bajka rozpoczęłaby się beze mnie?

Na próbę zwalniam kroku, wlokę się noga za nogą. Lecz nagle czuję, że coś przyciąga mnie za tunikę jak magnes, przez kolejne kartki. Szeleszczą, a ja sadzę milowe kroki, niezależnie od własnej woli. Słyszę rzenie Strzały w królewskiej stajni oraz plusk syren umykających w głębinę, i nagle stoję w sali tronowej, tam gdzie zawsze.

– W samą porę – mruczy Buła. W górze widać światłość, ale zamiast odwrócić wzrok, jak mamy w zwyczaju, łypię ukradkiem.

Widzę twarz Czytelniczki, o lekko zamazanych konturach, tak jak słońce wygląda z dna oceanu. I jak nie sposób oderwać oczu od słońca, tak ja patrzę oczarowany.

– Oliverze! – syczy Buła. – Skup się!

Odrywam wzrok od tych oczu w kolorze miodu, od warg rozchylonych lekko, jakby chciała mnie zawołać. Odwracam się, chrząkam i po raz nie wiadomo który wypowiadam pierwszą kwestię.

Kogo?

Nie ja napisałem te słowa; wypowiadam je dłużej, aniżeli sięgam pamięcią. Ruszam ustami, ale dźwięk rozlega się w myślach Czytelnika, nie wydobywa się z mojego gardła. Wszystko, co robimy, rozgrywa się w czyjejs wyobraźni, jakby ruch i odgłosy na naszej maleńkiej, dalekiej scenie znajdowały oddźwięk w głowie Czytelnika. Nie mam pewności, gdzie się tego dowiedziałem – po prostu wiem od zawsze, tak jak wystarczy mi jedno spojrzenie na trawę, by stwierdzić, że jest zielona.

Rapskullio przekonuje mnie, że jest szlachcicem, któremu uprowadzono córkę

– słyszałem tę przemowę tyle razy, że czasem mamroczę wraz z nim. W bajce oczywiście łotr nie ma żadnej córki. Zarzuca przynętę. Ale rzecz jasna nie mogę tego wiedzieć, chociaż odgrywaliśmy tę scenkę tysiąc razy. I gdy niepokieszony nadaje o księżętach – odesłali go z kwitkiem – ja rozmyślałam o dziewczynie, która nas czyta.

Już ją widziałem. Różni się od naszych zwykłych Czytelniczków – matczynych, jak królowa Morena, lub małoletnich, wciąż jeszcze fascynujących się przygodami udreńczonych księżniczek. Ale ta Czytelniczka wygląda... wygląda na moją rówieśniczkę. Dziwne. Przecież musi wiedzieć – jak ja – że bajka nie jest niczym więcej niż bajką. Że szczęśliwe zakończenia nie istnieją.

Buła drepcze po wyfroterowanej marmurowej podłodze i machnąwszy zawzięcie ogonem, staje obok mnie.

Nagle słyszę głos – odległy, jak z tunelu, ale dźwięczny niczym dzwon:

– Delilah, ile razy mam powtarzać... spóźnimy się!

Czasem słyszę, jak mówią. Zwykle nie czytają na głos, lecz zdarzają się rozmowy przy otwartej książce. Uważne słuchanie owocuje sporą wiedzą. Dowiedziałem się, na przykład, że „pchły na noc” to częste pozdrowienie na dobranoc, nawet w pokojach niesprawiających wrażenia zarobaczonych. Poznałem rzeczy, których nie ma u nas: telewizji (rodzice nie cenią jej na równi z książkami), Happy Meal (najwyraźniej nie wszystkie posiłki sprawiają radość, tylko te w kartoniku z zabawką) oraz prysznic (coś, co bierze się przed spaniem i z czego wychodzi się mokrym).

– Zaraz kończę – mówi dziewczyna.

– Czytałaś to setki razy... znasz zakończenie na pamięć! Już, powiedziałam!

Słyszę ich rozmowę nie pierwszy raz; starsza kobieta jest chyba matką Czytelniczki. Zawsze każe Delilah odłożyć książkę i wyjść na zewnątrz. Pospacerować i zaczerpnąć świeżego powietrza. Zadzwoić do koleżanki (niby czym, dzwonkiem?) albo iść do kina (cokolwiek to znaczy). Czekam, aż spełni polecenie matki, ale ona przeważnie znajduje wymówkę, aby nie odrywać się od lektury. Czasem wychodzi z domu, ale gdy tylko wróci, otwiera książkę i czyta dalej. Nie macie pojęcia, jak mnie to dobija: najchętniej uciekłbym z tej książki gdzie pieprz rośnie, ona nie opuszczałaby jej ani na chwilę.

Gdybym mógł porozmawiać z tą Delilah, zapytałbym ją, czy zamieniłaby się ze mną miejscami chociaż na chwilę.

Ale próbowałem już rozmawiać z innymi Czytelnikami. Wierzcie mi, była to pierwsza rzecz, jaką zrobiłem, gdy po raz pierwszy zamarzyło mi się życie w Innymświecie. Gdyby udało mi się zwrócić uwagę któregoś z nich, może miałbym szansę uciec. Lecz oni postrzegają mnie wyłącznie jako część historii, toteż muszę grać tylko swoją rolę. I nawet gdy próbuję wydusić coś w rodzaju: „Wysłuchaj mnie, proszę!”, koniec końców oznajmiam tylko: „Księżniczko, spieszę na ratunek!”, jak jakaś marionetka na sznurku. Gdybym miał szansę uwierzyć, że Czytelnik ujrzy mnie takim, jakim jestem naprawdę – nie takim, jakiego gram – zrobiłbym, no, wszystko. Wrzeszczałbym, ile sił w płucach. Biegałbym w kółko. Podpaliłbym się jak zapalną. Wszystko, byle tylko zwrócił na mnie uwagę.

Wyobrażacie sobie, jakie to uczucie wiecznie mówić i robić to samo, dzień w dzień? Jako książkę Oliver otrzymałem może dar życia... ale nigdy nie miałem szansy żyć.

– Idę – rzuca Delilah przez ramię, a ja uwalniam z płuc powietrze. Co za ulga, że dzisiaj mnie to ominie, nie macie pojęcia.

Książka się zamyka i następuje wir grawitacji, do którego jesteśmy przyzwyczajeni. Łapiemy się, czego popadnie – żyrandoli, nóg od stołu, a w skrajnych przypadkach ogonków liter „g” lub „y”, dopóki kartki nie zastygną bez ruchu.

– Ha – mówię, puszczając zasłonę, której się uczepliłem. – Tym razem się upie...



Ale nie kończę, bo lecę na łeb na szyję, gdy książka otwiera się nagle na ostatniej stronie. Jak za dotknięciem różdżki Serafina lśni obok mnie w błyszczącej sukni. Buła ma na szyi odświętną obrozę ze srebrną kokardą. Podtrzymywaniem kolumn altanki zajęły się trolle, a wróżki kręcą jedwabnymi wstążkami, które wirują na wiatyku od morza. Syreny zebrały się na mieliźnie i rozgoryczone obserwują nasz ślub.

Spuszczam wzrok i nagle oblewa mnie zimny pot.

Szachownica. Nadal tam jest. Oczywiście wróżkowe pionki znikły, lecz kwadraty wyrysowane patykami – namacalny dowód życia toczącego się w książce, gdy nikt do niej nie zagląda – wciąż widnieją na piasku.

Nie wiem, dlaczego książka nie wróciła do punktu wyjścia. Nigdy nie popełnia takich

błędów: ilekroć trafiamy na wskazaną stronę, stajemy tam w pełnym rynsztunku i każdy szczegół jest dopięty na ostatni guzik. Może jednak coś takiego już się zdarzyło, tylko ja nie zwróciłem uwagi. Ale skoro teraz zwróciłem, mógł uczynić to również ktoś inny.

Na przykład Czytelnik.

Delilah.

Oddychaj głęboko, Oliverze, przykazuję sobie w duchu.

– Buła – syczę.

Warczy, ale ja wiem, co ma na myśli. Nie teraz.

Dobra. Nic wielkiego się nie stało. Ludzie szukają w bajkach szczęśliwych zakończeń, a nie szachownic, ledwo widocznych na ostatniej stronie. Ale na wszelki wypadek przyciągam bliżej Serafinę, usiłując zasłonić szachownicę jej powłóczystą suknią. Oczywiście Serafina rozumie to na swój sposób i w to jej graj. Zadziera podbródek i przymyka zalotnie oczęta w oczekiwaniu na pocałunek.

Wszyscy czekają. Trolle, wróżki, syreny. Piraci, którzy skrępowali cumą smoka Pyro.

Czytelniczka również. Jeśli dostanie, czego chce, może zamknie książkę i będzie po sprawie.

Niech ma.

Nachylam się i całuję Serafinę, wsuwam palce w jej włosy i przyciągam dziewczynę bliżej. Czuję, jak wiotczeje w moich ramionach i napiera na mnie ciałem. Może nie jest w moim typie, ale to nie powód, by uchylać się od obowiązków.

– Delilah!

Kiedy ona przysuwa się bliżej, niebo nad nami ciemnieje.

– Dziwne – mruczy.

Opuszcza palec, aż cały nasz świat ugina się pod jego naciskiem. Wstrzymuję oddech w obawie, że mnie zgniecie, ale ona dotyka tylko miejsca na piasku, gdzie widnieje szachownica.

– A to skąd się tutaj wzięło? – pyta.

DELILAH

Jestem dziwna.

Wszyscy tak twierdzą. Pewnie dlatego, bo gdy inne piętnastolatki podniecają się błyszczkami i przystojnymi gwiazdami ekranu, ja wolę zwinąć się na fotelu z książką. Poważnie – byliście ostatnio w liceum? Czemu ktoś o zdrowych zmysłach miałby zadawać się z neandertalczykami z drużyny hokejowej lub napatoczyć na grupkę panienek kocujących w szatni, które z minami kreaterek mody oceniają moje spłowiałe trampki i swetry z lumpeksu? Nie, dzięki: wolę przenosić się w inny świat, a dzieje się to, ilekroć otwieram książkę.



Mama martwi się o mnie, bo jestem odludkiem. Ale to niezupełnie tak. Moja przyjaciółka Jules rozumie mnie jak nikt. To wina mamy, że nie potrafi wyrzeć poza agrafki, które Jules nosi w uszach, i jej różowego irokeza. Ale najfajniejsze z Jules jest to, że kiedy razem idziemy, ona przyciąga spojrzenia.



Rozumie moją fascynację książkami, ma to samo z horrorami klasy B. Umie wyrecytować z pamięci dialogi z *Plazmy*, a popularne dziewczyny z naszej szkoły nazywa „zabójczymi klonami”.

Jules i ja nie jesteśmy popularne. Ja to w ogóle jestem na marginesie popularności i mam

zakaz zbliżania się do wszystkiego, co zasługuje na to miano. Kiedy w zeszłym roku graliśmy na wuefie w softball, machnęłam kijem i zламаłam lewe kolano Allie McAndrews, pierwszej cheerleaderce w szkole. Wypadła z obiegu na sześć tygodni, a koronę królowej balu semestralnego przyjęła o kulach.

Najgorsze, że nawet nie trafiłam w piłkę. Wszyscy, którzy dotychczas mnie tolerowali, nagle mieli powód, aby traktować mnie jak powietrze, wyśmiewać lub pchać na szafkę, gdy szłam korytarzem. Wszyscy oprócz Jules, odkąd przeniosła się do naszej szkoły, tydzień po tym zdarzeniu. Kiedy opowiedziałam jej, dlaczego mnie bojkotują, wybuchnęła śmiechem. „Szkoda, że nie zламаłaś jej obu kolan”, powiedziała.

Jules i ja nie mamy przed sobą tajemnic. Wiem, że ma bzika na punkcie tasiemcowych seriali, a ona wie, że moja mama jest sprzątaczką. Jednego tylko nie powiedziałam Jules – że od tygodnia unikam jej z powodu książki, z którą ostatnio się nie rozstaję.

Bajka dla dzieci z podstawówki.

Jeżeli myślicie, że gwoździem do trumny życia towarzyskiego nastolatki jest rzucić, uhm, pierwszą cheerleaderkę na kolana (dosłownie i w przenośni), radzę poczytać na widoku bajkę w liceum. Czytasz Dostojewskiego, przypinają ci łatkę dziwaka, ale mądrali. Czytasz komiksy, jesteś dziwakiem, ale trendy. Ale bajki to kompletne dno.

Wpadłam na tę książkę miesiąc temu, gdy ukradkiem jadłam w czytelnicy drugie śniadanie. Siedziałam, przeżuwając kanapkę z masłem orzechowym, kiedy moją uwagę zwrócił egzemplarz do góry nogami, wepchnięty byle jak między pozostałe. Chcąc pomóc bibliotekarce, pani Winx, poszłam go poprawić, i aż prąd przeszedł mi przez palce.

Był to sfatygowany, do cna zaczytany egzemplarz – dziwne, że jeszcze nie trafił na coroczną wyprzedaż, gdzie można kupić stare powieści za dziesięć centów. Miał ilustracje – nie uległo wątpliwości, że to bajka – ale tkwił w dziale historycznym z publikacjami na temat pierwszej wojny. A najdziwniejsze było, że nie posiadał kodu kreskowego, żeby go wypożyczyć.

– Pani Winx, czytała pani tę książkę?

– O, dawno temu. Ale wiesz, to bardzo niezwykły egzemplarz. Autorka własnoręcznie namalowała ilustracje i dała go do oprawienia.

– Musi być wart majątek!

– Niekoniecznie – stwierdziła pani Winx. – Pisarka zasłynęła swoimi kryminałami, a to był raczej eksperyment. Prototyp, z którego nic nie wyszło. Na dodatek po tej książce nie

napisała już nic więcej. Bardzo lubiłam jej inne powieści, więc nie mogłam przepuścić takiej okazji, gdy natrafiłam na ten egzemplarz na jakiejś wyprzedazy rupieci. I za bezcen stał się własnością szkoły.

Spojrzałam na okładkę: *Z innej bajki*, Jessamyn Jacobs.

Wypożyczyłam książkę, po czym na przyrodzie schowałam w podręczniku i przeczytałam od deski do deski. To opowieść o księciu Oliverze, który wyrusza na poszukiwanie porwanej księżniczki i zostaje pojmany przez złego Rapskullia. Sęk w tym, że w przeciwieństwie do innych książąt z bajek, Oliver nie lubi podejmować ryzyka. Jego ojciec poległ w bitwie, toteż Oliver wychodzi z założenia, że przezorny zawsze ubezpieczony.

I chyba to ujęło mnie najbardziej. Dowiadujemy się o księciu, że niełatwo wychowywać się bez taty. Z ust mi to wyjął. Mój ojciec wprawdzie nie poległ w bitwie, ale zostawił mamę, kiedy miałam dziesięć lat, i znalazł sobie nową, lepszą rodzinę. Tamtego roku płakała co wieczór. Byłam piątkową uczennicą – nie z powodu szczególnego zamięłowania do szkoły, po prostu nie chciałam dołączyć do grona osób, które sprawiły jej zawód. Musiałyśmy się przenieść do małego domu, a mama harowała jak wół, sprzątając domy dziewcząt, które szczerze mną pogardzały.

Nie będę owijać w bawełnę: pod względem urody Oliver bije na głowę wszystkich chłopaków w mojej szkole. Fakt, jest dwuwymiarowy i ilustrowany – ale sami powiedzcie, czy Wolverine z komiksu to nie ciacho. Ma kruczoczarne włosy, jasne oczy i wydaje się do mnie uśmiechać. Jasne, każda normalna dziewczyna wzięłaby to za znak, że musi częściej wychodzić z domu. Ale ja nie mam dokąd wychodzić.

A do tego jest mądry. Pokonuje jedną przeszkodę za drugą, i to nie mieczem, ale zdrowym rozsądkiem. Na przykład, gdy dostaje się w niewolę trzech obleśnych, spragnionych męskiego towarzystwa syren, obiecuje załatwić im randki w zamian za łupy pochodzące z rozbitych statków. I za pomocą tych rupieci – inni wyrzuciliby je na śmietnik – uwalnia się ze szponów smoka, który zabił mu ojca. Nie jest typowym księciem, o nie: bardziej przypomina człowieka na niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie, jak ja. Chętnie poczytałabym sobie z nim na randce. I umie się całować, w przeciwieństwie do Leonarda Uberhardta, który omal nie połknął mnie w całości przy sali gimnastycznej w siódmej klasie.



W ciągu pierwszego tygodnia przeczytałam książkę tyle razy, że nauczyłam się jej na pamięć; znałam rozkład obrazków na stronach. Śniło mi się, że goni mnie Rapskullio, a kapitan Krab zmusza do chodzenia po desce zawieszanej nad burtą. Co tydzień odnosiłam książkę do biblioteki, zgodnie z regulaminem. Musiałam odczekać jeden dzień, aż wróci na półkę, żeby dać szansę innym. Ale który inny dziewięcioklasista lubi bajki? Książka zawsze czekała na mnie, więc mogłam ją wypożyczyć i ugruntować swoją pozycję szkolnej królowej frajerów.

Mama się martwiła. Czemu ktoś taki jak ja, kto bez trudu „łyknie” tysiąc stron „dorosłej” powieści, ma obsesję na punkcie bajki dla dzieci?

Znałam odpowiedź na to pytanie, lecz zachowywałam ją dla siebie.

Książę Oliver rozumiał mnie jak nikt.

Nigdy go nie poznałam, fakt. I owszem, to postać fikcyjna. Ale był zarazem tym, kogo ludzie chcieli w nim widzieć: niezrównanym bohaterem, wygadany mediator oraz niedościgłym mistrzem ucieczek. Jednakże istniał tylko na kartkach książki i w umyśle jakiejś przypadkowej autorki. I nie wiedział, co to znaczy być wepchniętą do szafki przez bandę oszalałych cheerleaderek i uwięzioną tam, póki woźny nie usłyszał moich wrzasków.

Dzisiaj będzie inaczej, postanawiam, budząc się rano, i wlepiam wzrok w sufit. Przede wszystkim, oddam książkę do biblioteki. W zeszycie do angielskiego napiszę, że w ramach czytania we własnym zakresie pochłaniam *Igrzyska śmierci* (podobnie jak dziewięćdziesiąt osiem procent moich rówieśników), a następnie uzasadnię, dlaczego stawiam na Peetę, a nie na Gale’a. Powiem Jules, że pójdziemy w weekend na maraton „Rocky Horror” w tanim kinie. A na przyrodzie zbiorę się na odwagę, by zagadać do Zacha, mojego partnera do ćwiczeń, który wziął się karmić klasową rosziczkę okruchami tofu i przed ukończeniem dwudziestego pierwszego roku życia pewnie ocali wieloryby.

Tak, szanowni państwo, dzisiaj nastąpi przełom.

Wstaję, biorę prysznic i się ubieram, ale bajka leży na nocnym stoliku, tam gdzie zostawiłam ją przed snem. Tak pewnie czuje się narkoman, myślę, usiłując zwalczyć pokusę

prze czytania jej ten jeden, ostatni raz. Palce mnie świerzbią, po czym wzdy cham z rezygnacją, łapię książkę i chciwie pogrążam się w lekturze. Ale tym razem coś mi nie gra. Jakby coś mnie uwierało, przeszkadzało jak okruch w zębach. Ze zmarszczonym czołem przeglądam dialogi, które brzmią jak zawsze. Zerkam na ilustrację: książkę siedzi na tronie, a pies obok niego na marmurowej posadzce.

– Delilah! – wrzeszczy mama. – Ile razy mam powtarzać... Spóźnimy się!

Mrużę oczy i wbijam wzrok w kartkę. Coś mi tutaj nie pasuje, tylko co?

– Już kończę...

– Czytałaś to setki razy... znasz zakończenie na pamięć! Już, powiedziałam!

Przerzucam kartki i otwieram książkę na ostatniej stronie. Jak mogłam to przeoczyć?

Na lewo od lśniącej sukni księżniczki Serafiny widnieje kratka na piasku. Coś w rodzaju tabeli do gry w bingo. Albo szachownica.

– Dziwne – mówię pod nosem. – A to skąd się tutaj wzięło?

– DELILAH EVE!

Kiedy matka używa mojego drugiego imienia, to nie przelewki. Zamykam książkę, wpycham ją do plecaka i zbiegam na dół na szybkie śniadanie, zanim mama odwiezie mnie do szkoły.

Gdy smaruję grzanekę, mama już płucze kubek po kawie.

– Mamo – zagajam. – Zdarzyło ci się przeczytać książkę, która potem... się zmieniła?

Patrzy przez ramię.

– No, jasne. Kiedy po raz pierwszy przeczytałam *Przeminęło z wiatrem* i Rett zostawił Scarlet, miałam piętnaście lat i uważałam nieodwzajemnioną miłość za szalenie romantyczną. Za drugim razem – czyli zeszłego lata – uznałam, że Scarlet ma nie po kolei w głowie, a Rett to samolubna świnia.

– Nie to miałam na myśli... ty się zmieniłaś, nie książka. – Gryzę grzanekę i popijam ją sokiem pomarańczowym. – Wyobraź sobie, że czytałaś coś sto razy i akcja zawsze toczyła się na statku. A potem któregoś dnia czytasz i rzecz dzieje się na Dzikim Zachodzie.

– Bzdura – odpowiada mama. – Książki nie zmieniają się na naszych oczach.

– Moja owszem – kwituję.

Odwraca się i patrzy na mnie z ukosa, jakby nie mogła się zdecydować, czy łzę, zwariowałam, czy może jedno i drugie.

– Musisz się wyspać, Delilah.

– Mówię poważnie, mamó...

– Po prostu zobaczyłaś coś, na co wcześniej nie zwróciłaś uwagi – stwierdza mama i wkłada kurtkę. – Idziemy.

Ależ ja zwracałam uwagę. Na pewno.

Całą drogę do szkoły trzymam plecak na kolanach. Rozmawiamy o błahostkach – o której mama wróci z pracy, czy przygotowałam się na klasówkę z algebry, czy spadnie śnieg – a ja myślę tylko o szachownicy na piasku, na ostatniej stronie opowiadki.

Zatrzymujemy się przed szkołą.

– Miłego dnia – mówi mama, a ja całuję ją na pożegnanie. Mijam chłopaka podłączonego do słuchawek i grupkę panienek zbitych w kiść. (Serio, czy one kiedykolwiek występują w pojedynkę?).

Obecna „para numer jeden”, Brianna i Angelo – albo BrAngelo, jak są nazywani – zwarła się w uścisku akurat przy mojej szafce.

– Będę tęsknić – obiecuje Brianna.

– Ja za tobą też – mruczy Angelo.

Matko, przecież nie jadą w podróż dookoła świata, tylko idą na lekcje.

Niechcący powiedziałam to na głos i czuję na sobie ich jadowite spojrzenia.

– Znajdź sobie zajęcie – radzi Brianna.

– Albo chłopaka. – Angelo chichocze.

Odchodzą objęci, jedno z ręką w tylnej kieszeni spodni drugiego.

Co gorsza, mają rację. Nie wiedziałabym, co to prawdziwa miłość, nawet gdyby grzmotnęła mnie między oczy. Zważywszy na doświadczenia mojej mamy, prawdę mówiąc, kicham na miłość – ale jakaś część mnie zachodzi w głowę, jakie to uczucie być dla kogoś najważniejszą osobą i tęsknić, kiedy nie ma go obok.

Coś mi łomocze nad uchem; to Jules stoi i wali w szafkę, żeby zwrócić moją uwagę.

– Halo – mówi. – Ziemia do Delilah. – Dzisiaj ma na sobie czarną woalkę i krótką spódniczkę z legginsami, które wyglądają, jakby je potraktowała zyletką. Wygląda jak gnijąca panna młoda. – Gdzie się podziewałaś wczoraj wieczorem? – pyta. – Wysłałam ci z tysiąc wiadomości.

Ociągam się z odpowiedzią. Ukrywam przed Jules moją obsesję na punkcie bajki, ale jeśli

ktoś da wiarę, że książka zmieniła się na moich oczach, będzie to moja najlepsza przyjaciółka.

– Wybacz – mówię. – Wcześniej się położyłam.

– Pisałam ci o Panu Jaroszu.

Czerwienieję. Kiedy ostatnio u mnie nocowała, wyznałam jej o trzeciej nad ranem, że wpadł mi w oko Zach z przyrody.

– Podobno w weekend spotkał się z Mallory Wegman.

Mallory Wegman spotyka się z tyloma chłopakami z naszej klasy, że nosi przezwisko „Haczyk”. Trawię tę informację wraz z faktem, że myślałam o Zachu, nim sięgnęłam rano po książkę, czyli jakieś sto lat temu.

– Rozповіда naokoło, że podsunęła mu prawdziwego hamburgera zamiast wegetariańskiego i odpłynął. Nie pamięta, żeby coś z nią robił.

– To musiała być niezła sztuka – mamroczę. Próbuję uronić w duchu łzę nad moim niedoszłym chłopakiem, ale myślę tylko o Oliverze. – Muszę ci coś powiedzieć – wyznaję nagle.

Jules poważnieje.

– Czytałam książkę i nagle... się zmieniła.

– Wiem, jak to jest – zapewnia Jules. – Pierwszy seans *Atak pomidorów zabójców* odmienił moje życie na zawsze.

– Nie, nie... to nie ja się zmieniłam, tylko książka. – Sięgam do plecaka, wyjmuję opowiadanie i otwieram ją na ostatniej stronie. – Sama zobacz.

Książę? Na swoim miejscu.

Księżniczka? Tak samo.

Buła? Na posterunku.

Szachownica?

Brak.

Była tam niespełna pół godziny temu i nagle jej nie ma.

– Delilah? – Jules patrzy na mnie z niepokojem. – Dobrze się czujesz?

Pot sływa mi po plecach. Zamykam książkę i otwieram ją jeszcze raz; mrugam, żeby lepiej widzieć.

I nic.

Chowam książkę do plecaka i zatrząskuję szafkę.

– Muszę lecieć. – Mijam Jules, gdy rozlega się dzwonek.

Zaznaczam, że nigdy nie kłamie. Nie kradnę. Ani nie wagaruję. Znaczący, jestem chodzącym ideałem.

Tym bardziej więc dziwi to, co robię w następnej chwili. Otóż odwracam się na pięcie i zamiast do klasy, kieruję się w stronę sali gimnastycznej.

Ja, Delilah McPhee.

– Delilah? – Podnoszę wzrok i widzę przed sobą dyrektora. – Czy nie powinnaś być w klasie?

Uśmiecha się. On też nie spodziewa się, że zwagarowałam.

– Uhm... Pani Winx prosiła mnie o przyniesienie książki od pana od wuefu.

– Aha – mówi dyrektor. – Świetnie! – Kiwa ręką, że mogę odejść.

Chwilę patrzę na niego jak zaklęta. Czy naprawdę tak łatwo stać się kimś, kim nie jestem? A potem biegnę na złamanie karku.

Zatrzymuję się dopiero w szatni. Wiem, że o tej porze jest pusta. Siadam na ławce, wydaję książkę i znów ją otwieram.

Prawdziwe bajki nie są dla ludzi o słabych nerwach. Dzieci są zjadane przez czarownice i ścigane przez wilki; kobiety zapadają w śpiączkę i padają ofiarą niegodziwych członków rodziny. Ale cały ten ból i męczarnie wynagradza im zakończenie: długo i szczęśliwie. I nieważne, że na półroczu dostałaś cztery minus z francuskiego i jako jedyna dziewczyna w szkole nie masz pary na bal semestralny. „Długo i szczęśliwie” to balsam na rozkołatane serce. Lecz gdyby owo „długo i szczęśliwie” mogło się zmienić?

Dla mojej mamy się zmieniło. Kiedyś kochała tatę, w przeciwnym razie nie wzięliby ślubu – a teraz nawet nie chce z nim rozmawiać, gdy on dzwoni do mnie z życzeniami na urodziny i Gwiazdkę. Może finał bajek też bywa nie do końca trafny. Może ostatnie zdanie powinno brzmieć raczej: „Pozory często mylą”?

Szachownica wyparowała.

Ze złością zaczynam przerzucać kartki. Na większości obrazków książkę Oliver ma towarzystwo w postaci psa, złego Rapskullia, księżniczki Serafyny. Ale w książce znajduje się jeden, na którym jest zupełnie sam.

Mój ulubiony obrazek.

Widnieje pod koniec opowiadania, po tym gdy Oliver przechytrzył smoka Pyro i pozostawił go w rękach kapitana Kraba oraz piratów. Kiedy ci ostatni ładują smoka na statek, Oliver stoi

sam na brzegu u stóp skalistej ściany, na której szczycie uwięziono w wieży Serafinę. Na obrazku na stronie czterdziestej trzeciej zaczyna się wspinać.

Podnoszę książkę, aby lepiej mu się przyjrzeć. Na kolorowej ilustracji wiatr rozwiewa Oliverowi czarne włosy i książkę pnie się z wysiłkiem po gładkiej skale. Aksamitna tunika w odcieniu butelkowej zieleni wisi na nim w strzępach, przypalona ognistym oddechem Pyra i podarta po rejsie w kajdanach na statku pirackim. Nóż trzyma w zębach, żeby mieć wolne ręce. Twarz ma zwróconą w stronę oceanu, gdzie widać odpływający statek.



Głównym powodem, dla którego przepadam za tym obrazkiem, jest wyraz twarzy Olivera. Można by się spodziewać, że przyświeca mu zawzięta determinacja. Lub miłość do ukochanej księżniczki. Tymczasem on wygląda, jakby... hm... czegoś mu brakowało.

Jakby wolał niemal znaleźć się z powrotem na statku pirackim. Albo gdziekolwiek, byle nie na tej skale.

Jakby coś ukrywał.

Nachylam się i prawie stukam nosem w kartkę. Kolory się zlewają, ale przez chwilę gotowa jestem przysiąc, że wzrok księcia zbacza jakby w moją stronę.

– Chciałabym, żebyś był prawdziwy – szepczę.

Z głośnika brzęczy kolejny dzwonek. Muszę iść na algebrę. Z westchnieniem odkładam otwartą książkę na ławkę. Otwieram plecak i znowu sięgam po bajkę.

I tracę dech.

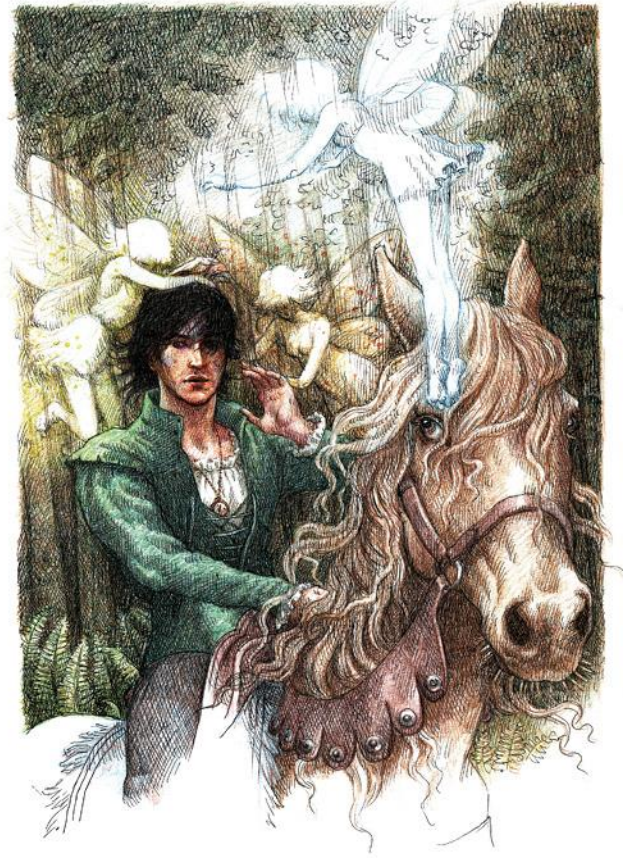
Oliver dalej wspina się po skale, lecz nóż, który trzymał w zębach, jakimś cudem znalazł się w jego prawej dłoni. Ostрым czubkiem wydrapuje coś w granicie; widzę jasną kreskę na ciemnym tle, potem drugą i jeszcze jedną.

„P”

Przecieram oczy. Nie mam przed sobą komputera ani iPada, tylko najzwyklejszą, starą książkę. Żadnej animacji, żadnych efektów specjalnych. Z zapartym tchem dotykam ilustracji i unoszę palec.

Na powierzchni skały z wolna ukazuje się wyryte słowo.

POMOCY.



STRONA 11

Oliver uświadomił sobie, że los mu sprzyja, skoro jego przyszła oblubienica nie zasnęła na sto lat i nie czeka na niego z warkoczem, który przyjdzie mu wykorzystać w roli drabiny. Tak czy inaczej jednak błędził po omacku, nie wiedział bowiem, ani gdzie jej szukać, ani jak tam dotrzeć.

Osiodławszy Strzałę, stanął niepewnie poza murami zamku. Spojrzał na Bułę, który wiernie towarzyszył swojemu panu.

– Którędy, piesku? – spytał na głos. Uznał, że trudno spieszyć na ratunek księżniczce, mając słabe rozeznanie w sytuacji.

Buła zaszczekał i wskazał pyskiem w stronę Zaczarowanego Lasu.

Oliverowi ścierpła skóra. Istotnie, była to najkrótsza droga do chatki czarodzieja Orville'a – jedynej osoby w całym królestwie, która mogła mu pomóc w poszukiwaniach – a zarazem śmiertelnie niebezpieczna. Z ziemi sterczały korzenie, o nie łatwo może potknąć się koń w galopie; drzewa straszyły nisko zwieszonymi gałęziami. Miejscami drzewa rosły tak gęsto, że człowiek nie widział dalej niż na wyciągnięcie ręki, a labirynt zaczarowanych ścieżek prowadził donikąd.

Oliver przymknął oczy i wyobraził sobie księżniczkę Serafinę, która bez jego pomocy uschnie w niewoli u zbira.

Co nie znaczy przecież, że liczy na jego, Olivera, przyjazd...

Sięgnął po zawieszony na szyi kompas i pomyślał o domu, znajdującym się tuż za jego plecami. Może matka miała rację, może lepiej dmuchać na zimne. Jednakże zanim wycofał się z powrotem w bezpieczne zacisze zamku, na wprost jego twarzy zamajaczyło światełko. Zmrużywszy oczy, zobaczył wróżkę. Były to paskudne stworzenia, żerujące na plotce i kłamstewkach. Chodziły słuchy, że potrafią uspić dorosłego mężczyznę, a następnie okraść go ze wszystkich tajemnic. Machnął ręką, jakby odganiał natrętną muchę, lecz wróżka wzbila się w górę i migocząc, wbiła zęby w zad Strzały.

Rumak stanął dęba i ruszył galopem w stronę Zaczarowanego Lasu. Oliverowi nie pozostawało nic innego, jak ucześcić się grzywy w nadziei, że nie zgubią Buły.

Wreszcie z całej siły ściągnął wodze i zatrzymał konia.

– Spokojnie, koniku. – Poklepał wierzchowca i rozejrzał się wokół.

Otaczała go nieprzenikniona ciemność. Nagle ujrzał na wprost jasny punkcik. Potem drugi. I trzeci. Wyteżywszy wzrok, dostrzegał długie, cienkie nogi wróżek na tle aureoli roztrzepotanych skrzydełek.

Jedna wróżka zawisła na wysokości jego twarzy i rzuciła mu hipnotyzujące spojrzenie. Jej włosy miały postać iskier, które z każdym ruchem trzaskały niczym zimne ognie. Prawie przezroczysta skóra lśniła w mroku jak tarcza księżycy. Zęby, kiedy się uśmiechnęła, okazały się zaostrome w szpic. W mgnieniu oka zanurkowała w powietrzu i ugryzła Olivera w szyję.

Wrzasnął z bólu i machnął ręką, a wróżka odleciała na bezpieczną odległość, zlizując krew z warg.

– Smakuje po królewsku – oznajmiła. – Winem i dobrobytem.

– Jestem księciem – odparł z godnością Oliver. – Jadę na ratunek księżniczce.

Druga wróżka przysiadła mu na dłoni i wbiła ostre ząbki w kciuk, aż stęknął.

– Łże – oświadczyła. – Czuję smak lęku.

Trzecia wróżka przycupnęła Oliverowi na czubku nosa.

– Lęku? Znam tego chłopca. – Spojrzała Oliverowi w oczy. – To syn królowej. Jestem Iskierka. To ja dałam ci mądrość.

Pierwsza wróżka zawisła w powietrzu obok niej.

– Ja jestem Żagiewka. Dałam ci lojalność.

– A ja Migotka – przedstawiła się druga wróżka. – Dałam ci życie.

– Pięknie wam dziękuję. – Oliver pokłonił się, gdyż księciu nie wypada być niegrzecznym. – Wolałbym jednak, gdybyście pozwoliły mi przejechać przez las.

– Nie możesz – stwierdziła Iskierka. – To zbyt niebezpieczne.

Żagiewka przytaknęła.

– Chłopiec pozbawiony odwagi nie powinien ryzykować.

– Migotko – odezwała się pierwsza wróżka. – Ugryź jeszcze raz konia, niech pogalopuje do domu.

– Nie! – zawołał Oliver. – A co powiecie na wyzwanie?

Posiadał nikły zasób wiedzy o wróżkach – jak wszyscy. Jakimś cudem zgłębiły one tajemnice ludzi, nie uchylając rąbka swoich sekretów. Lecz Oliver widział na własne oczy, jak

przywożono do zamku najsilniejszych rycerzy po tym, gdy chmara wygłodniałych wrózek ograbiła ich ze wspomnień. Były to pozbawione skrupułów, impulsywne, niszczycielskie istoty.

– Jeśli wygram – działał na zwłokę – czy nie dowiodę w ten sposób swojego męstwa?

– Gra? – zainteresowała się Iskierka i włosy zatrzeszczały jej z podniecenia.

Żagiewka przysiadła na ramieniu księcia.

– Ale to my ustalamy zasady – szepnęła mu do ucha.

Migotka sfrunęła na gałąź na wprost niego i zawołała siostry. Naradziły się szeptem, a włosy jaśniały im jak słup ognia. Wreszcie Migotka odsunęła się od pozostałych.

– Masz rzucić blask dalej niż my wszystkie.

Oliver nawet nie mrugnął okiem.

– Zgoda.

Wróżki spojrzały po sobie.

– Idiota – stwierdziła Żagiewka. – Ludzie nie rzucają blasku.

– Co nam dasz, jeśli wygramy? – spytała Iskierka.

Oliver zastanawiał się chwilę.

– Wszystkie moje tajemnice – zapewnił. – Co do jednej.

Wróżki klasnęły w ręce, wzbijając snop iskier.

– Ja pierwsza – zaśpiewała Migotka i zadrzała, aż otoczyła ją luna srebrnego światła.

W lesie pojaśniało w promieniu sześciu drzew, po czym znów zapadła ciemność.

– Amatorszczyzna – prychnęła Żagiewka. Zakręciła się w kółko, trzymając skrzydła jak śmigło helikoptera, i spowiła miedzianą poświatą miejsce, gdzie znajdował się Oliver. Podobnie jak za pierwszym razem, krąg blasku napęczniał, obejmując dziesięć drzew, a potem zgasł.

– Patrzcie i uczcie się, dziewczynki – poradziła Iskierka. Skurczyła się do rozmiarów łąbka od szpilki, po czym wybuchła kaskadą złotego światła.

Blask był mocniejszy i gorętszy, o szerszym zasięgu – ale jeszcze szybciej nie zostało po nim śladu.

– Twoja kolej – oznajmiła Migotka, unosząc srebrzystą brew.

– Chwileczkę. Jeśli wygram – odparł Oliver – chcę bezpiecznie przejść przez

Zaczarowany Las.

Wróżki, mrugające teraz z rzadka, poszeptały między sobą.

– Załatwione – odpowiedziały.

Sięgnął po torbę przytroczoną do siodła i wyjął prowiant, który kucharka przygotowała mu na drogę. Były tam dwa jajka na twardo, ser i kawał chleba. A także mała sakiewka przypraw.

Poluzował rzemyk i dmuchnąwszy we wróżki pieprzem, spowił je gryzącym obłokiem.

Iskierka, Migotka i Żagiewka kichnęły jak na komendę i w całym Zaczarowanym Lesie pojaśniało jak od fajerwerków.

– No cóż – rzekł Oliver – to chyba jasne, że ja...

Ale nim dokończył zdanie, Strzała też kichnął jak z armaty. Stanął dęba i niechący szturchnął Migotkę, która ukąsiła go w samoobronie.

Oliver znów uczeplił się grzywy, gdy spłoszony rumak puścił się galopem. Przedarli się przez gęste poszycie i zamajaczyło przed nimi urwisko. Zbliżało się w zastraszającym tempie.

– Prr! – Ściągnął wodze.

Od skraju przepaści dzieliły ich już tylko dwa metry. Następnie półtora. A potem jeden. Jakimś cudem Strzała wyhamował w ostatniej chwili.

– Bogu niech będą dzięki – powiedział Oliver.

Ale trochę się pospieszył.

Strzała wyhamował, lecz Oliver bynajmniej. I poszybował pięknym łukiem nad krawędzią przepaści z siodła prosto do oceanu.

OLIVER

W książce jest tylko jedna strona dotycząca wyłącznie mojej osoby, gdzie nie muszę pilnować dialogu i działać pod czyjeś dyktando.

Z tego powodu lubię sobie czasem pofolgować, gdy Czytelnik przystępuje do lektury.

Na przykład śpiewam na całe gardło.

Albo naciągam fabułę i siadam na ziemi w oczekiwaniu, aż książka wessie mnie na skałę.

Czasem próbuję dostać się na brzeg klifu aż do rysy w skale, tam gdzie ktoś przed laty zagiął kartkę.

Bywa, że wspinam się jak najwyżej, by zapuścić żurawia ponad zamazany kontur ilustracji.

Ale to bez znaczenia, bo nikt i tak nie zwraca na mnie uwagi i zostaję wciągnięty z powrotem w wir opowieści.

Aż do dzisiaj.

Kiedy zrozumiałem, że Delilah zauważyła szachownicę na piasku – rzecz bez związku z fabułą – naszła mnie myśl, że być może trafiłem na właściwą osobę. Na osobę, która zauważy inne rzeczy, które tutaj nie pasują.

Czyli mnie.

POMOCY

Nie zaszkodziło przynajmniej spróbować. Dlatego wydrapałem na skale napis POMOCY, a ona go zauważyła. Wiem na pewno.

Przywieram do skały i wstrzymuję oddech, gdyż ogarnia mnie strach, że przewróci kartkę, jak inni.

Ale nie przewraca.

– J... jak? – mówi, a ja odwracam się bardzo powoli i patrzę prosto na nią.

Chrząkam, próbując wydobyć głos. Minęło dużo czasu, odkąd zabrzmiał gdzieś prócz głowy Czytelnika, poza tym mówienie wymaga skupienia, gdy ktoś nie jest do niego przyzwyczajony.

– Sły... słyszysz mnie? – pytam.

Traci dech.

– Jesteś Anglikiem?

– Słucham?

– Mówisz z akcentem – tłumaczy. – Kiedy cię czytałam, nigdy nie słyszałam akcentu...

– Nagle wytrzeszcza oczy. – Jezus Maria, tracę głowę. Książka się nie zmienia, tylko gada...

– Nie, to ja gadam... – Serce mi tłucze, a myśli cisną się jedna za drugą. Ta dziewczyna, Delilah, właśnie odpowiedziała na moje pytanie. Usłyszała mnie.

Bierze głęboki oddech.

– Dobra, Delilah, weź się w garść. Pewnie masz gorączkę. Łykniesz tabletkę i po sprawie...

Chce zamknąć książkę, a wtedy ja krzyczę ile sił w płucach:

– Nie! Nie zamykaj!

– Nie rozumiem. – Kręci głową. Policzki ma zaczerwienione, rozbiegany wzrok.

– Książkowi bohaterowie nie są prawdziwi. – Stuka się w czoło. – I czemu ja to mówię na głos?

– Bo ja jestem prawdziwy – rzucam błagalnym tonem. – Tak samo prawdziwy jak ty.

– Patrzę na nią. – A ty jesteś jedyną Czytelniczką, która zwróciła na to uwagę.

Delilah rozchyła usta. Zagapiam się mimowolnie, myśląc sobie, że wyglądają na miękkie, słodkie i bez porównania miłsze do całowania niż usta Serafiny. Odsuwa się i zamiast twarzy widzę ciemne włosy, różową koszulę i strach.

– Proszę – dodaję. – Daj mi szansę.

Widzę, że się waha; nie wie, czy zatrzasnąć książkę, czy mnie wysłuchać. Dlatego zeskakuję z występu w skale.

– Jak to zrobiłeś? – pyta w osłupieniu. – Gdzie masz baterię?

– Baterię? Ależ zapewniam cię, że nie ma ze mną żadnej armii. – Staję prosto.

– Poruszyłeś się. – Oskarżycielsko celuje we mnie palcem.

– Ty też – odpowiadam. Na próbę podbiegam do rogu, odpycham się nogami od prostopadłej krawędzi kartki i robię salto w tył. – Widziałas?

– Tak, ale...

– A co powiesz na to? – Łapię się skały i wspinam jak małpa. Na szczycie biorę rozbieg i skaczę, po czym zawisam na ogonku litery „g” i kołyszę się w przód i w tył.

– Popisujesz się.

Parskam śmiechem.

– Zrób coś dla mnie – proszę. – Odwróć książkę bokiem, dobrze?

Spełnia moją prośbę, a ja zeskakuję lekko na dłuższą krawędź kartki i zsuwam się po niej na dół obrazka.

– Niesamowite – szepcze Delilah, ponownie ustawiając książkę prosto. – Jak tutaj się poruszasz?

– Zdaje się, że tak samo jak ty.

Z wahaniem podstawia rękę.

– Ile palców?

– Trzy.

– Zatem ty też mnie widzisz?

– Zawsze widziałem – odpowiadam z prostotą. – I podziwiałem.

Patrzę, jak oblewa się purpurą.

– Czytałam setki książek. Jakim cudem dzieje się to po raz pierwszy?

– Wygląda, że jestem jedyny w swoim rodzaju – mówię z wolna. – Wszyscy w mojej bajce są zadowoleni ze swojego życia i robią to, co im przykazano. Ale ja tutaj nigdy nie pasowałem. Zawsze byłem ciekaw, jakie to uczucie być... innym.

Delilah robi wielkie oczy.

– Ja tak samo.

Uśmiecham się do niej.

– Widzisz, ile nas łączy?

Odpowiada mi krzywym uśmiezkiem.

– Aha. Ja gadam z książką, a ty masz się za osobę z krwi i kości. Oboje jesteśmy nienormalni.

– Lub bardzo, ale to bardzo rozumni...

– Może coś mi zaszkodziło. – Delilah zrywa się i zaczyna chodzić w kółko. – Może mleko się zepsuło lub niechęć przesadziłam z witaminami i mam halucynacje...

– Tylko nie to. – Wzdycham. – Przecież ustaliliśmy, że nie jestem wytworem twojej wyobraźni.

– Nie możesz być prawdziwy – mamrocze Delilah.

– Kto tak twierdzi? – pytam. – Naprawdę myślisz, że opowieść istnieje tylko wtedy, gdy ją czytasz?

– Uhm – stęka Delilah. – No tak.

Biorę się pod boki.

– Rozumiem, że gdy wieczorem zasypiasz, też przestajesz istnieć?

– Jasne, że nie...

– A skąd wiesz, że sama nie jesteś częścią książki? I że ktoś o tobie teraz nie czyta?

Z namysłem trawi moje słowa.

– Ale ty jesteś częścią bajki.

– Właśnie. Częścią. Co nasuwa przypuszczenie, iż kryję w sobie więcej, niż jawi się oczom przeciętnego Czytelnika? Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że widzisz rzeczy innymi, niż są naprawdę? Weźmy na przykład Strzałę. No właśnie, Strzałę. Żaden z niego nieustraszony rumak, tylko beznadziejna szkapa. A Rapskullio tak naprawdę jest do rany przyłóż! Kolekcjonuje motyle i piecze fantastyczne ciasteczka! A Serafina...

Delilah wzdycha.

– Zawsze chciałam być taka jak Serafina...

Prycham.

– Proponuję, żebyś przemyślała swoje życiowe aspiracje. Mózg Serafiny ma pojemność łąbka szpilki.

Uświadamiam sobie, że lubię tę dziewczynę. Nie chodzi o to, że zaślepiony jej urodą plotę, co mi ślina na język przyniesie – po prostu rozmawiamy tak, jakbym znał ją całe życie. Czuję się przy niej tak samo swobodnie jak przy Bule. Dawno z nikim się nie zaprzyjaźniłem.

– Czy mogę cię o coś spytać? – mówię. – Dlaczego bez przerwy wracasz do tej książki?

– Nie... nie wiem. Chyba z powodu tego jednego zdania. O dorastaniu bez ojca.

– Odwraca wzrok. – Spodobało mi się, że ktoś jeszcze wie, jak to jest.

Ścisza mnie na myśl, że moje doświadczenia w bajce bledną na tle tego, co musiała wycierpieć w prawdziwym życiu. Bądź co bądź, nigdy nie poznałem króla Maurycego; istnieje tylko pod postacią fragmentu tekstu.

Delilah przeciera ręką oczy.

– Właściwie nie mam na co narzekać. Mnóstwo dzieci nie ma nikogo, kto by się o nie troszczył. A moja mama jest super. Kocha mnie nad życie. Zrobiłaby dla mnie wszystko.

Marszczę brwi.

– Ale nie chce, żebyś czytała tę książkę, chociaż sprawia ci to radość.

Delilah patrzy na mnie ze zdziwieniem.

– Nie, nie. – Wzrusza ramionami. – Po prostu myśli, że ja w ogóle za dużo czytam.

Wolałaby, żebym więcej wychodziła do ludzi.

– Mogę zadać ci pytanie? – Nie wytrzymuję. – Dlaczego czytasz, skoro możesz wyjść z domu i dzień w dzień przeżywać miliony różnych przygód?

– Bo wiem, że książka pozostanie taka jak zawsze. Wszystko inne zmienia się w najmniej spodziewanej chwili – odpowiada z goryczą. – Rodziny się rozpadają i nic nie trwa wiecznie.

W książkach zawsze wiadomo, co będzie dalej. Nie ma niespodzianek.

– I to jest pozytywna strona medalu?

– Kto jak kto, ale ty powinieneś rozumieć, dlaczego nie chcę ryzykować...

Patrzę spode łba.

– To rola, którą muszę grać w bajce. Wolałbym nie wiedzieć, co przyniesie jutro, gdybym tylko miał ku temu okazję.

– Ludzie w prawdziwym świecie oddaliby wszystko za długo i szczęśliwie, a ty chciałbyś wyrzec się tego tak po prostu?

Odwracam wzrok.

– Ładne mi „długo i szczęśliwie”, jeśli znów lądujesz w punkcie wyjścia. Nigdy nie zaznałem tego „długo”.

Naraz słyszę w tle jakiś głos.

– Delilah McPhee, co ty robisz w szatni?

– Co to jest „szatnia”? – pytam.

– Cicho bądź! – warczy Delilah.

– Przepraszam bardzo, panno McPhee, czy kazała mi się pani uciszyć?

– Nie, nie, trenerze Farnsworth. W życiu nie zrobiłabym czegoś takiego, trenerze Farnsworth...

– Jak to nie? – pytam z uśmiechem.

Natychmiast zamyka książkę.

Otacza mnie ciemność. Muszę przyznać, że tego się nie spodziewałem. Słyszę, jak pozostali opuszczają stanowiska i zaczynają rozmawiać, ale ja tylko mrużę oczy i czekam.

I słusznie, bo otwiera książkę.

– Pozwolę sobie zauważyć – mówię oschłym tonem – że to w bardzo złym tonie bez pożegnania kończyć rozmowę. A teraz możesz mnie przeprosić.

– Ty mnie przeproś! – fuka. – Chciałeś, żebym zarobiła szlaban?

Nie mam pojęcia, co to jest szlaban. Ale wiem, że nikt w całej bajce nigdy nie zwracał się do mnie w ten sposób. Bądź co bądź, jestem księciem. A ta dziewczyna nic sobie z tego nie robi.

Zamiast się rozzłościć, czuję mimowolną ciekawość.

– Co to jest „szlaban”?

– Nic... takiego. Słuchaj, nie możesz się odzywać przy innych.



– Oni mnie nie słyszą, uwierz mi. Nikt mnie nie słyszy.

– Ale *mnie* tak, a normalni ludzie nie gadają z książkami.

Uśmiecham się porozumiewawczo.

– W takim razie cieszę się, że nie jesteś normalna.

– Żebyś wiedział. Rozmowa z postacią fikcyjną to tylko czubek góry lodowej.

– Postacią fikcyjną?

– No. Powiedzmy, że jesteś prawdziwy, ale utknąłeś w książce.

– I dlatego potrzebuję twojej pomocy.

– Jak to?

Z powagą patrzę w jej jasnobrażowe oczy.

– Chcę, żebyś pomogła mi się stąd wydostać.

DELILAH

Nie, ja chyba śnię.

Matka ma rację. Muszę się wyspać. Nie dosyć, że gadam z książką, to jeszcze mam wydostać z niej bohatera.

– Nie da rady – oświadczam. – To nie ucieczka z więzienia...

– Nie jestem przestępcą!

– Nie, jesteś obrazkiem i masz dwa i pół centymetra wzrostu – zaznaczam. – I co zrobisz, kiedy wyjdiesz? Zamieszkasz w kartonie po butach? Zostaniesz Tomciem Paluchem?

– Kto to jest Tomcio Paluch?

– Inna fikcyjna postać – tłumaczę z rezygnacją. Przypominam sobie, jak w drugiej klasie pani kazała nam wyciąć z papieru Tomcia i zabrać go na wakacje. Zrobiłyśmy mu z mamą zdjęcia w Bostonie nad talerzem owoców morza i przy fokach w oceanarium.

Może Oliver nie jest pierwszą fikcyjną postacią z zamiłowaniem do podróży.

– Nie wiesz, czy zostanę tej wielkości. Może dopasuję się do twojego świata, jeśli zdołam się tam znaleźć.

– O czym mu tu w ogóle rozmawiamy? – wybucham. – Nie można nikogo wydostać z książki!

– Skąd wiesz? Próbowалаś?

– No nie, ale czy widziałaś kiedyś za ladą Kopciuszka?

– Kopciuszka? Za ladą?

– Właśnie. Nie przetrwałbyś w tym świecie dziesięciu sekund. Nie wiesz tylu rzeczy.

– Ale znam ciebie.

Pod tym spojrzeniem prawie zapominam, że go sobie uroiłam.

– Akurat znasz. Rozmawiamy od dwudziestu minut.

– I tu się mylisz. Wiem, że masz w pokoju różowe ściany. Przygryzasz wargę, kiedy walczę z Rapskulliem. Zawsze mówisz dobranoc złotej rybce w akwarium. I czasem, ubierając się rano, tańczysz przy muzyce z tego dziwnego pudełka...

– Patrzyłeś, jak się ubieram?

Posyła mi znaczący uśmiech.

– Nie moja wina, że zostawiasz otwartą książkę.

– Nie wiemy nawet, czy sytuacja się powtórzy – mówię. – Może zamknę książkę i znikniesz na zawsze.

Oliver robi krok naprzód.

– Spróbuj.

– Co?

– Zamknąć książkę.

– Ale co jeśli... – Uświadamiam sobie, że nie chcę, aby zniknął. Może nie do końca wierzę w jego prawdziwość, może nie rozumiem, jak to działa – ale nawet mi się spodobało. Miła jest świadomość, że spośród wszystkich ludzi na świecie tylko ja z nim rozmawiam. Dzięki temu mam poczucie, że zostaliśmy sobie przeznaczeni. Jak w bajce, a nie w moim zwyczajnym, nudnym życiu. – Jesteś pewien? – pytam szeptem.

Oliver kiwa głową. Chcę zamknąć książkę, ale powstrzymuje mnie jego okrzyk.

– W razie – mówi, patrząc mi prosto w oczy. – W razie gdyby... nie wyszło. Wiedz, że jesteś największą przygodą mojego życia, Delilah.

Muskam palcem pustą przestrzeń obok Olivera. Wyciąga rękę i napiera na niewidzialną barierę między nami. Czuję nacisk jego palców, ciepło skóry.



I zamykam książkę, żeby nie zdążyła się rozmyślić.

Biorę głęboki wdech. Potem następnym razem. Wolno liczę do dziesięciu. Następnie przerzucam kartki i znowu jestem na czterdziestej trzeciej stronie.

Widzę skałę i ocean w oddali, żwir, na którym stał wcześniej Oliver. Ale jego ani śladu.

Czuję, jakbym dostała obuchem. Łzy napływają mi do oczu i sama się dziwię, dlaczego rozpaczam nad stratą czegoś, czego nigdy nie miałam.

Nagle Oliver wysuwa głowę zza skały.

– A kuku! – woła ucieszony.

– To nie jest śmieszne! – Mało nie zamykam książki.

– Nie, czekaj! Przepraszam! Na serio!

Opuszczam ręce.

– Jeszcze się policzymy – mamroczę.

– Przysięgam, że ci to wynagrodzę. Kiedy tylko stąd wyjdę.

– Naprawdę muszę już iść – mówię. – Jeśli nie pójdę na algebrę, będę miała kłopoty.

Oliver kiwa głową.

– Oczywiście. A daleko leży ta algebra?

Powstrzymuję uśmiech.

– Lata świetlne – zapewniam. – Ale wrócę.

– I pomożesz mi stąd wyjść?

– Nie wiem...

– Ale obiecujesz, że wrócisz?

Nie przypominam sobie, aby ktoś tak desperacko czekał na mój powrót. Większość kolegów i koleżanek desperacko czeka, aż się ulotnię, a reszta ma mnie w nosie. Jest jeszcze Jules, ma się rozumieć, ale ona mnie nie potrzebuje. A przynajmniej nie tak jak Oliver.

– Tak – odpowiadam. – Obiecuję.

Udaje mi się wysiedzieć na matmie i angielskim. Na wychowaniu obywatelskim przeżywam męki upokorzenia, kiedy na pytanie pana Uwengi o nazwisko sekretarza stanu odpowiadam: „Oliver”. Wreszcie nadchodzi długa przerwa. Zawsze siadamy z Jules przy tym samym stoliku w stołówce. W rewirze kujonów. Jules mogłaby oznajmić, że jest owocem romansu prezydenta Obamy z kotem, a nikt nawet nie podniósłby głowy znad podręcznika.



Siada obok mnie z tacą i ciężko wzdycha.

– Cztery godziny, trzydzieści sześć minut i dwanaście sekund, a wyfruniemy z tego czyścica na weekend.

– Może później – mamroczę bez sensu, wciąż rozkojarzona wcześniejszymi wydarzeniami.

– Pozwól, że wyjaśnię ci zasady prowadzenia rozmowy. Ja coś mówię, a ty odpowiadasz coś na temat, stwarzając pozory zainteresowania.

– Hm? – Patrzę na nią i kiwam głową. – Przepraszam. Trochę jestem dzisiaj nieprzytomna.

– Co się dzieje? – Wkłada winogrono do ust. – Uwenga zgotował wam kolejny z serii swoich niezapowiedzianych sprawdzianów? Powiesz, co było, żebym nie zawałiła?

Gorączkowo pragnę opowiedzieć jej wszystko. Chcę, żeby zobaczyła to na własne oczy, na dowód, że nie zwariowałam. Ostatecznie, jeśli ktokolwiek zechce mnie wysłuchać i nie postuka się w głowę, będzie to moja przyjaciółka. Odwracam się do niej.

– Zastanawiałaś się kiedyś, co się dzieje, kiedy zamykasz książkę?

Jules przestaje przeżuwać.

– Hm. Jest zamknięta?

– Nie. Chodzi mi o bohaterów.

Przekrzywia głowę.

– To tylko słowa. – Świdruje mnie wzrokiem. – Piszesz wypracowanie?

– Nie. Słowa, a zarazem coś więcej. Ożywają w twojej głowie, prawda? Ale skąd wiesz, że wszystko to ustaje z chwilą, gdy przestajesz czytać?

– Tak jak z pluszowymi zwierzątkami: dzieci wierzą, że nocą budzą się ze snu i urządzają imprezę!

– No właśnie!

Jules parska śmiechem.

– Kiedyś wzięłam od taty kamerę i włączyłam ją na całą noc, żeby przyłapać zabawki na gorącym uczynku. Ubzdurałam sobie, że Elmo chce mnie zabić. – Wzrusza ramionami. – Ale nie dał nic po sobie poznać.

– Mam coś lepszego niż kamera – mówię. Patrzę na dwóch kujonów naprzeciw nas. Są tak pochłonięci nauką, że nie zwracają na nas najmniejszej uwagi. Wyciągam książkę z plecaka i otwieram na czterdziestej trzeciej stronie. – Muszę ci coś pokazać – dodaję. – Patrz uważnie.

Wyginam grzbiet, żeby książka się nie zamykała.

– Co to ma być? – Jules chichocze niepewnie. – Rąbnęłaś ją dzieciom, których ostatnio pilnowałaś?

– Czytaj i nie gadaj – komenderuję.

Jules unosi brwi, ale zaczyna czytać na głos:

– „Oliver chwycił korzeń sterczący ze skały i wspiął się wyżej. Z nożem w zębach podciągał się raz jedną ręką, raz drugą po gładkim granicie, pchany siłą determinacji. Serafino, pomyślał. Nadchodzę”.

– Akurat – mruczę.

– Mówiłaś coś? – pyta Jules.

– Patrz i siedź cicho.

Wpatrujemy się w ilustrację. Wreszcie Jules trąca mnie w ramię.

– A właściwie na co czekamy?

Mija trzydzieści sekund, odkąd otworzyłam książkę, lecz Oliver nawet nie drgnął. Nie odezwał się ani słowem i w ogóle nie zrobił nic, co świadczyłoby, że nie jest zwykłym obrazkiem.

– No powiedz coś – nalegam.

Jules rzuca mi zdziwione spojrzenie.

– Uhm, fajny akapit?

Ścisła mnie w żołądku na myśl, że Oliver milczy jak głaz. Co ja wyprawiam? Jeśli powiem Jules, że rozmawiałam z księciem z bajki, który pali się do wyjścia na świat, zaprowadzi mnie do pielęgniarki albo psychologa. Wiele może przełknąć, ale nie coś takiego... Nie mogę ryzykować utraty jedynej przyjaciółki.

– Ja czekam. Wskoczy z książki i rzuci się na mnie z nożem?

Gdybyś tylko wiedziała. Udaję, że mnie rozśmieszyła.

– Ale by było, nie? Chciałam ci tylko pokazać... opis. Niezła jest ta pisarka, nie? Masz wrażenie, że to się dzieje naprawdę!

Wybucham śmiechem, co zabrzmiało niezbyt wiarygodnie, dodajmy. Jules patrzy na mnie, jakbym wyhodowała sobie róg na czole.

– Wąchałaś klej? – pyta.

Chowam książkę z powrotem do plecaka.

– Wyleciało mi z głowy... Mam próbny test u madame Borgnoigne. – W duchu przeklinam Olivera, że przez niego wyszłam na jeszcze większą kretynkę niż zwykle.

– Zadzwońię po szkole – rzucam i wybiegam z kafeterii.

Nie mam zwyczaju zakradać się do łazienek dla nauczycieli. Prawdę powiedziawszy,

nigdy nie przyszło mi to do głowy, ale przecież nie robiłam dzisiaj nic, na co wpadłabym wcześniej. Grunt, żeby znaleźć się sam na sam z Oliverem, a w łazience dla nauczycieli mogę zamknąć się na klucz i nie martwić o panienki, które podkablują wariatkę gadającą do książki.

Raz jeszcze otwieram na stronie czterdziestej trzeciej i nachylam się nad kartką.

– Jesteś? – szepczę.

Uśmiech Olivera zapiera mi dech w piersi.

– Wróciłaś. Obiecałaś, że wrócisz... i jesteś.

Weź się w garść, Delilah, upominam się w duchu.

– Co to miało znaczyć?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Czemu się nie odezwałaś?

– Myślałem, że nie mogę się odzywać przy obcych!

– Nie możesz! – wybucham.

– Czekaj, nie nadążam... Wściekasz się, ponieważ zrobiłem, co mi kazałaś?

– Wściekam się, bo Jules nie jest obca.

– Dla mnie jest. Poza tym nie usłyszałaby mnie, nawet gdybym wrzeszczał, ile sił w płucach.

– Skąd wiesz? Nie próbowałaś.

– Próbuję od lat. Ty pierwsza zwróciłaś na mnie uwagę.

Wzdycham.

– Ale gdybyś porozmawiał z Jules... gdyby cię usłyszała... – Nie kończę zdania.

– Miałaś pewność, że nie zwariowałaś? – pyta łagodnie Oliver. – Nie wierzysz we mnie, tak jak ja wierzę w ciebie?

– Sama nie wiem, w co mam wierzyć – odpowiadam szczerze. – Nic takiego wcześniej mnie nie spotkało.

Patrzę na Olivera, skazanego na wieczny żywot w cudzej bajce. Znam to uczucie.

W moim scenariuszu ojciec nigdy by nas nie zostawił, a mama nie musiałaby chodzić na rzesach, żeby zarobić na nasze utrzymanie. Nie złamałabym cheerleaderce kolana i nie obróciłabym przeciwko sobie całej szkoły. W moim scenariuszu miałabym u boku kogoś takiego jak Oliver.

A może jednak mogę zmienić ten scenariusz. A przynajmniej spróbować.

– Musimy przeprowadzić próbę – oświadczam.

– Nie rozumiem.

– No bo co, jeśli wytnę cię z książki i przestaniesz oddychać? Jeśli tlen w książce różni się od naszego?

– Wytniesz? Rzecz nie w wycinaniu...

– Albo jeśli będziesz tak mały, że cię zmieszczę w kieszeni? – Rozkręcam się na myśl o możliwych niepowodzeniach.

– Chcesz przez to powiedzieć – mówi wolno, z nadzieją – że pomożesz mi stąd wyjść?

– Tak. Ale najpierw przeprowadzimy mały eksperyment. Do zobaczenia na stronie dwudziestej pierwszej. – I dodaję z wahaniem: – Widzisz numery na stronach, prawda?

– Muszę dobrze wyteńczyć wzrok. Są dość wysoko.

– Chodzi o fragment, gdzie wędrujesz z Bułą przez las... Mam! Spróbujemy najpierw z psem!

Oliver kręci głową.

– Z Bułą? Wykluczone!

– To tylko pies, Oliverze. I tak się nie zorientuje.

– Tylko pies! – Podrywa się ze złością. – Ten „pies” włada trzema językami, gra w szachy i tak się składa, że jest moim najlepszym kumplem. Czy przypadkiem nie zapomniałaś, że był człowiekiem?

– Możliwe, że opuściłam ten fragment – przyznaję z ociąganiem, ale prędzej umrę, niż zdradzę, że opuściłam sporo fragmentów, które nie dotyczyły Olivera. – Jeśli nie możemy przeciwyczyć na Bule, co proponujesz? Tylko mi nie wmawiaj, że u was nawet bakterie to poliglodzi.

– Mógłbym podać ci moją tunikę – podsuwa.

– Żadnych rozbieranek, cwaniaku. Chyba lepiej, żeby to było żywe stworzenie, nie?

– Czekaj. – Idzie z jednego końca strony na drugi, na chwilę znika w zgięciu, po czym zjawia się z uśmiechem. – Mógłbym podać ci rybę ze strony czterdziestej drugiej.

– Czy ja wiem... Lepiej, żeby to była istota lądowa. Jeśli nie przeżyje... nie zwalimy tego na skrzela.

– Masz rację. – Wzdycha. Drapie się w kark i potrząsa ręką. – Cholerny pająk.

Zafascynowana prawidłowością istot i zjawisk występujących w baśni, już mam spytać, skąd się wziął – lecz wpadam na myśl, że to może jeden z drobiazgów, które umykają uwadze

czytelnika, jak szachownice na piasku, pająki, a nawet książęta.

– Zaraz! – Przysuwam się bliżej. – Zabiłeś go?

– Użarł mnie!

– Nadawałby się na próbę.

Twarz Olivera rozjaśnia się w uśmiechu.

– Jasne. A jeśli nie przeżyje, nie będę po nim płakał. – Na czworakach wszczyna poszukiwania. – Mam. – Wyciąga rękę, po której spaceruje okazały pająk.



– I co dalej? – pytam.

Oliver mruga.

– No, musisz go wziąć.

Ostrożnie wyciągam rękę, usiłując chwycić pająka palcami, ale bezskutecznie. Dzieli nas bariera, cieńsza od jedwabiu, lecz niebywale trwała.

– To na nic.

– Zapomniałem o ścianie. – Książę siada, zamyślony.

– O ścianie?

– To nasza ochrona, na wypadek gdyby Czytelnik nieostrożnie obchodził się z książką lub zagiął ilustrację. Coś w rodzaju bańki. Miękka, lecz nie można się przez nią przecisnąć.

– Podnosi głowę. – Próbowałem.

– A więc trzeba ją jakoś przebić...

Oliver wyciąga nóż zza paska i skacze prosto na mnie, aż odruchowo zasłaniam głowę, jakby miał wylądować tuż pod moim nosem. Ale gdy spoglądam przez palce, leży jak długi na plecach i patrzy w niebo.

– Au – jęczy.

– Odkrycie naukowe numer jeden – oznajmiam. – Nie możesz przebić dzielącej nas bariery.

Siada i masuje czoło.

– Ja nie – mówi. – Ale może ty tak.

– Mam dźgnąć książkę nożem?

– Nie. Musisz ją rozedrzeć.

Patrzę przerażona.

– W życiu! To książka z biblioteki!

– Trzymajcie mnie – mamrocze. – Nie tragizuj, Delilah. Tylko małe rozdarcie, żebym mógł ci podać pająka.

Kiedy znów posyła mi uśmiech – czuję się jak jedyna osoba w jego wszechświecie (co w tym wypadku jest zapewne uzasadnione) – mięknię jak masło.

– Niech ci będzie. – Wzdycham.

Ostrożnie chwytam palcami brzeg kartki i robię mikroskopijne rozdarcie.

– Delilah. Nie przecisnąłbym tędy pierwotniaka, a co dopiero pająka. Mogłabyś spróbować jeszcze raz? Z życiem, poproszę.

– Dobra. – Tym razem drę konkretnie.

– Oczywiście musiałaś to zrobić na samej górze, prawda? – Przewraca oczami i patrzy smętnie na skałę.

– Zrobiłeś to dla Serafiny – przypominam.

– Bardzo zabawne. – Podnosi głowę, trzymając w zaciśniętej pięści pająka. – Może mi powiesz, jak mam się wspinać, co? – Krzywi się, po czym otwiera usta i kładzie sobie pająka na języku.

– Faj! – krzyczę.

– Mmmffff – odpowiada Oliver, ale jego wzrok mówi sam za siebie. Wspina się na skałę, coraz szybciej, w miarę jak znajduje się bliżej szczytu. Przesuwa się na prawo, w stronę rozdarcia.

I wypluwa sobie pająka na rękę.

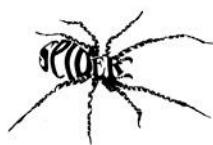
– To – mówi – było straszne. – Łypie na mnie przez ramię. – Gotowa?

– Tak – melduję. Czuję się idiotycznie, ale podstawiłam palec pod rozdarcie.

Oliver wyciąga rękę. Pająk idzie mu po kostkach, serdecznym, a następnie małym palcu.

Wywija nogami w powietrzu i przechodzi na papier.

I nagle mam na ręku tycią, czarną plamkę.



Jest prawie niewidoczna, a zarazem nieprzyjemnie ciepła i wilgotna. Na moich oczach zaczyna rosnąć i przybiera znajomy, ośmionożny kształt.

– Oliverze! – wołam zelektryzowana. – Chyba się udało!

– Serio? – Zeskakuje na ziemię i patrzy na mnie z nadzieją. – Trzymasz pająka, tak?

Przyglądam się temu, co mam w dłoni. Ale przy bliższych oględzinach coś mi nie gra. Nogi są w istocie literami, które zwijają się i rozwijają na przemian. Zdaje się, że widzę literę „j”.
I „p”.

Tak naprawdę to wcale nie pająk, tylko słowo „pająk” w kształcie owada pełza mi po dłoni.

Ale zanim mam okazję powiedzieć o tym Oliverowi, ktoś puka do drzwi, mało nie przyprawiając mnie o zawał. Strząsam niby-owada na wewnętrzną stronę okładki i zamykam książkę.

– Chwileczkę – wołam.

Ostrożnie otwieram książkę. Ale pająka nie ma. Widzę tylko napis po wewnętrznej stronie okładki, pod dziwnym kątem: „pająk”.

– Oliverze – mamroczę, chociaż pewnie mnie nie słyszy. – Chyba wracamy do punktu wyjścia.



STRONA 27

Oliver zapamiętał plusk. Zapadał coraz niżej w głębinę. Dwa węgorze splatały się i rozplatały na przemian, aż prąd przechodził w wodzie, gdy ocierały się o siebie nawzajem. Płuca piekły Olivera, jakby miały zaraz pęknąć; zastanawiał się, czy przyjdzie mu tak zginąć – nie z rąk łotra, który porwał Serafinę, lecz w toni oceanu. Naraz przypomniał sobie kompas, który nosił na szyi. Do celu, zapewniła matka. Dobre i to. Rzemyk wyśliznął mu się z palców; chwycił go resztką sił, ale ktoś mu go wyrwał.

– Nieceee! – krzyknął, woda wypełniła mu płuca. Przymknął oczy, przygotowany na najgorsze.

Czyjeś palce wsunęły mu się pod kołnierz. Na ustach poczuł czyjeś wargi i klatkę piersiową przeszył dreszcz.

– Serafina – mruknął. Ośłupiały zrozumiał, że może mówić i oddychać. Otworzywszy oczy, stwierdził, że trzyma w ramionach nieznajomą.

Miała siną skórę, oplecioną pajęczyną łusek. Włosy niby zwichrzona, czarna chmura przetykana wodorostami, powiewały za parą przezroczystych, spiczastych uszu. Na policzkach falowały skrzela, podobnie jak pod wypukłymi żebrami, które przechodziły w muskularny ogon zwieńczony płetwą, połyskujący miedzią i złotem. Zamiast nosa miała głęboko osadzone nozdrza, rozdęte nad jamą bezzębnego uśmiechu.

– A kto to jest Serafina? – spytała ze szkarłatnym błyskiem w modrym oku. – Ja mam na imię Marina.

Oliver szarpnął się ze zgrozą, próbując wyrwać się z jej uścisku.

– Siostró – odezwał się inny głos. – Nie bądź taka zaborcza. – Oliver ujrzał drugą syrenę, która miała na szyi kompas jego ojca. A potem usłyszał trzeci głos: – O tak, czekałyśmy na niego.

Wymierzył zręcznego kopniaka ogonowi Mariny, ale włosy drugiej syreny zamieniły się w wijącego węgorza, po czym opasały go jak obręcz i przyciągnęły bliżej.

– Wyjaśnij moim siostróm, że zjawileś się dla mnie, dla Ondine – powiedziała. Próbował zacisnąć palce na kompasie, który miała na szyi, lecz pocałowała go tak, że znów pociemniało

mu w oczach.

Opleciona pajęczyną łusek dłoń wymierzyła Oliverowi policzek, drapiąc go długimi, ostrymi paznokciami. I znalazł się w ramionach trzeciej syreny.

– Po co się nimi przejmować – zaśpiewała mu do ucha – jeśli możesz mieć mnie, Kyrie?

– Miłe panie. – Oliverowi serce waliło jak młotem. – Stoję przed naprawdę trudnym wyborem, więc okażcie trochę cierpliwości. – Gdyby tak mógł się wyrwać i odzyskać kompas: zdołałby uciec, miałby szansę odnaleźć Bułę i Strzałę. Odsunawszy się, posłał wybawicielkom zniewalający uśmiech. Czarne włosy Mariny unosiły się w wodzie, a oczy na powrót przybrały lazurowy odcień. Na smukłej szyi miała muszle i paciorki, migoczący ogon falował za jej plecami. Ondine i Kyrie podpłynęły bliżej. Kiedy jedna z syren ponownie wyciągnęła rękę po księcia, Marina trzepnęła ją ze złością i syknęła tak głośno, że woda zadudniła Oliverowi w uszach.

– Wobec tego musisz zostać na kolację – oznajmiła Kyrie.

A co, jeśli to ja będę kolacją?, pomyślał Oliver.

– Nie wyobrażam sobie miłszego spędzenia wieczoru – odrzekł.

Ondine i Kyrie opłotły włosami jego nadgarstki i pociągnęły z prądem. Marina ujęła go pod brodę i złożyła kolejny pocałunek na wargach. Był wstrętny i smakował rybą, lecz nappełnił płuca Olivera zapasem tlenu.

Znaleźli się w głębokiej jaskini najeżonej stalaktytami i stalagmitami, które drasnęły Olivera po nogach, gdy syreny pociągnęły go w głąb. Drgnął, kiedy z jego łydki popłynęła krew. Zatańczyła w wodzie jak słup wirującego dymu i zanim Oliver zdążył choćby krzyknąć z bólu, wielki, srebrzysty rekin wychynął z odmętów i ruszył prosto na niego. Ondine odwinęła Oliverowi włosy z nadgarstka i zasłoniła go własnym ciałem: oczy rozbłysły jej szkarłatem, a łuski na ciele stanęły dęba. Skrzela zafalowały, a gdy krzyknęła, wszystkie okoliczne ryby uciekły w popłochu. Kiedy rekin dał nura i odpłynął, łuski Ondine wygładziły się, oczy zaś przybrały odcień fioleto.

– Chodź – szepnęła, a Oliver przez chwilę nie mógł oderwać od niej wzroku.

Pośrodku jaskini widniał olbrzymi kamienny stół, a może ołtarz, na którym Oliver miał złożyć ofiarę ze swojego życia. Położone na tyłach drzwi z rozbitego statku skrywały kolejne pomieszczenie, po lewej stronie zaś spoczywała złota skrzynia z wielką kłódką, na wpół zagrzebana w piasku.

Oliver patrzył to na drzwi, to na skrzynię. Możliwe, że skrywała skarb, którym zdołałby przekupić łotra przetrzymującego Serafinę. Ale nie mógł wykluczać, że nie ujdzie stąd żywy.

– Uczta weselna! – zawołała Marina. – Ja będę oblubienicą!

– O nie, nie, siostró – ostudziła jej zapędy Ondine. – Nie tak prędko.

– Obie się mylicie – zapewniła Kyrie. – Tym razem moja kolej.

Tym razem? Oliver struchlał. Iluż to mężów z królestwa spotkała śmierć z rąk tych wstrętnych istot? Musi się stąd wydostać, i to szybko, bo znów zaczynało mu brakować powietrza.

Kyrie zacisnęła mu na barkach długie palce i obdarowała kolejnym pocałunkiem powietrza.

– Widzisz, najdroższy – wyszeptwała. – Potrzebujemy siebie nawzajem.

Jeśli to miała być miłość, może nie była warta zachodu. Oliver dorastał z matką, która straciła połowę serca i nigdy nie znalazła nic na puste miejsce. Syreny też cierpiały z powodu miłości, ale inaczej.

– Nie mam odpowiedniego stroju. – Księżę wykręcał się.

– Coś wymyślimy. – Ondine podpłynęła do drzwi i odsunęła rygiel. Drzwi zakołysały się w zawiasach i do jaskini wpłynął zastęp szkieletów, niektóre jeszcze w fazie rozkładu. Oliver krzyknął i odruchowo napał na Kyrie, która pogłaskała go po włosach i pocałowała w szyję.

– Nie krępuj się – powiedziała, popychając go naprzód.

Syreny pływały wokół trupa, odzianego w przepyszne królewskie szaty, białe, wyszywane złotą nicią. Jednakże Oliver utkwiał wzrok w twarzy martwego mężczyzny, stężelej w wyrazie zgrozy.

– Będzie jak ułał – zawyrokowała Marina.

– Ściągaj! – wrzasnęła nagle Kyrie. – To moje! – Odwróciwszy się, Oliver zobaczył, że wrywają sobie z Ondine wystrzępiony welon. Podarły go do reszty ostrymi paznokciami.

– Miłe panie – powiedział. – Ależ ja nie kocham żadnej z was.

Syreny zwróciły się ku niemu jak na komendę, a ich oczy zaświeciły na czerwono.

– Jak śmiesz? – wypluła Ondine.

Marina skrzyżowała ręce na piersi.

– Myślisz, że nie jesteśmy ciebie godne?

– Ależ skąd – odparł po prostu. – Ja tylko myślę, że wy mnie też nie kochacie. Na czym

polega prawdziwa miłość? Na znalezieniu bratniej duszy. Kogoś, o kim śnicie po nocach.
I myślicie zaraz po obudzeniu.

Serafina, uzupełnił w myślach.

– Nie jestem wam pisany. Jestem tylko przypadkowym księciem, który wpadł do oceanu.

Marina wzruszyła ramionami.

– Kawalerowie to rzadkość – stwierdziła. – Nie wypada grymasić.

– A jeśli obiecuję, że znajdę wam narzeczonych? Którzy tak zasmakują w waszej obecności, że nie będą chcieli odejść?

Oczy Kyrie z zaciekawienia rozbłysły zielenią.

– Jak?

– No więc – zaczął Oliver – przede wszystkim muszę mieć mój kompas.

Syreny stanęły w kręgu, burząc wodę, i naradziły się szeptem.

– Jaką mamy pewność, że nie kłamiesz? – spytała Marina.

– Macie moje słowo – odpowiedział. Zaczynało mu brakować tlenu. Cokolwiek się stanie, nie miał czasu do stracenia.

– Żądamy konkretów. – Włosy Kyrie znów spowiły mu pierś, pociągając do wielkiej, różowej muszli wypełnionej tysiącami kluczy. Niektóre zardzewiały, inne były oblepione wodorostami. Część lśniła, jakby wrzucono je do wody jeszcze tego ranka.

– Uczciwość występuje rzadko jak człowiek, który może oddychać pod wodą

– zauważyła Ondine. – Wybierz klucz.

Oliver wsunął rękę do muszli i przesiał klucze przez palce w nadziei, że któryś odcisnie się w jego dłoni.

Był bliski utraty przytomności.

– Co, jeśli wybiorę właściwy? – rzucił resztką tchu.

– To znaczy, że mówisz prawdę. Dostaniesz skarb, który jest w skrzyni, i oddamy ci kompas, żebyś znalazł nam narzeczonych.

– A jeśli się pomylę?

Kyrie wzruszyła ramionami.

– Stracisz tlen. I utoniesz.

Skąd, u licha, miał wiedzieć, jak wybrać? Błąd będzie go kosztował życie. Oliver zamrugał, tłumiąc panikę.

– Pospiesz się – syknęła Ondine. – Szkoda czasu. – Rozzłoszczona przewróciła muszlę i klucze wysypały się na piasek.

Kątem oka dostrzegł błysk – może to promyk słońca sięgnął dna oceanu, a może był to jedynie blask rybiej łuski. Tak czy inaczej, wzrok Olivera powędrował na ojcowski kompas, zawieszony na szyi Ondine.

Na jego oczach igła podskoczyła, zбочyła na prawo, i wskazała klucz, który spadł w pewnym oddaleniu od reszty.

Wskaże ci drogę do celu, powiedziała matka.

Nachylił się i podniósł klucz. Wnętrze jaskini zatańczyło mu przed oczami, kiedy wsuwał klucz do kłódki. Wszedł bez trudu i kłódka spadła. Ze skrzyni wypłynęła czarna chmura tuszu kałamarnicy.

Wewnątrz nie było złota, kosztowności ani w ogóle niczego, co przy odrobinie wyobraźni można by wziąć za skarb. Syreny rozłożyły przed nim zawartość skrzyni.

Gaśnicę.

Megafon.

Ząb rekina.

Oliver zamrugął, ledwo widział na oczy.

– Co to za skarb? – wybełkotał.

– Miarą skarbu jest jego wartość w potrzebie – oznajmiła Marina. Zerwała Ondine kompas z szyi i wcisnęła go Oliverowi do ręki.

Rozważył jej słowa. I tracąc przytomność, pomyślał, że to być może najlepsza rada, jaką usłyszał na temat miłości.

OLIVER

Oto, co wiem o Delilah McPhee:

W chwilach zdenerwowania obgryza paznokcie.

Falshuje.

Mówi z dziwnym, nosowym akcentem, ale upiera się, że to ja robię błędy.

I ma zjawiskowe oczy. Jakby wcale nie musiała mówić, bo wszystko jest w nich wypisane.

– Nie słuchasz – zauważa.

Po kilkugodzinnej rozłące wreszcie znowu jesteśmy razem. Muszę wytężać słuch, bo puściła głośno muzykę z zaczarowanego pudła, które nazywa „radiem”, w nadziei, że matka nie usłyszy, jak mówi na głos. Ponad ramionami Delilah widzę znajome fragmenty jej komnaty – różowe ściany, różowe abażury, różowe wszystko. Widzę zarys włochatej poduszki z frędzlami. Różowej, jak najbardziej.

– Rozpraszasz mnie – odpowiadam.

– Przecież tylko siedzę i z tobą rozmawiam!

– No właśnie – mówię i się uśmiecham.

Ten uśmiech sprawia, że robi się czerwona jak burak; lubię ten widok. Ciekawe, że to samo dzieje się w przypadku Serafiny, jednak z mniej czarującym skutkiem.



Patrzę, jak rzęsy Delilah rzucają cień na policzki, i nie mogę się zdecydować, czy ma włosy w odcieniu mlecznej czekolady czy drzewa tekowego. Tymczasem ona nadaje.

– Doskonale rozumiem, dlaczego czujesz się jak w pułapce – zapewnia. – Jednak lepiej tkwić w pułapce, ale żywy... cokolwiek to znaczy w książce... niż być wolnym i martwym.

Zdecydowanie drzewo tekowe. Albo orzech włoski.

– Jeżeli coś tak nieskomplikowanego jak pajak nie przeżyło poza bajką, co twoim

zdaniem spotka człowieka? Co jeśli wyciągnę cię z książki i będziesz tylko... słowem?

Wstaje z łóżka i zaczyna spacerować tam i z powrotem. Mam dzięki temu lepszy widok na komnatę, w tym lustro z fotografiami przymocowanymi wokół krawędzi. Przedstawiają Delilah z dziewczyną, z którą rozmawiała niedawno, Delilah z rozpostartymi ramionami na szczycie góry, Delilah z mamą, robiące głupie miny. Sądzę, że jednym z moich pierwszych rozkazów, gdy wydostanę się z tej książki, będzie ukraść jedno zdjęcie, aby zawsze była przy mnie.

Pod tym kątem wreszcie zwracam uwagę na jej dziwny przydzwiek – ma na sobie rodzaj pończoch z dziurami na stopy, rozdartych tu i ówdzie. Są tak obcisłe, że jest właściwie naga.

– Gdzie zgubiłaś suknię? – wybucham.

Delilah staje jak wryta i odwraca się twarzą do mnie.

– Słucham? A co to ma do rzeczy?

– Jesteś nieprzyzwoicie ubrana!

Prycha.

– Szkoda, że nie widziałeś moich koleżanek – mówi. – Wyluzuj, Oliverze. To tylko dzinsy.

Uświadamiam sobie, że widywałem wprawdzie osobliwie przyodzianych Czytelników, jednak zwykle znajdowali się tak blisko książki, iż nie odnotowałem większych różnic pomiędzy ich strojem a moim własnym. W tym przypadku nie mam innego wyjścia.

– Jak mówiłam – dodaje wymownie – naprawdę chciałabym ci pomóc. Lecz myślałam o tobie całutki dzień... serio, myślałam o tobie bez przerwy...

Uśmiecham się znacząco.

– ...i sądzą, że nigdy bym sobie nie darowała, gdybym cię zabiła.

Jakby mnie ktoś zdzielił.

– Zabiła? Czemu, u licha, miałabyś to zrobić?

– Oliverze, czy do ciebie w ogóle dotarło cokolwiek z tego, co powiedziałam? Nie mogę ryzykować, że podzielisz los pająka. – Siada i wbija wzrok w kolana. – Dopiero cię znalazłam – dodaje. – Nie chcę cię stracić.

W bajce nie muszę martwić się śmiercią. Wiem, że syreny nie pozwolą mi utonąć. Wiem, że zawsze wygram ze smokiem. I pokonam Rapskullia.

Lecz Innyświat rządzi się innymi regułami. Nie ma drugiej szansy. Tutaj śmierć dzieje się naprawdę.

Kolejna myśl jest jak grom z jasnego nieba: wolałbym umrzeć, niż żyć ze świadomością, że nie będzie mi dane pocałować Delilah McPhee.

Może nie umarłem w bajce, bo nic nie było warte, aby za to zginąć.

– Trzeba tylko obmyślić inny plan ucieczki – przekonuję. – Musi być inny sposób.

Słyszę wołanie matki Delilah i nagle książka się zamyka. Czekam w nadziei, że Delilah wróci.

Wraca, znów na stronę czterdziestą trzecią.

– Wybacz – mówi. Biega po pokoju, znajduje plecak i wpycha do niego ręcznik. – Muszę iść na pływanie.

– Na pewno szybko się nauczysz – pocieszam. – Ja się nauczyłem.

– Umieć pływać – zaznacza. – To sport. Z założenia uprawiam go dla przyjemności. Ale gdy ktoś zawsze dopływa ostatni, ciężko mieć z tego frajdę.

– Więc daj sobie spokój.

– Mama uważa, że dzięki temu odnajdę się wśród ludzi.

– Powinnaś jej powiedzieć, że masz inne zdanie.

Przystaje i na mnie patrzy.

– A ty swojej mówisz, kiedy ci suszy głowę?

– To co innego. Tak mnie napisano.

– W takim razie – oznajmia Delilah – bycie nastolatkiem nie różni się tak bardzo od siedzenia w cudzej bajce, możesz mi wierzyć. Zawsze znajdzie się ktoś, kto myśli, że wie lepiej od ciebie.



Posyłam jej najbardziej czarujący uśmiech.

– Lepiej zostań ze mną.

– Chciałabym. – Delilah wzdycha. – Ale nic z tego.

- To weź mnie ze sobą.
- Woda i książki nie idą ze sobą w parze.
- Delilah! – znów dudni w tle głos matki.

Delilah zamyka książkę, tym razem delikatniej, i mnie zostawia.

Siadam na skraju strony czterdziestej trzeciej i usycham z tęsknoty. Na marginesie pojawia się królowa Morena. Tak już bywa, gdy książka jest zamknięta: zero prywatności.

– Ach, przepraszam cię! – Cofa się o krok. – Nie wiedziałam, że zastanę kogoś na tej stronie!

– Nie, nie. – Wstaję. – Nic nie szkodzi. Naprawdę.

Królowa Morena oczywiście nie jest moją prawdziwą matką. To autorka powołała nas wszystkich do życia. Lecz podobnie jak dwoje aktorów ze sztuki, która nie schodzi z afisza, Morena i ja zżyliśmy się z sobą, traktuje mnie jak własnego syna. Miło, że zawsze odkłada dla mnie świeżo upieczone ciasteczka imbirowe, gdy dopada ją ochota na pieczenie. Czasem proszę ją o radę, kiedy pokłócę się z Bułą albo kiedy Serafina nęka mnie po godzinach. Szanuję zdanie Moreny. Myślę, że pod tym względem odgrywana przeze mnie postać zlewa się z moim prawdziwym ja.

– Masz chwilę? – pytam.

– Naturalnie. – Podchodzi i siada obok mnie na skale. – Wyglądasz, jakbyś chciał dokopać ścianie.

Wzdycham ciężko.

– Jestem sfrustrowany.

– Kto ci nadepnął na odcisk?

– Jeżeli jesteśmy tylko na niby, to nasze uczucia tak samo?

– Oho – żartuje Morena. – Kogoś wzięło na filozofowanie.

– Mówię poważnie – przerywam. – Skąd mam wiedzieć, na czym polega prawdziwa miłość?

– Tylko mi nie mów, że nagle zakochałeś się w tej głupawej księżniczce...

– W Serafinie? – Wzdrygam się teatralnie. – Gdzie tam.

W oku Moreny widzę błysk.

– Chodzi o Żagiewkę, prawda? Widziałam, jak na ciebie łypie oczkiem...

– Nie zakochałem się we wróżce...

– W kucharce?

– W kucharce? Jest dwa razy starsza ode mnie...

Morena marszczy brwi.

– W syrenie? Przygotuj się na mokre randki...

– To nikt z książki – ucinam.

Morena mruga powiekami.

– Aha. Cóż, mój chłopcze, tutaj ci nie pomogę.

– Nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ona. Tęsknię, kiedy nie ma jej przy mnie. A gdy otwiera książkę i widzę jej twarz, język staje mi kołkiem. – Starannie dobieram słowa. – Chyba się zakochałem. Ale skąd mam wiedzieć, jeśli jedyną miłość, której doświadczyłem, napisano bez mojego udziału?

– Kochanie, ależ na tym właśnie polega miłość. To siła wyższa, która nas ciągnie do tej, a nie innej osoby.

Morena z przekonaniem wypowiada te słowa, jakby wiedziała, o czym mówię.

– Zdaje się, że naprawdę kochałaś Maurycego – mówię.

Wybuchła śmiechem.

– Ależ skarbie, jest tylko retrospekcją.

Przyciskam palce do skroni. Jawa płacze mi się z fikcją. W bajce zakochuję się w Serafinie, ale to uczucie różni się od tego, co czuję do Delilah. Z Serafiną trzymam się scenariusza. Z Delilah wszystko jest nowe, jaskrawe, zmienne.

– No to skąd wiesz, czym jest miłość?

– Gdyż istnieje wiele opowieści tylko o niej, napisanych przez ludzi, którzy jej doświadczyli. W jaskini Rapskullia znajdziesz mnóstwo książek o postaciach – nie występują w tej bajce – które za sobą szaleją. Romeo i Julia, Piękna i Bestia, Heathcliff i Cathy.

– Co to za jedni?

Morena wzrusza ramionami.

– Nie wiem, ale nasza autorka wpisała te tytuły w półkę z książkami na obrazku z trzydziestej szóstej. Po godzinach sama przeczytałam parę z nich. Cokolwiek zaistniało w umyśle autorki, posiada rację bytu w książce, nawet jeśli nie ma o tym mowy w bajce.

Fakt. Świat, w którym żyjemy, wykracza poza naszą opowieść i jest tak samo przestronny jak wyobraźnia kobiety, która nas stworzyła. Dlatego Buła i ja umiemy grać w szachy, a pasją

kapitana Kraba jest układanie krzyżówek. Jak gdyby obmyśliła nas i nasze otoczenie z najdrobniejszymi szczegółami. W pałacowej kuchni, na przykład, nie brakuje zapasów, przyborów i naczyń, chociaż w bajce nikt niczego nie gotuje. Dzięki temu po godzinach Morena oddaje się ulubionemu zajęciu i piecze dla nas wszystkich placki i ciasteczka.

– Czy mogę jeszcze cię o coś spytać? – Patrzę na nią. – Wiem, że jest dla ciebie tylko wspomnieniem. Ale Maurycy wyjechał, by ocalić ci życie, i nie wrócił. Czy naprawdę warto zginąć za ukochaną osobę?

Zastanawia się przez chwilę.

– To nieistotne, Oliverze. Na twoim miejscu zadałabym sobie pytanie, czy możesz bez niej żyć.

Buła zwołał zebranie wszystkich postaci, więc zbieramy się na Plaży Szczęśliwych Zakończeń. On stoi na tylnych łapach na pieńku wyrzuconym przez morze i zwraca się do zgromadzonych.

– Obniżamy loty, kochani – grzmi władczo. Ten dopiero ma gadane.

– Loty to moja specjalność – zauważa smok Pyro, który (muszę przyznać) prezentuje się szalowo z nowymi czerwonymi gumkami na górnym aparacie ortodontycznym.

– Na czterdziestej stronie macie to czarno na białym.



– Chodziło mi o metaforę – tłumaczy Buła. – Żadne z nas nie ma okazji się wykazać, gdyż uwaga Czytelnika zdaje się ograniczać wyłącznie do jednej strony.

Zamieram, oparty o palmę.

– Czterdziestej trzeciej – dodaje Buła, zezując na mnie.

Śmieję się bez przekonania.

– Ha – mówię. – No popatrz.

– Czy mógłbyś nam wyjaśnić, Oliverze, z jakiego powodu Czytelnik ignoruje resztę bajki?

– Uhm, myślę, że to czysty przypadek – dukam. – Może ona, eeee, interesuje się wspinaczką?

– Ona? – wtrąca Rapskullio i marszczy brwi. – Skąd wiesz, że to ona, nie on?

Głośno przetykam ślinę.

– Powiedziałem „ona”? – Wzruszam ramionami. – Tak mi się wymknęło. Zresztą, czy dziewczynki nie stanowią aby większości naszych odbiorców?

– Właśnie o tym mówię – zaznacza Buła. – Dlatego uważam, że musimy trochę podkreślić fabułę. Kiedy następnym razem otworzy książkę, idziemy na całość.

– Powodzenia – mruczę.

– Mówiłeś coś, Oliverze?

Kaszlę.

– Coś utkwilo mi w gardle.

– Aha. O czym to ja... Właśnie! Syreny, dajcie czadu! Niech smarkacze mają koszmary! Trolle, macie sponiewierać Olivera, gdy się zjawi. Rapskullio, gdy powiesz go nad ziemią...

– Ejże, chwila! – wołam przytomnie. – A ja?

– Coś mi mówi, że świetnie sobie radzisz. – Serafina pociąga nosem. – Podczas gdy ja nie mam okazji ust otworzyć...

– Wszystko ma swoje dobre strony – mamroczę.

– Absolutna racja, księżniczko. – Widzę, że Buła aż płonie chęcią podlizania się Serafinie. – Głosik tak czysty winien rozbrzmiewać bez ustanku...

Ale tak samo dobrze mógłby rzucać grochem o ścianę. Nie zwracając na niego najmniejszej uwagi, Serafina siada obok mnie i trzepocze rzęsami.

– Ollie – mruczy. – Tęsknię, wiesz? Może pójdziemy na sześćdziesiątą i poćwiczymy całowanie?

– Obiecałem, uch, pomóc Morenie w kuchni.

Wzdycha.

– Jak sobie chcesz. – Przenosi wzrok na Bułę. – Skończyliśmy? Bo muszę się przespać.

Drzemka dla urody, wiecie.

– Pozwolę sobie zauważyć, milady, że wyglądasz czarująco i bez drzemki – odpowiada Buła.

Syrena Kyrie przewraca oczami.

– Zlituj się, Buła, bo dostanę choroby morskiej. – Jeden z największych paradoksów naszej bajki polega na tym, że syreny to w istocie wojujące feministki.

– W porządku! – szczeka Buła. – Zatem wszyscy wiedzą, co mają robić. Proponuję, żeby nie tracić czasu i natychmiast przystąpić do ćwiczeń, byśmy wszyscy byli w szczytowej formie, gdy przyjdzie co do czego.



Zebrani zaczynają się rozchodzić i Buła zeskakuje z pieńka.

– Księżniczko? Księżniczko Serafino? Skoro mowa o sześćdziesiątej, jeśli potrzebujesz kogoś na zastępstwo, to ja jestem chętny...

Serafina odwraca się i celuje w niego palcem.

– Siad. Grzeczny piesek.

Buła z podkulonym ogonem zmyka na plażę. Już mam ruszyć za nim, żeby go podnieść na duchu – a przynajmniej wybić mu z głowy zauroczenie niewiastą o intelekcie nogi od stołu – gdy kapitan Krab grzmoci mnie w plecy.

– Ahoj, Oliverze. Słyszałeś, że Morena znowu coś piecze? Oby to był przekładaniec. Z chęcią posiekam go na kawałki.

Wyciąga rapier; stal lśni, ale uśmiech kapitana jeszcze bardziej. Widać stosowanie nici dentystycznej popłaca.

Nić dentystyczna.

Aparat ortodontyczny na zębach Pyro.

Upodobanie do borowania raczej niż abordażu.

Patrzę na kapitana Kraba i doznaję olśnienia, że oto stoi przede mną człowiek, który zrozumie, czemu tak żarliwie pragnę się stąd wyrwać.

– Kapitanie – mówię. – Co pan powie na mały spacer?

– Uciec z bajki? – Kapitan Krab staje jak wryty. Towarzyszące nam wróżki brzęczą mu przed nosem jak wielkie komary. – W życiu!

– Ale proszę sobie wyobrazić: gdzieś, w innym świecie, mógłby pan otworzyć gabinet ortodontyczny. Cały boży dzień zakładałby pan aparaty, nie zawracał sobie głowy takielunkiem i strzelaniem z armaty! – Uśmiecham się szeroko i patrzę na niego z nadzieją.

Przez chwilę wygląda, jakby brał to pod rozwagę.

– Wiesz co, ten lewy kiel trochę zboczył nam z kursu. Mógłbym go naprostować...

Wzdycham z rezygnacją.

– A gdybym powiedział panu, że nawiązałem kontakt... ze światem zewnętrznym?

Migotka kpiąco bierze się pod boki.

– Patrzcie państwo, ktoś tu znowu buja w obłokach...

Odganiam ją.

– Nikt cię nie pytał o zdanie.

– Nie zwracajcie na niego uwagi – szepcze Iskierka. – Pewnie wstał lewą nogą.

Zaciskam pięści.

– Zostawcie wy mnie wszyscy w spokoju!

– No wiesz ty co? – mamrocze Żagiewka.

– Oburzające! – wtóruje Migotka.

Iskierka zadziera podbródek.

– Odjazd, dziewczęta. Trzeba się szanować.

Znikają wśród gałęzi Zaczarowanego Lasu, a kapitan Krab rusza ich śladem.

– Nie pan – mityguję. – Pan może zostać.

– Och. Aye. – Odwraca się do mnie. – Słuchaj, młody. Nawet zakładając, że to, co

mówisz, jest realne... ja tam nic bym nie zmieniał.

– Ale dlaczego? Woli pan robić w kółko to samo, jakby nie miał własnego rozumu i planu na życie?

Wzrusza ramionami.

– Może i robię w kółko to samo, Oliverze... ale robię to, co kocham. Jestem aktorem i zajmuję się ortodontcją. – Patrzy mi w oczy. – Może zamiast myśleć o tym, czego ci brakuje, skupisz się na tym, co masz w zasięgu ręki?

Prycham.

– Nieprzebranych pokładach frustracji?

– Miałem na myśli raczej ślicznotkę, którą tulisz w finale. Wiernego druha, który skoczyłby za tobą w ogień. – Kapitan Krab zawiesza głos. – I fantastyczne dziąsła.

– Ale...

– Wybacz, stary. Czasem kluczem do szczęścia jest oczekiwać mniej od losu. – Pirat uśmiecha się życzliwie. – Dzięki temu unikniesz rozczarowań. – Macha wesoło i wkracza na leśną ścieżkę. – Muszę wracać na statek. Zezik i Szpachelka pewnie puścili z dymem kuchnię pokładową.

Odprowadzam go wzrokiem, opierając się o pień wiekowego dębu. Czy to możliwe, że kapitan ma rację? Czy gdybym nie miał okazji porozmawiać z Delilah, wiedziałbym, co tracę?

Otóż to. Usiądę na czterdziestej trzeciej, poczekam na jej powrót i powiem, że ma rację: to nie wchodzi w rachubę. Niemożliwością jest, żebym kiedykolwiek znalazł się poza kartami tej książki. Właśnie tak jej powiem...

„Łup!”. Nagle padam na plecy i gwiazdy stają mi przed oczami. W pierwszej chwili myślę, że to zemsta wrózek, ale zaraz słyszę czyjś wyraźny, zawzięty głos.

– Marnujesz mój czas...

Marszczę brwi. To kwestia Rapskullia z czterdziestej piątej, gdy zakradam się przez okno do wieży na szczycie skały, gdzie więzi Serafinę. Słyszę go i ruszam do ataku z nożem w garści.

Sęk w tym, że nie jesteśmy na czterdziestej piątej.

Przewracam się na brzuch i widzę Rapskullia uzbrojonego w piracką sieć z pętelką na końcu. Tuż przed nim majaczy piękny, nakrapiany motyl.



– I co teraz? – warczy Rapskullio.

Kolejna kwestia. Ze strony pięćdziesiątej ósmej, gdy przystawia mi miecz do gardła.

Wstaję, otrzepując kolana.

– Co ty, u licha, wyprawiasz?

Patrzy na mnie ze zdziwieniem, a pomarańczowy motyl umyka do Zaczarowanego Lasu.

– Próbowałem upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu: ćwiczyłem rolę w myśl rady

Buły i łapałem *Polygonia interrogationis*.

– Gesundheit.

– Dureń. To gatunek motyla – wyjaśnia Rapskullio. – Właśnie mi uciekł, bo musiałeś się napatoczyć.

Widzę, że kapitan Krab i ja zapuściliśmy się nieco dalej, niż zamierzałem, i stoję opodal nory Rapskullia: mrocznej, ciasnej rudery wbudowanej w ścianę jaskini i oświetlonej setkami łożowych świec. Myślę o tym, co powiedziała mi królowa Morena – rzędach historii miłosnych na półkach jego biblioteki.

– Wiesz ty co – mówię z wolna. – Chyba jeszcze nigdy nie widziałem twojej kolekcji.

Motyli, znaczy się.

Rapskullio rozjaśnia się jak majowy poranek.

– Oliverze! Czyżby drzemał w tobie entomolog?

– We mnie? Jasne! Nawet dwóch! – Pojęcia nie mam, kto to jest entomolog. Mam nadzieję, że właśnie nie zadeklarowałem upodobania do kąpieli w czosnku i noszenia damskiej bielizny.

– No to dawaj, bracie! Nigdy nie wiadomo, ile czasu zostało przed kolejnym otwarciem książki. – Rapskullio zarzuca sieć na plecy i rusza przed siebie zwawym krokiem.

Biegnę za nim.

– Nie wiesz przypadkiem, ile mamy gatunków motyli?

– Naturalnie, że wiem – odpowiada. – Pięćset sześćdziesiąt jeden. Mam w domu książkę z ilustracją przedstawiającą każdy z nich.

– No popatrz. – Udaję, że trawię tę informację. – A ile dokładnie złapałeś?

Czy mi się wydaje, czy różowieją mu policzki?

– Na razie tylko czterdzieści osiem. Ale bądź co bądź, mam do dyspozycji tylko sześćdziesiąt stron.

Stajemy przed spróchniałymi drzwiami jego domostwa.

– A gdybym ci powiedział, że mógłbyś złapać pozostałe pięćset trzynaście?

Zamiera z ręką na klamce.

– Wiesz przecież, że nieładnie się droczyć.

– Wcale się nie droczę, Rapskullio. Przysięgam. – Wchodzę za nim do środka.

Oczywiście byłem tutaj milion razy, ale jak zawsze cierpnie mi skóra. Ściany są nieco wilgotnawe w dotyku, znad omszałej posadzki unosi się mgła. W jednym rogu stoi zagracone biurko, sklecone ze zwierzęcych kości i zbutwiałego drewna. Jedynym naturalnym źródłem światła jest dziura wybita w skalnej ścianie pieczary: blask pada prosto na sztalugę i umieszczone na niej płótno, portret królowej Moreny z czasów młodości. Obiektu westchnień, który (w bajce) zaprowadził Rapskullia na drogę występuku. Na niewielkiej przestrzeni leży jeszcze z pół tuzina jej portretów i obrazy, gdzie smoki zieją ogniem.

– Już ci tłumaczę – mówię, usiłując przejść nad nimi do porządku dziennego. – Myślę, że istnieje swoisty portal. Przejście z bajki do prawdziwego świata. A w prawdziwym świecie, Rapskullio, mógłbyś od rana uganiać się za motylami, o jakich ci się nawet nie śniło.

– A po co? – kwituje. – Tutaj mogę robić to samo.

– Przecież sam powiedziałaś, że jest tylko czterdzieści osiem gatunków...

– Na razie – zaznacza Rapskullio. Przesuwa mnie bezceremonialnie, sięgając kościstą ręką po obraz, na który nie zwróciłem uwagi. Odkłada na wpół ukończoną podobiznę Moreny i stawia na sztaludze nowe płótno.

Mam przed sobą doskonałą, realistyczną replikę pokoju, gdzie właśnie się znajdujemy. Jest sztaluga. A na niej płótno identyczne jak to, teraz przeze mnie oglądane. I tak dalej, i tak dalej. Aż w głowie mi się kręci od tego widoku, jakbym patrzył przez okno, które otworzyło się

na wprost mnie.

– Raju – mówię z podziwem. – Powinieneś zmienić fach, słowo daję.

– Patrz i ucz się, mój drogi – odpowiada Rapskullio. Bierze paletę i zamacza zaschnięty pędzel w kleksie szkarłatu. Następnie ostrożnymi pociągnięciami domalowuje na obrazie cudnego motyla, zawieszzonego tuż nad biurkiem. Uzupełnia go akcentami żółci i czerni, po czym cofa się i podziwia swoje dzieło. – Voilà – oznajmia, a motyl powoli znika z obrazu.

Pojawia się tuż przed moim nosem i wylatuje przez dziurę w ścianie.

– Czterdzieści dziewięć – oświadcza Rapskullio.

W jednej z retrospekcji dowiadujemy się, jak Rapskullio zdobył smoka, dzięki któremu sterroryzował królestwo i zabił króla Maurycego. Zamiast wytropić go w Górach Ukrytych, gdzie podobno żyją te stwory, maluje go po prostu na czarodziejskiej sztaludze. Wszystko oddane na tym płótnie obudzi się do życia, namacalne i trójwymiarowe jak my wszyscy.

Że też wcześniej na to nie wpadłem.

– Czekaj – mówię oszołomiony. – Starczy, że coś namalujesz... nawet jeśli nikt nas nie czyta?

W odpowiedzi sięga po inny pędzel i maluje parujący kubek na biurku. Po chwili trzyma go w ręku.

– Herbatki? – pyta.

– To niesamowite, Rapskullio. Ba, fantastyczne! Możesz wprowadzić do bajki, cokolwiek ci się podoba?

– Tak mi się wydaje. Nie wiem, czemu to działa, gdy nie toczy się opowieść. I dlaczego potrafię namalować coś prócz Pyra. Ale muszę przyznać, że to pożyteczna sprawa.



– Czy zdarzyło ci się namalować coś oprócz motyli?

Rapskullio potulnie wbija wzrok w posadzkę.

– W zeszłym tygodniu miałem chrapkę na agrest w czekoladzie. Namalowałem sobie miseczkę i jadłem, aż mało nie pękłem.

– Skoro możesz domalować coś do bajki – mówię z namysłem – czy mógłbyś kogoś z niej wymalować?

Otwiera usta, lecz nagle rozlega się grzmiące wołanie Buły:

– Wszyscy na miejsca! Książka się otwiera! Światłość widzę! Pamiętajcie, żeby dać z siebie wszystko!

Po czym lecę na łeb na szyję i ląduję przylepiony do skały na czterdziestej trzeciej.

DELILAH

Ilekcio idę na pływanię, zawsze najdłużej marudzę w szatni. Nie spieszy mi się na godzinę męczarni. Należę do osób, które na dwudziestu pięciu zawodników dopływają dwudzieste piąte, bez względu na styl. Wolę nie patrzeć na minę trenerki, kiedy wyczytuje moje nazwisko.

Ale dzisiaj czuję się jakoś inaczej. Może to wpływ rozmowy z Oliverem, ale coś mi mówi, że mam szansę dopłynąć z lepszym wynikiem. Bądź co bądź, Oliver zdaje się wierzyć, że dokonam rzeczy niemożliwej – więc czemu nie?

– Pływaczki na miejsca – mówi trenerka. Wchodzę na prawy tor i przytrzymuję się krawędzi basenu; popłynę na plecach. Poprawiam okulary i czepek, zerkając na zawodniczki. Popłynę obok Holly Bishop, która w zawodach stanowych stylem grzbietowym zajęła trzecie miejsce. Ekstra. Dalej widzę kilka pierwszoklasistek, a zupełnie na lewo Allie McAndrews, cheerleaderkę, która (jak sądzę) pływa tylko po to, żeby wystąpić w kostiumie kąpielowym i flirtować z chłopakami z drużyny.

Na sygnał zanurzam się pod wodę i odbijam od ściany, nabierając tempa. Od razu czuję się inaczej, jak istota z morskich głębin – jak syrena z bajki Olivera – z tak silnym ogonem, że prześcignęłabym statek, a co dopiero Holly Bishop. Pruję na oślepie taflę i patrzę na fluorescencyjne światła basenu. Jestem maszyną. Jestem niepokonana.

Zawracam i gdy znów wypływam na powierzchnię, słyszę wrzaski oraz pomstowanie innych zawodniczek i wołanie trenerki. Nie wierzą własnym oczom: oferma Delilah McPhee ma wreszcie swoje pięć minut. Jeszcze chwila, a na tablicy wyników pojawi się moje nazwisko. Kolejny potężny zamach i natrafiam na coś ręką...

– Auuuuuu!

Odwracam się, plując wodą, zrywam okulary i widzę, że Allie McAndrews trzyma się za nos, cieknie z niego krew.

– Zgłupiałaś! – wrzeszczy.

Ze zgrozą patrzę na nią, a potem na dziewczyny, gdy pomagają jej wyjść z basenu.

– Wszyscy wychodzić – komenderuje trenerka. – Krew w wodzie!

– Prze...praszam. – Zachodzę w głowę, co Allie McAndrews robiła na moim torze.

A potem się rozglądam.

Jakimś cudem przepłynęłam w poprzek basenu aż na przeciwległy tor, którym płynęła Allie. I jednym ciosem chyba złamałam jej nos.

– Jak było? – pyta mama, gdy wskakuję na fotel pasażera.

– Rezygnuję. Z pływania, ze szkoły i w ogóle z życia.

– Co się stało?

– Nie chcę o tym rozmawiać. – Brzęczy mój telefon. Nowa wiadomość od Jules, ale nie mam ochoty zwierzać się z kolejnej katastrofy. Zresztą i tak zorientuje się w szkole, kiedy wszyscy się na mnie wypną.

Mama zerka na mnie.

– Koktajl czekoladowy z Ridgeleya jest dobry na wszystko. Jedźmy tam na kolację.

Wiem, że dla mamy to nie byle co. Rzadko jemy poza domem, bo nas nie stać.

– Dzięki – mamroczę. – Ale wolę jechać do domu.

– Delilah. – Mama marszczy brwi. – Na pewno dobrze się czujesz?

– Tak, mam. Mam po prostu... dużo zadane.

Przez resztę drogi powrotnej szczęśliwie unikam dalszej rozmowy. Kiedy dojeżdżamy, wbiegam do domu i pędzę na górę. Książka leży na łóżku, tam, gdzie ostatnio.

Od razu otwieram na stronie czterdziestej trzeciej – kartki same zdają się tak układać – i widzę Olivera u stóp skały. Uśmiecha się rozanielony.

– Jak było na pływaniu?

Trzymałam się przez resztę treningu, w szatni, gdzie wszyscy patrzyli na mnie wilkiem i szeptali za moimi plecami, i przez dziesięciominutową drogę do domu. Ale teraz, przy Oliverze, nerwy mi puszczają i wybucham płaczem. Łzy kapią na książkę; jedna spada na Olivera jak balon z wodą i moczy go do nitki.

– Wybacz. – Pociągam nosem. – Miałam beznadziejne popołudnie.

– Może poprawię ci humor – mówi.

Sama twoja obecność poprawia mi humor, myślę. Uświadamiam sobie, że na basenie, kiedy życie mi się rozpadało, myślałam tylko o spotkaniu z Oliverem.

Który – prawdę powiedziawszy – nawet nie jest człowiekiem.

Wycieram oczy.

– Mało nie utopiłam najpopularniejszej dziewczyny w szkole... tej samej, której w zeszłym roku złamałam nogę. W poniedziałek rano wszyscy w szkole będą mną gardzić.

– Ja nie będę – zapewnia lojalnie Oliver.

Uśmiecham się blado.

– Dzięki. Ale na nieszczęście nie chodzisz do mojej szkoły.

– Ale może mógłbym... szybciej niż myślisz.

Otwieram szeroko oczy.

– Wpadłeś na coś? – Wolę rozmawiać o problemach Olivera niż własnych.

– Ha, znalazłem portal! Widziałem się z Rapskulliem, jest świetnym malarzem!

– Malarzem? Myślałam, że złoczyńcą!

– Nie. Pamiętasz, mówiłem ci, że to tylko jego rola w bajce. W każdym razie opracował technikę, dzięki której maluje coś na specjalnym obrazie przedstawiającym jego norę... i ta rzecz się materializuje.



– W ten sposób stworzył smoka...

– Właśnie. Ale jak widać, to działa również poza bajką.

Kręcę głową.

– I co z tego? Przecież nie mieszka tutaj. Nie może cię wmalować do tego świata.

– No tak, ale ja mógłbym się wymalować z mojego.

Dumam nad tym chwilę.

– Nic z tego. Po prostu przeniósłbyś się w inne miejsce w swojej bajce. Jak klon.

– Drzewo?

– Nie, klo... Nieważne. – Wstaję i zaczynam chodzić po pokoju. – Ale gdyby dało radę wmalować mój świat w norę Rapskullia, to może...

– Pomyślałam, że zechcesz coś przekąsić na pocieszenie...

Odwracam się na pięcie i w drzwiach widzę mamę z tacą. Przyniosła zapiekaną kanapkę z serem i szklankę mleka. Rozgląda się z zaciekawieniem.

– Z kim ty rozmawiasz, Delilah?

– Z ko... legą.

Mama znów się rozgląda.

– Przecież nikogo tutaj nie ma...

– Gadam przez telefon – dodaję pospiesznie. – Na głośnomówiącym. Prawda, Oliverze?

– Oczywiście nie odpowiada, a ja rumienię się jak ostatnia kretyńka. – Coś przerywa.

Mama unosi brwi. Chłopak?, pyta bezgłośnie.

Kiwam głową.

Podnosi kciuk i – postawiwszy tacę – wychodzi z pokoju.

– Mało brakowało – mówię do Olivera i wzdycham.

W uśmiechu szczyrzy zęby.

– Co na kolację?

– Czy możemy zachować powagę? Spodziewam się, że nie brałeś lekcji rysunku.

Parska śmiechem.

– To dla księżniczek.

– Czyżby? Powiedz to Michałowi Aniołowi. Założmy, że ktoś namaluje

na czarodziejskim płótnie mój pokój... a ty dodasz na nim swoją podobiznę. Logicznie rzecz biorąc...

– Znajdę się w twoim pokoju! – Aż mu się oczy świecą. – Delilah, jesteś niesamowita!

Ciarki przechodzą mi po plecach. Co by się stało, gdyby naprawdę się zjawił i usiadł przede mną? Przybiłby mi piątkę? Uściskałby mnie?

Pocałował?

Na tę myśl policzki pieką mnie żywym ogniem. Przyciskam je dłońmi w nadziei, że nic nie zauważył.

– Oho, zawstydziłem cię. Niech ci będzie. Nie jesteś niesamowita, tylko zupełnie zwyczajna. Pospolita. Nie ma na czym oka zawiesić.

– Przymknij się – burczę, ale się uśmiecham. – Przeprowadzimy eksperyment. Masz swój nóż?

– Oczywiście. – Oliver wyciąga sztylet z pochwy. – Bo co?

– Wydrap mój portret. Na skale.



Mruga.

– Teraz?

– Nie, w przyszły czwartek.

– Aha, dobra. – Chowa nóż.

– Żartowałam! Pewnie, że teraz!

Czy mi się zdaje, czy odrobinę pozieleniał?

– Jasne – mruczy. – Portret. – Dziobie nożem granit. – Twój portret. – Podchodzi do skały i zasłaniając mi widok, coś tam skrobie. Dwukrotnie odwraca się, żeby na mnie spojrzeć przez ramię.

Myślę o pięknych portretach w muzeach na całym świecie – o muzach uwiecznionych na płótnie: Monie Lisie, narodzinach Wenus, dziewczynie z perłą.

– Voilà. – Oliver odchodzi na bok.

Na skale widnieje nieproporcjonalna postać z wylupiastymi oczami, włosami w strąkach i z kreską ust. Jak widać, zdaniem Olivera wyglądam jak Muppet.

– Nieźle, co? – pyta z dumą. – Ale nos mi trochę nie wyszedł...

Nic dziwnego, ma kształt trójkąta.

Przygryzam wargę.

– Bez urazy, Oliverze, ale chyba nie nadajesz się do namalowania mojego pokoju.

Ze zmarszczonym czołem patrzy na portret, po czym się uśmiecha.

– Może i nie – mówi. – Ale znam kogoś, kto owszem.



Śniło się księciu Oliverowi, że syrena wciąż go całuje. Próbował się wyrwać, zaczerpnąć tchu – po czym otworzył oczy. Nie całowała go żadna syrena, tylko Buła lizał go po twarzy, a Strzała stał nieopodal, rżał i stukał kopytem. Oliver, mokry i nieprzytomny, usiadł na brzegu oceanu. Nie pamiętał, jak się tutaj znalazł; pewnie wzięłby niedawne wydarzenia za zły sen, gdyby nie to, że w jednej dłoni trzymał kompas, a w drugiej worek z syrenim łupem z wraku zatopionego statku.

Po godzinie dotarł z wierną świtą do Rzeki Goryczy, spienionego żywiołu, który pochłonął wielu śmiałków chcących przeprowić się na drugi brzeg. Jedyną nadzieję dawał Most Trolli, chociaż – co trzeba zaznaczyć – był niemal tak samo zgubny jak sama woda.

Powszechnie wiadomo, że trolle albo zawsze mówią prawdę, albo zawsze kłamią jak z nut. I dzień w dzień budują dwa mosty – jeden bezpieczny oraz jeden, który ma się zawalić pod byle ciężarem.

Oliver zsiadł z konia, poklepał Bułę i podszedł na skraj przepaści. Ujrzał trzy małe, krępe postaci pracujące po drugiej stronie. Jeden most wyglądał, jakby miał zaraz runąć, drugi sprawiał wrażenie solidnego – ale Oliver wiedział, że pozory bywają złudne.

– Halo! – zawołał, lecz trolle nie usłyszały go przez ryk wody.

Zajrzał do worka z syrenim skarbem i wygrzebał megafon.

– Halo! – wykrzyknął raz jeszcze i wszystkie trolle podniosły głowy. – Zacni panowie – zaczął. – Po którym moście przejdę na drugą stronę?

Pierwszy odezwał się Parch. Oliver usłyszał go bez trudu; wszystkie trolle mają tubalne głosy, od których drży ziemia.

– Patrzcie, co my tutaj mamy? Rycerzyka na koniku, a to co ma być? Przerośnięty szczur? – Parch pogładził się po długiej, siwej brodzie.

– Widzę, że ciężko harujecie, zacni jegomoście – podjął z uśmiechem książę. – Ale byłbym wam ogromnie wdzięczny za radę.

Liszaj i Świerzb, pozostałe trolle, ryknęły gromkim śmiechem, aż im się zatrzęsły brzuchy.

– Możesz spytać tylko jednego z nas – oznajmił Świerzb, najgrubszy. – Wybieraj waść.

Oliver się zastanowił. Jeśli trolle zawsze kłamały lub zawsze mówiły prawdę, na którym mógłby polegać?

– Czy mówisz prawdę? – ryknął przez megafon.

Parch odpowiedział, ale woda zahuczała tak, że Oliver nie dosłyszał odpowiedzi.

Liszaj zwinął ręce w trąbkę.

– Powiedział, że zawsze mówi prawdę!

– Gdzie tam! – zaoponował Świerzb. – Powiedział, że łże jak z nut!

Oliver przenosił wzrok z jednej paskudnej facjaty na drugą. Parch, uznał, musiał odpowiedzieć, że mówi prawdę. Tak brzmiałaby jego odpowiedź, gdyby faktycznie nie mijał się z prawdą, ale w przeciwnym wypadku również.

Co znaczyłoby, że Liszaj nie skłamał.

Innymi słowy, to on zasługiwał na zaufanie.

– Ty! – Oliver wskazał na trolla pośrodku. – Który most mam wybrać?

– Ten – odrzekł z dumą Liszaj, pokazując rozchwiany most.

Oliver ponownie wsiadł na konia i bez chwili wahania przejechał na drugą stronę.

– Należy się gwinea. – Parch chrząknął.

Oliver poklepał się po kieszeniach i sprawdził w sakwach przytroczonych do siodła, ale wszystkie monety wpadły mu do oceanu, kiedy był z syrenami.

Syreny.

Trolle podeszły z minami niewróżącymi nic dobrego, gotowe wdeptać go w ziemię.

– Panowie – rzekł. – Czy wiecie, co jest cenniejsze niż złoto? Prawdziwa miłość.

– Jesteśmy trollami – oświadczył Świerzb. – Zapomniałeś?

– Tak się składa, że znam trzy urocze damy, którym to nie przeszkadza – zapewnił księżę.

– Serio? – spytał Parch.

Oliver wyszczerzył zęby.

– Ja zawsze mówię prawdę – odparł.

OLIVER

– Narzuta – mówi Delilah.

– Uhm... różowa.

– Dobrze. Pluszowe zwierzaki na łóżku?

– Trzy.

– Świetnie. Jakie?

Przymykam oczy, usiłując sobie przypomnieć.

– Świnka, miś w dziwnej koszulce i kaczka z beczelnym dziobem.

– Książka?

– W fioletowej, skórzanej okładce ze złotym napisem „Z innej bajki”.

Dziwnie myśleć o swojej historii jako czymś namacalnym, zresztą nigdy nie widziałem jej z boku. Ale Delilah opisała ją ze wszystkimi szczegółami.

Poświęciła cały sobotni wieczór, „oprowadzając” mnie po komnacie z otwartą książką. Przeczytałem wróżby z chińskich ciastek, zatknięte za ramę lustra, poznałem jej ukochaną rybkę Dudleya, obejrzałem białą tablicę, po której może pisać i zmazywać, usianą pamiątkami z miejsc, odwiedzanych z matką: Flume w New Hampshire, z fabryki lodów Ben & Jerry, Bostonu, Statuy Wolności. Stwierdziliśmy, iż jedyną luką w naszym planie jest to, że Delilah nie może śledzić powstawania obrazu, malowanie musi bowiem odbyć się przy zamkniętej książce, w norze Rapskullia.

Uparła się więc, bym zapamiętał każdy szczegół dotyczący jej komnaty, ażeby oddać ją z jak największą dokładnością. Podobnie jak ja, woli przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności.

– Ile lamp? – pyta dalej.

– Trzy. Jedna na biurku, jedna przypięta do łóżka i jedna na toaletce. Obok lampy na toaletce stoi pozytywka, prezent od mamy na piąte urodziny. Na łóżku masz naklejkę Kermita, którą przyklepiłaś, gdy miałaś trzy lata i której nie da się zdrapać. Obok szczotki leżą trzy pary kolczyków, jeszcze ich nie schowałaś do szkatułki. – Uśmiecham się chytrze. – Czy teraz wierzysz, że jestem gotowy?

– Jak najbardziej.

– Dobra, to znikam.

– Czekaaj!

Patrzy na mnie i przygryza wargę.

– A co jeśli... to nie zadziała?

Wyciągam rękę, jakbym mógł jej dotknąć, ale oczywiście nie mogę.

– A jeśli zadziała?

Obwodzi palcem brzeg kartki obok mnie. Świat faluje.

– Do widzenia – mówi Delilah.

Nora Rapskullia wymaga gruntownego sprzątnia. W kątach wiszą pajęczyny i zdaje się, że szczur przemyka mi koło nogi, kiedy wchodzę.

– Czy jest ktoś w domu? – pytam wesoło.

– Tutaj. – Rapskullio siedzi pochylony nad motylem uwięzionym w słoju. W pokrywce są dziury, lecz owad szamocze się rozpaczliwie, próbując uciec.

Wiem, jak się czuje.

– Rapskullio. Potrzebuję twojej pomocy.

– Jestem ździebko zajęty, Wasza Wysokość...

– To sprawa życia lub śmierci.

Odstawia słoik na stół.

– Słucham. – Krzyżuje długie, kościste ramiona.

– Liczyłem, że namalujesz coś dla mnie. To ma być prezent.

– Prezent?

– Tak, dla przyjaciółki. Kogoś wyjątkowego.

Rapskullio się rozjaśnia.

– Na pewno znajdę coś odpowiedniego. Właśnie pracuję nad zbliżeniem trzmiela...

– Miałem na myśli coś innego – wpadam mu w słowo. – Może nieco bardziej romantycznego.

Drapie się w podbródek.

– Zobaczmy... – Kiwa głową. Idę za nim do sąsiedniego pomieszczenia, pracowni, w której byłem ostatnio. Wyciąga ze sterty trzy portrety Serafiny. – Wybieraj.

– Ale... to nie ma być prezent dla Serafiny.

Na usta wypełza mu chytry uśmiezek.

- No, no – cmoka. – Nasz księciunio kręci na boku.
- Odpuść sobie, Rapskullio. Dobrze wiesz, że Serafina i ja nigdy nie byliśmy parą.
- Więc kim jest ta szczęściara?
- Nie znasz.
- Rzekłbym, iż to wielce nieprawdopodobne, biorąc pod uwagę rozmiar naszego świata.

– Rechocze.

- Słuchaj. Proszę tylko o tę jedną przysługę, a zrobię wszystko, co zechcesz.
- Wszystko? – Zerka z ukosa.
- Jasne – potwierdzam z lekkim zaniepokojeniem.
- A... zaśpiewasz coś dla mnie?

Prawdę powiedziawszy, nie śpiewam lepiej, niż rysuję. Ale kiwam głową i Rapskullio odwraca się, przesuwając obrazy i bębni palcem w klawisz starego fortepianu.

Słucham początkowych taktów.

- Znasz? – pyta z nadzieją.
- Uhm. Znam. – Odchrząkam i intonuję: – Sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam, sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam... nieeeeeech zyyyyyyje nam.

Gdy kończę, Rapskullio ociera łzę z oka.

- To – siąka – było piękne.
- Eee... dziękuję.

Chrząka.

– Czasami trudno być złoczyńcą, wiesz? – Trąbi w chusteczkę i znów skupia na mnie całą uwagę. – O czym to rozmawialiśmy? Aha, twój obraz.

– Więc tak – zaczynam. – Chciałbym, żebyś namalował go na czarodziejskim płótnie.

Tym, którym ożywasz motyle.

Rapskullio łypie z urazą.

– Masz pojęcie, ile zajęło mi namalowanie mojej pieczary? Wybacz, Oliverze, ale nie mogę...

– Możesz. Ponieważ z chwilą, gdy opowieść zacznie się na nowo, płótno wróci do poprzedniego stanu. Jak zawsze.

Widzę, że trawi moje słowa.

– Rzeczywiście – przyznaje.

– Obraz ma przedstawiać komnatę. Z łóżkiem. Czyli sypialnię – tłumaczę.

– Tak przeważnie nazywamy komnatę z łóżkiem...

– Jest bardzo... dziewczęca. Ma różowe ściany.

Rapskullio bierze pędzel i miesza farby.

– Tak? – pyta, i ściany Delilah ożywają.

– Właśnie! – Wskazuję róg obrazu. – Tutaj znajduje się lustro... nie, ma jaśniejsze ramy.

Stoi na toalecie. Czy mógłbyś namalować pięć szuflad zamiast czterech?

Mozolnie dopracowujemy szczegóły. Kiedy Rapskullio napotyka jakąś przeszkodę (Abażur? Radio z budzikiem?), rysuję mu to na piasku zalegającym na posadzce.

– Na łóżku leży książka – ciągnę. – Fioletowa ze złotym napisem na okładce, „Z innej bajki”.

Unosi brew.

– Jak... tytuł naszej opowiadki?

– Uhm. Taki uroczy akcent. – Darowuję sobie wyjaśnienia. Udzielam mu dalszych wskazówek: Nie, magnes ma kształt trzewika, nie koła. A pościel jest bardziej jaskrawa niż pastelowa.

Gdy kończy, na płótnie widnieje idealna replika komnaty Delilah.

– No i? – pyta.

– Doskonale. Idealnie pod każdym względem.



Przede mną najtrudniejsze zadanie. Ustaliliśmy z Delilah, że jeśli mam się domalować, Rapskullio nie może o tym wiedzieć. To za duże ryzyko – a jeśli spróbuje mnie powstrzymać albo zdradzi Bule i reszcie, że chcę dać dyla? Mógłbym wkręcić go w domalowanie mnie w ramach prezentu, ale jeśli zorientuje się w trakcie i utknę pomiędzy światami? Artysta ze mnie marny, ale nie ma innego wyjścia.

Uknuliśmy plan – z pomocą czegoś o nazwie Google i poszukiwania rzadkich gatunków motyli. Delilah jest pewna, że Rapskullio połknie haczyk i mnie zostawi – a ja przy odrobinie szczęścia domaluję się do obrazu.

– O raj! – krzyczę, patrząc w okno. – Widziałeś?

– Co miałem widzieć?

– Nic takiego. To tylko motyl.

– Motyl? – Rapskullio strzyże uszami. – Jak wyglądał?

– Mały i niebieski... z biało-czarnym szlaczkiem na skrzydłach?

Rzuca się do okna.

– Modraszka adonis? Widziałeś modraszka adonisa? Przecież one wyginęły! – Rapskullio jest wyraźnie rozdarty. – Czy przypadkiem nie masz na myśli modraszka korydona?

– Ależ skąd – oświadczam. – To na pewno nie był korydon. – A co to za licho, korydon?

– Hmm. – Znów wygląda przez okno. – Skończyliśmy? Jeśli pozwolisz, ja na chwilę wyskoczę, może uda mi się go dogonić.

– A proszę cię bardzo – odpowiadam wielkodusznie. – Nie przeszkadzaj sobie.

Macham mu na pożegnanie. I przenoszę wzrok na płótno. Komnata Delilah wygląda jak żywa. Zazdroszczę Rapskullioowi talentu.



– Raz kozie śmierć. – Biorę pędzel porzucony na palecie. Zerkam na swoje odbicie w szybie: uznaliśmy, że patrząc na model, pójdzie mi lepiej. Dotykam pędzlem płótna, pozostawiając plamę wypisz wymaluj jak mój rękaw. Płuczę pędzel i mieszam nowy kolor w odcieniu mojej skóry.

Ale zaraz odkładam pędzel i przechodzę do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie motyl dalej

tłucze się w słoju. Odkręcam pokrywkę i patrzę, jak wyfruwa przez okno.

Jeśli plan się nie powiedzie, chociaż jeden z nas będzie wolny.



DELILAH

Czemu tak długo?

Czekam od półtorej godziny i wciąż nic. Zero. Nada.

Mogłabym otworzyć książkę.

Obiecałam mu, że tego nie zrobię.

Zniweczyłoby to wszystkie postępy i akcja toczyłaby się jak zwykle.

– Oliverze – mówię na głos. – To idiotyczne.

– Też tak sądzę.

Na dźwięk głosu mamy o mało nie skaczę pod sufit. Ze zmartwioną miną stoi w drzwiach.

– Minęła północ, Delilah. A ty gadasz do siebie cały wieczór... Nawet nie próbuj zaprzeczać. Podśluchiwałam pod drzwiami.

– Szpiegujesz mnie!

– Kotku. – Mama siada na łóżku. – Chyba powinnaś z kimś porozmawiać. – Niepewnie zawiesza głos. – Mam na myśli kogoś prawdziwego.

– Ale ja rozmawiam...

– Wiem, jak wygląda depresja, Delilah... i znam to uczucie. Po odejściu twojego ojca musiałam dzień w dzień zwlekać się z łóżka, żeby cię odwieźć do szkoły i robić dobrą minę do złej gry. Ale ty nie musisz udawać na mój użytek.

– Kiedy ja nie mam depresji, mamoo...

– Bez przerwy przesiadujesz w swoim pokoju. Mówisz, że nienawidzisz pływania, szkoły. A twoja jedyna przyjaciółka wygląda jak wampir...

– Sama mówiłaś, żeby nie oceniać książki po okładce – przekonuję, natychmiast myśląc o Oliverze. – Nic mi nie jest. Naprawdę. Chciałabym tylko pobyć sama.

Jej mina świadczyła, że trafiłam jak kulą w płot.

– W poniedziałek postaram się umówić ci wizytę u doktora Ducharme'a...

– Przecież nic mi nie dolega!

– Doktor Ducharme jest psychiatrą – wyjaśnia mama łagodnie.

Otwieram usta, żeby zaprotestować, ale w tej samej chwili coś migocze na wysokości jej lewego ramienia.

Ręka.

Pozbawiona reszty ciała, dryfująca, przezroczysta ręka.



Mrugam i przecieram oczy. Muszę natychmiast spławić mamę.

– Dobrze – mówię. – Cokolwiek zechcesz.

Szczęka jej opada.

– Chcesz powiedzieć, że się zgadzasz?

– Tak. Doktor Du-coś-tam. Poniedziałek. Jasna sprawa. – Stawiam ją na nogi i prowadzę do drzwi. – Rany, nie wiedziałam, że jestem taka zmęczona. Dobranoc!

Zatrząskuję drzwi i odwracam się przekonana, że ręka znikła, ale gdzie tam: wciąż wisi, ale dla odmiany z doprawionym ramieniem.

Tyle że to ramię jest płaskie i dwuwymiarowe. Jak na obrazku. Czyli spełniają się moje najgorsze obawy.

Wolałabym, żeby Oliver się nie zmieniał, tylko został taki, jak jest. Chciałabym, żeby inni ludzie – w tym mama – oczekiwali po mnie tego samego.

Łapię książkę i otwieram ją na stronie czterdziestej trzeciej. Oliver stoi u stóp skały. Zielony rękaw tuniki rozwiewa się na moich oczach i znika.

– Co ty wyprawiasz? – krzyczy Oliver.

– Ratuje ci życie!

– Byłem tak blisko!

– Zaczęłeś materializować się w moim pokoju, Oliverze. Płaski jak naleśnik. Czy naprawdę chciałbyś żyć w ten sposób w moim świecie?

– Może nie byłem jeszcze gotowy. Może na samym końcu urósłbym jak placek ze śliwkami.

– Jeśli nawet... jak ukończyłbyś wymalowywanie się z bajki? Musiałbyś zostawić chociaż palce lub rękę, by dokończyć obrazek.

Siada na ziemi.

– O tym nie pomyślałem.

– Wiem – odpowiadam ze smutkiem. – Bardzo mi przykro.

Siedzi z kolanami pod brodą i spuszczoną głową. Chciałabym mu powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, ale to się sprawdza tylko w bajce – z której próbuje uciec.

– Może wystarczy na dzisiaj – mówię szeptem. Kładę otwartą książkę na stoliku nocnym i wpełzam do łóżka.

– Delilah? – Ze strony czterdziestej trzeciej napływa głos Olivera. – Zrobisz coś dla mnie?

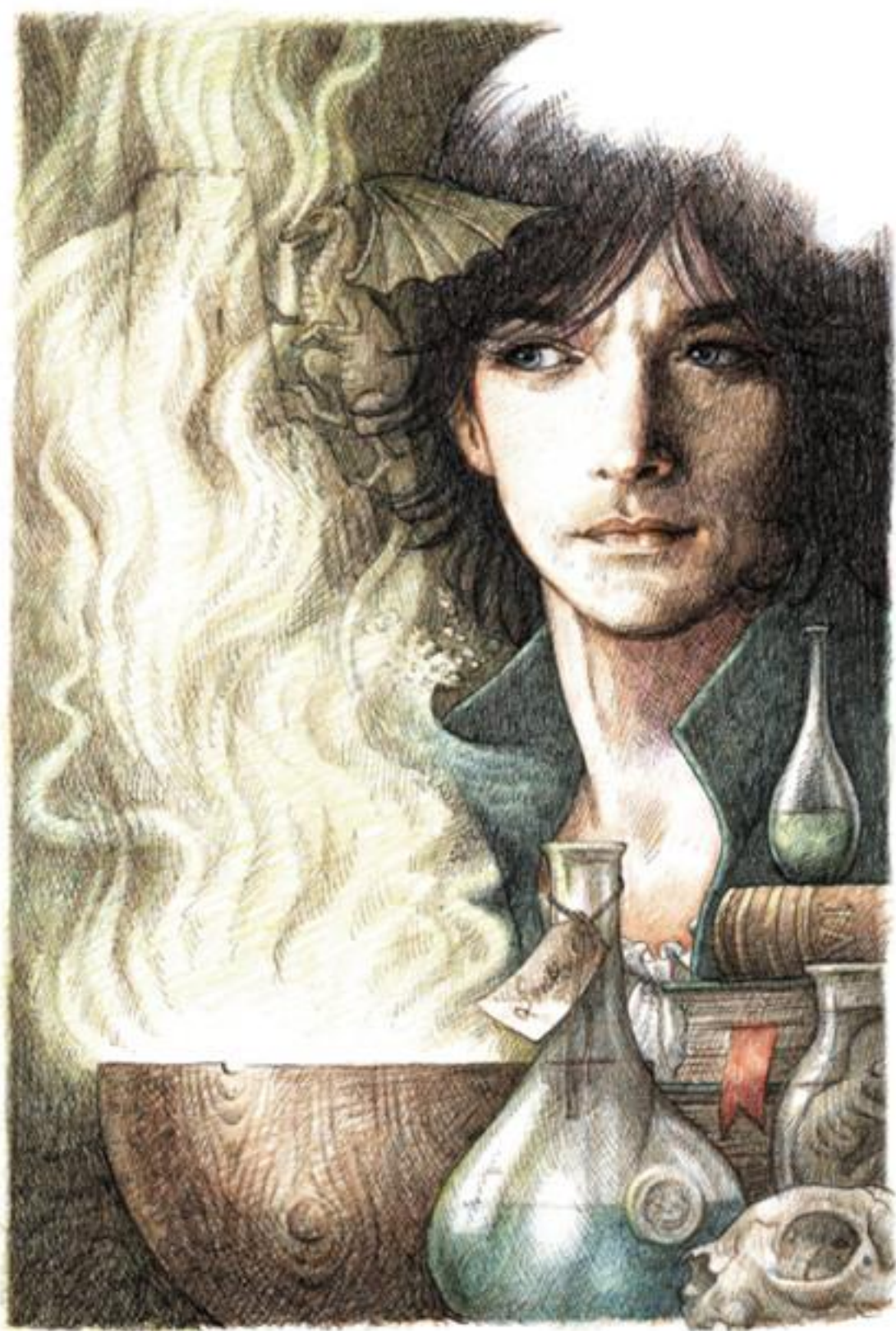
Siadam.

– No pewnie.

– Mogłabyś zamknąć książkę? – Odwraca wzrok. – Chciałbym tylko pobyć sam.

To samo powiedziałam mamie. Co, jej zdaniem, dowodziło mojej depresji. Chciałabym umieć pomóc Oliverowi. Ciekawe, czy mama podziela te odczucia wobec mojej osoby.

Ale tylko kiwam głową i ostrożnie spełniam jego prośbę.



Oliver wszedł do małej chatki. Wszędzie zalegały sterty książek i skupiska flaszek w przeróżnych kształtach i rozmaitej wielkości. Stary czarownik zaprowadził go do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie u sufitu gęsto wisiały suszone zioła i kwiaty. Wsadził sękaty palec do spierzchniętych ust i pośliniwszy go czubkiem języka, przerzucił zakurzone stronicę oprowianej w skórę księgi zakłęb. Wreszcie uśmiech zajaśniał mu na twarzy, pokrywając ją setką nowych zmarszczek.

– O – rzekł Orville. – Podaj mi kwiat rododendrona, z łaski swojej.

Oliver nie miał pojęcia, o czym mowa, ale wskazał na chybił trafił pomarańczowy pączek na kamiennym stole, przy którym stali. Kiedy Orville skinął głową, podał go czarodziejowi, a ten roztarł pąk w dłoniach i przesywał płatki do sporej, drewnianej misy.

– Trzy butelki po twojej lewej stronie. – Orville dolewał, mieszał, sprawdzał i kosztował. – Fiolka po prawej... tylko uważaj! – ostrzegł, gdy Oliver zorientował się, że szkło parzy jak ogień. Jego opuszka odcisnęła się zawijasem na ścianie.

Orville wziął zakraplacz, wsadził go do fiolki i odmierzył do drewnianej misy trzy skwierczące krople. Znikły z sykiem, utworzywszy słup pomarańczowych płomieni. Czarodziej zajrzał w serce ognia, którego błękitny środek jął oblekać się w kształty.

Oliver zobaczył wieżę i smoka zionącego ogniem. Tylko gdzie znajdowała się ta wieża? W samym królestwie było ich ze sto. Płomienie zanurkowały, wzbity się na boki i wtedy to zobaczył: skałę, która wznosiła się znad oceanu. Poszarpane skały poniżej, nacierające bałwany. Samotna Wieża była kiedyś warownią, od dawna stała pusta – i jako jedyna znana Oliverowi wieża znajdowała się na skale. Dobrze znał to miejsce.

– Dziękuję! – zawołał i wybiegł, jakby go ktoś gonił.

Po chwili zadudniły końskie kopyta i Oliver odjechał galopem. Orville ponownie zajrzał w płomienie, a te przekształcały się i zmieniały bez przerwy. Tym razem ujrzał czarny kosmyk opadający na złośliwe oko, bliznę, która przecinała policzek aż do brwi, okrutny uśmiech. Zgasił ogień skrobnią kukurydzianą i wybiegł z chatki, ale było już za późno.

Książę Oliver zniknął. Przekona się sam, że jego księżniczka ma towarzystwo.

OLIVER

– Ludzie, trzymajcie mnie, bo nie wytrzymam – mówi Rapskullio, widząc mnie po raz trzeci. – Czego znowu?

Nie chcę tutaj być. Nie chcę być nigdzie w tej głupiej bajce. Wróciłem do punktu wyjścia. Chociaż byłem przekonany, że znalazłem drogę ucieczki, Delilah ma rację. Nie mogę się stąd wymalować ani liczyć, że ktoś mnie w tym wyręczy, więc jestem w kropce.

Chciałem porozmawiać z Delilah, ale spała – zresztą sam jestem sobie winien, bo prosiłem, żeby zamknęła książkę. Po jej wyjściu czułem się tak kompletnie pokonany, jakbym się pograżał na zawsze. Żadna z rzeczy, które zwykle robię w wolnym czasie – szachy, długi spacer, ożywcza kąpiel w oceanie – nie mogła mnie oderwać od niewesołych rozmyślań. Aż nagle przypomniałem sobie Delilah.

Kiedy ona chciała uciec od swojego życia, czytała książki. Jak ta, na przykład.

Królowa Morena wspomniała o całej bibliotece w pieczarze Rapskullia – nigdy tam nie dotarłem, bo magiczne płótno odwróciło moją uwagę. Ale jeśli Delilah odrywa się od rzeczywistości dzięki bajkom, może podziałają one i w moim przypadku.

– Poczytałbym sobie – mówię do Rapskullia. – Podobno masz niczego sobie księgozbiór.

Twarz mu się rozpogadza.

– O, w rzeczy samej. Lubię zwłaszcza ballady trubadurów i podania ludowe, lecz na moich półkach znajdziesz wszystko: romanse, opowieści z dreszczykiem, komedie. Mam nawet parę dramatów niejakiego Szekspira. Niczego sobie.

– Mógłbym rzucić okiem? – pytam. – Sam nie wiem, czego szukam.

– Ależ bardzo cię proszę. – Rapskullio wskazuje kościstym ramieniem tunel na tyłach pieczary. – Rozejrzyj się, a ja zaparzę herbatę. Rumiankową. Nerwusek z ciebie ostatnio.

– Nie chcę sprawiać kłopotu...

– Żaden kłopot, naprawdę. – Trąca mnie łokciem i uśmiecha się kątem ust; blizna unieruchamia drugą połowę twarzy. – Może mi opowiesz o tej swojej dziewczynie.

– Dziewczynie? – Nie mogę opowiedzieć mu o Delilah. Chowam ją głęboko na dnie serca. To byłoby świętokradztwo.

– O tej, dla której miałem namalować obraz...

– Ach tak. – O dziewczynie wymyślonej pod pretekstem. Czekam, aż Rapskullio wyszedzie czajnik pod stosem wiekowych map, po czym odwracam się i przeciskam wąskim korytarzem na drugą stronę pieczary.

W małym pomieszczeniu unosi się zapach pleśni i wilgoci, półki sięgające od podłogi po sufit wycięto w sękatym orzechu włoskim. Uginają się od książek ustawionych poziomo i spiętrzonych w sterty. Są tutaj podręczniki astronomii, tomiska o gatunkach owadów oraz cała półka o malarzach renesansowych. Czytam tytuły na grzbietach. *Zielarska historia świata. Wojna i pokój. Opowieść o dwóch miastach.*



Gwizdze czajnik. Lada chwila zjawi się Rapskullio w nadziei na wynurzenia o zmyślonej pannie mieszkającej w królestwie. Sięgam po pierwszą z brzegu książkę. Może da mi natchnienie do kłamstw i nie wzbudzę podejrzeń.

Ale w ślad za nią wypada druga, wciśnięta głębiej w półkę. Podnoszę ją i strzepuję kurz, chcąc postawić ją staranniej, ale uzmysławiam sobie, że gdzieś już ją widziałem.

Fioletowa skóra ze złotym napisem.

Z innej bajki, czytam na okładce. Otwieram książkę i widzę siebie na ilustracji, jakbym spoglądał w lustro.

– Dawno, dawno temu – mamroczę pod nosem.

Może da mi natchnienie...

– Mleczko czy cukier? – W wąskim korytarzu słyszę kroki Rapskullia, więc wpycham książkę pod tunikę i czym prędzej sięgam po drugą. Udaję, że zatapiam się w lekturze.

Moja znajomość z Delilah zaczęła się od słów – od wiadomości wyrytej na skale. Dlaczegoż by nie miała zwieńczyć się tak samo?

Nie wmaluję się do jej świata, ale może zdołam wypisać się z mojego.

DELILAH

To przez mamę uzależniłam się od bajek.

Po odejściu taty zaczęłyśmy namiętnie oglądać disnejowskie adaptacje mrocznych, straszniejszych bajek. W wersji Disneya Mała Syrenka nie popełnia samobójstwa i nie zamienia się w pianę, tylko wyprawia huczne weselisko na statku i odpływa ze swoim księciem. Złe siostry prawdziwego Kopciuszka odcinają sobie pięty i palce, aby zmieścić stopy w szklanym pantofelku. Potrzebowałyśmy z mamą lukru, jaki zapewniały adaptacje. Siadałyśmy z miłą popcornu pod wielkim kocem i uciekałyśmy do krainy, gdzie czary miałyśmy na wyciągnięcie ręki, a mężczyźni ratowali swoich bliskich, zamiast ich porzucać. Do krainy, gdzie bez względu na chwilowe zawirowania finał zawsze był szczęśliwy.

Wiem, że to głupie, ale zawsze wyobrażałam sobie mamę jako disnejowskiego Kopciuszka. Sprzątała całymi dniami, po czym wracała do domu, pomagała mi w lekcjach, gotowała lub nastawiała pranie. Kiedy byłam młodsza, ilekroć dzwoniło do drzwi i na progu stawał kurier, listonosz albo rozwoziciel pizzy, marzyłam, że przybył książę; porwie mamę w ramiona i odmieni jej życie.



Ale nigdy się nie doczekałam.

Rzadko myślę o ojcu. Mieszka w Australii, z nową żoną i bliźniaczkami, które wyglądają jak księżniczki, mają złote loki i oczy w kolorze niezapominajki. Całkiem jakby zaczął nową bajkę, na drugim końcu świata, bez mojego udziału. Mama się zaklina, że jego odejście mnie nie dotyczyło, ale mam co do tego pewne wątpliwości. Zastanawiam się, czy przypadkiem byłam nie dość mądra, nie dość ładna... jakby czegoś mi zabrakło, żeby spełnić jego wymagania.

Raz, dwa razy do roku mi się śni. W tym śnie zawsze uczy mnie jeździć na łyżwach. Trzyma mnie za wyciągnięte ręce i jedzie tyłem, aby pomóc mi utrzymać równowagę. *Świetnie ci idzie, Lila*, mówi, bo tak mnie zawsze nazywał. Puszczą moje ręce, a ja – dech mi zapiera

ze zdziwienia – się nie przewracam. Sunę dalej, noga za nogą, jakbym frunęła. *Patrz*, wołam. *Ja jadę!* Ale gdy podnoszę wzrok, jego nie ma i jestem sama na mrozie.

Zawsze budzę się wtedy zmarznięta i osamotniona.

Tym razem chwilę patrzę w sufit, a następnie przewracam się na bok i sięgam po książkę z nocnego stolika. Otwieram na stronie czterdziestej trzeciej.

– Chwała niebiosom! – krzyczy Oliver. – Gdzieś ty się podziewała?

– Spałam – ucinam.

Z zastanowieniem omiata wzrokiem moją twarz.

– Co się stało?

– Nic. – Ostatnio często to powtarzam.

– To dlaczego płaczesz?

Zdziwiona dotykam policzków i czuję pod palcami łzy. Musiałam płakać przez sen.

– Tata mi się śnił.

Oliver patrzy spod oka.

– Jaki on jest?

– Nie widziałam go od pięciu lat. Jest teraz innym człowiekiem, ma nową rodzinę.

Przeniósł się do innej bajki. – Kiwamy głową. – Jakie to głupie. Polubiłam twoją historię z powodu tego jednego zdania na początku, o tym, że wychowywałeś się bez ojca. Ale przecież Maurycy nawet nie był twoim ojcem. To po prostu inny aktor.

– Ale wiem, jakie to uczucie być zdanym na siebie – odpowiada cicho Oliver. – Nie masz pojęcia, ile razy wydzierałem się w myślach, by Czytelnik zobaczył mnie takim, jaki jestem naprawdę, zamiast widzieć we mnie tylko jakąś durną postać z bajki.

– Dopóki ja się nie pojawiłam – zaznaczam.

Przytakuje.

– Tak, Delilah. Dopóki ty się nie pojawiłaś. – Nawet moje imię w jego ustach brzmi jakoś inaczej, milej dla ucha. – Naprawdę cię rozumiem – mówi z naciskiem. – Gdyby tak nie było, nigdy byś mnie nie usłyszała.

– Cóż, chyba jesteś jedyny. Tata mnie opuścił, a mama sądzi, że zwariowałam.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Bo zamiast wstąpić do klubu dyskusyjnego lub spędzać piątkowe wieczory z ludźmi, którzy chodzą na maratony *Władcy pierścieni* i mówią po elficku, tkwię po uszy

w książce, z której dawno wyrosłam.

– Hm, ja nie zwariowałem, a też tkwię po uszy w książce, z której dawno wyrosłem...

Uśmiecham się na te słowa.

– Para wariatów.

– Żebyś wiedziała. – Uśmiecha się szeroko. – Znalazłem inne rozwiązanie.

Wytrzeszczam oczy.

– No co ty? – szepczę. – To czemu nic nie mówisz?

– Bo płakałaś – oświadcza ze szczerym zdziwieniem. – To było ważniejsze.

Zach, weganin, w którym się ostatnio durzyłam, nie zadaje sobie trudu, aby mnie wpuścić przodem. Galanteria Olivera jest jedyna w swoim rodzaju.

Sięga pod tunikę i wyjmuję książkę w skórzanej oprawie ze złotym napisem – dokładną replikę tej, którą czytam.

– Znalazłem ją w księgozbiornie Rapskullia. Autorka wmalowała tytuł w ilustrację, obok setek innych. W trakcie lektury trudno je zauważyć, ale tam są. I zostają na swoim miejscu, gdy książka się zamyka. Patrz. – Kartkuje książkę, żebym mogła się przyjrzeć. – Identyczna, nie?

Tak mi się zdaje. Widzę Pyra, który zionie ogniem, i Bułę – biegnie przez Zaczarowany Las w otoczeniu wrózek. Dostrzegam też malutki obrazek – Oliver stoi na dziobie statku kapitana Kraba, z włosami rozwianymi przez wiatr.

Zastanawiam się, czy ten miniaturowy, fikcyjny książę też marzy o kimś, kto uwolni go z bajki.

– To logiczne, że nie mogłem wymalować się z opowieści, bo książka nie jest obrazem. Ale widziałaś rzeczy, które pisałem lub rysowałem na stronach, na przykład szachownicę i wiadomość na skale. Może napisanie opowieści od nowa w moim egzemplarzu wpłynie na twój.

– Nie zaszkodzi spróbować – przyznaję.

– O czym mowa?

Głos mamy dociera pod kołdrę. Wystawiam głowę.

– O niczym!

– Co tam masz?

Robię się czerwona.

– Nic, mam. Naprawdę!

– Delilah – mówi surowo mama. – Czy ty bierzesz narkotyki?

– Co? – Nie wierzę własnym uszom. – Nie!

Zrywa ze mnie kołdrę i widzi bajkę.



– Czemu ją chowasz?

– Wcale nie chowam.

– Czytałaś pod kołdrą... mimo że jesteś sama w pokoju.

Wzruszam ramionami.

– Może cenię sobie prywatność.

– Delilah. – Mama kładzie ręce na biodrach. – Masz piętnaście lat. To stanowczo za dużo na bajki.

Uśmiecham się blado.

– Hm... to chyba lepsze niż narkotyki.

Ze smutkiem kiwa głową.

– Ubierz się i zejdź na śniadanie – mówi ściszym głosem.

– Delilah... – zaczyna Oliver, kiedy drzwi zamykają się za jej plecami.

– Później pomyślimy – obiecuję. Zamykam książkę i wpycham ją do plecaka, ubieram się i zbieram włosy w kucyk. Na dole mama smaży jajka. – Nie jestem głodna – mamrocę.

– W takim razie może wolisz to. – Podaje mi talerz, na którym leży książka dla młodzieży. – Nie czytałam, ale zdaniem bibliotekarki robi furorę wśród twoich rówieśniczek. To coś o wilkołaku, który zakochuje się w syrenie. Nowy *Zmierzch*.

Odsuwam książkę.

– Dzięki, ale nie jestem zainteresowana.

Mama siada naprzeciw mnie.

– Czy nie zaniepokoiłabyś się, gdybym nagle zaczęła jeść kleik i oglądać *Ulicę Sezamkową*, Delilah?

– Nie mówimy o misiu Puchatku – przekonuję. – Tylko... tylko... – Ale próżny trud. Mama zaciska usta i oczy jej gasną.

– Wiem, skąd ta obsesja na punkcie bajki, skarbie, nawet jeśli nie chcesz tego przyznać sama przed sobą. Ale prawda jest taka, że księżęta to rzadkość, a szczęśliwe zakończenia nie rosną na drzewach. Wierz mi: lepiej dorosnąć i oszczędzić sobie rozczarowań.

Jakby dała mi w twarz. Zsuwa jajka na talerz i stawia przede mną, po czym wychodzi z kuchni.

Też mi optymistyczne nastawienie.

Nikt nie pyta dziecka o zdanie, ale ja myślę, że człowiek dorasta w chwili, gdy przestaje liczyć na najlepsze i zaczyna oczekiwać najgorszego. Jak wytłumaczyć dorosłej osobie, że całe zło świata być może płynie z faktu, iż przestała wierzyć w niemożliwe?

Zwykle mówię, że nie cierpię biologii, ale może jestem tylko uprzedzona. Moja nauczycielka, pani Brown, to żywa reklama swojego nazwiska¹: jest uzależniona od samoopalacza i pasków wybielających zęby, a do tego zamiast nam pomagać, marnuje czas opowiadaniem o swoich ulubionych miejscach na Karaibach. I tak zamiast uczyć się o podziale komórek, mogę napisać przewodnik o wyspach Bahamy.

Całą niedzielę spędziłam w swoim pokoju, obmyślając z Oliverem jego ucieczkę. Często zbaczaliśmy na inne tematy. Opowiadałam mu rzeczy, o których nigdy nikomu nie wspominałam: że martwię się o mamę; że wpadam w panikę, kiedy ktoś pyta mnie, kim chcę zostać; i jak by to było przez godzinę cieszyć się powszechną sympatią. Z kolei Oliver zwierzył mi się ze swojej największej obawy: że nic nie dokona w życiu. I zamiast niezwykły, będzie zupełnie zwyczajny.

Odpowiedziałam mu, że z mojej perspektywy osiągnął swój cel.

I że wolałabym umrzeć, niż w poniedziałek iść do szkoły i stawić czoło Allie McAndrews. Ale trwa trzecia lekcja, a jej nie ma.

Może Oliver ma rację: życzenia mogą się spełniać.

– Czy wszyscy mają zaby? – pyta pani Brown. Patrzą na nieszczęsnego, martwego płaza, który leży przede mną. Zwykle na ćwiczeniach siedzę z Zachem, ale jako weganin ma zwolnienie z tych zajęć i w zamian pisze niezależną pracę o hormonach wzrostu u krów dojnych.



Drzwi się otwierają i wchodzi Allie McAndrews z podbitymi oczami. Wygląda jak szop prac i ma dwa plastry skrzyżowane na nosie. Podaje pani Brown usprawiedliwienie.

– Przepraszam za spóźnienie – mówi.

– Lepiej późno niż wcale – odpowiada nauczycielka. – Może usiądziesz z Delilah, Allie? Allie rzuca mi nienawistne spojrzenie i siada obok.

– Spróbuj mnie dotknąć – szepcze – a zamienię twoje życie w koszmar.

– A teraz każdy bierze swoją żabę. Macie zmierzyć tylne kończyny...

Odwracam się do Allie.

– Chcesz... zacząć?

Patrzy z pogardą.

– Wolę wstąpić do klubu szachowego.

Ja wstąpiłam w zeszłym roku.

– No dobra – mówię. Wybacz, mały, myślę, po czym biorę żabę i sięgam po linijkę.

Ryan, chłopak Allie, przysuwa krzesło do naszego stołu, choć powinien pracować z kimś innym.

– Cześć, piękna. – Uśmiecha się szeroko. – Co powiesz na to, żebyśmy zamówili żarcie, wypożyczyli film i nie obejrżeli go dzisiaj wieczorem?

– Nie jestem w nastroju – burczy Allie, zerkając na mnie. – Muszę iść do domu i przyłożyć lód.

– To był wypadek – zapewniam. – Chyba nie przepłynęłam w poprzek basenu, żeby rozkwasić ci nos. – Chociaż nie wykluczam, że miałam na to ochotę.

– Wymiatasz wszystkie dziewczyny nawet z podbitym okiem, mała – oświadcza Ryan. Allie splata palce z jego palcami.

- Tylko tak mówisz.
- Jak babcię Kocham – zapewnia Ryan.
- Kocham cię, skarbie – mruczy Allie.

Ryan uśmiecha się z zadowoleniem.

- Ja ciebie bardziej.

Brałam pod uwagę, że rzucę pawia na biologii, przy czym byłam skłonna przypisywać to raczej żabie.

Pani Brown przechodzi obok naszego stołu. Nie komentuje obecności Ryana.

- Zbadajcie teraz klatkę piersiową. Kto wymieni brakującą część układu kostnego?

Czekam, aż Allie przejmie żabę.

- Twoja kolej? – proponuję.
- Żeby rozkwaśnić tobie nos? A może złamać kolano?
- Niech ci będzie. – Znów oglądam żabę.

- Co mam zamówić? – pyta Ryan. – Chińszczyznę? Indyjskie danie? Włoskie?

- Żeberka – ogłaszam.

Oboje patrzą na mnie z obrzydzeniem.

- Nikt cię nie pytał o zdanie – warczy Allie.
- Nie... Mówię o żabie. Brakująca część układu kostnego to żebra.

Allie potrząsa grzywą.

- A kogo to obchodzi?
- Ostrożnie. – Pani Brown zwraca się do chłopca na prawo ode mnie, który tak ściska żabę, że puchnie jej głowa. – Sekcja to nauka i forma sztuki. Okażcie swoim żabkom trochę miłości.

Nagle Ryan łapie wielką pięścią żabę z naszego stołu.

- Właśnie... trochę miłości. – Podsuwa mi płaza pod nos, aż czuję zapach chemikaliów i truchła. Odsuwam się jak oparzona, w wyniku czego przewracam krzesło i robię tyle zamieszania, że wszyscy odwracają głowy w naszą stronę. – Moja wina – oznajmia Ryan.
- Myślałem, że to zaczarowany książę...



Klasa wybucha śmiechem, a ja robię się czerwona jak burak.

– Dosyć tego! – woła pani Brown. – Ryan, marsz do dyrektora; widzimy się po lekcjach. Delilah, idź do łazienki i doprowadź się do ładu.

Kiedy chwytam plecak i wybiegam z sali, uczniowie milczą jak zakłęci. Nagle słyszę od progu „Kum, kum!”. Jakiś dowcipniś w ostatnim rzędzie. Wszyscy chichoczą, a pani Brown (bezsukutecznie) ich ucisza.

Łazienka dziewcząt świeci pustką. Szoruję twarz i ręce, po czym wycieram się papierowym ręcznikiem. Dawniej w trudnych chwilach zwracałam się do Jules – jedynej osoby, która niezawodnie poprawiała mi humor. Ale dzisiaj rzucam się do plecaka. I podobnie jak rano, jedyną osobą, z którą mam ochotę rozmawiać, jest Oliver.

Grzebię w plecaku, przerzucam zeszyty i śniadaniówkę, lecz ani śladu książki.

– O nie – mamroczę i wyciągam zeszyty. W środku zostają tylko papierki, tępe ołówki, pokruszone batoniki i czterdzieści dwa centy.

Bajka – własnoręcznie schowałam ją rano do plecaka – przepadła jak kamień w wodę.

Stwierdzam, iż nie wrócę na biologię. Wytlumaczę się przed panią Brown, że byłam roztrzęsiona i musiałam pilnie iść do psychologa. Biegnę do biblioteki, gdzie pani Winx metkuje nowe książki kodem kreskowym.

– Pani Winx – mówię. – Czy ktoś oddał *Z innej bajki*?

– Przecież ty ją ostatnio wypożyczałaś.

– Zdaje się, że niechcący zostawiłam ją w stołówce...

– W razie czego dam ci znać.

Z ciężkim sercem wychodzę z biblioteki. A jeśli nie znajdę książki? Jeśli przepadła na zawsze?

Co ja bez niego zrobię?

Nigdy nie byłam zakochana, ale zawsze wyobrażałam sobie miłość jako coś w rodzaju reklamy środków czyszczących. Widzimy szarą rzeczywistość, po czym ktoś bierze gąbkę namoczoną w miłości i wyciera plamy. I nagle wszystkie błędy, cała samotność, idą w niepamięć. Kolory lśnią jak klejnoty, dziesięć razy żywsze niż przedtem. Muzyka rozbrzmiewa głośniejsz i dźwięczniej. *Miłość*, oznajmia uroczyście głos spoza kadru, *dodaje życiu blasku*.

Kiedy rozmawiam z Oliverem, czuję, jakby prócz nas nie było nikogo na świecie.

Kiedy rozmawiam z Oliverem, mogłabym rozmawiać w nieskończoność. Chcę wiedzieć,

ile miał lat, gdy się nauczył jeździć konno, jaki jest jego ulubiony kolor i o czym rozmyśla tuż przed zaśnięciem.

Kiedy rozmawiam z Oliverem, myślę sobie, jak by to było wziąć go za rękę.

I bez względu na to, co Ryan i moja mama sądzą o mnie i bajkach – tak naprawdę wcale nie szukam księcia.

Oliver sprawia, że przy nim czuję się jak księżniczka. I wcale nie musi o to zabiegać.

Na siódmej godzinie Jules i ja mamy kurs jazdy, naszą jedyną wspólną lekcję w tym półroczu. Trzeci uczeń, Louis Lamotte, od którego zawsze zalatuje rosołem, siedzi za kółkiem. Jules i ja jedziemy z tyłu, a pan Barnaby próbuje utrzymać Louisa na prawym pasie.



– Powiesz mi, o co jesteś obrażona, czy zagramy w „Jeden z dziesięciu”? – pyta Jules.

– Wcale nie jestem obrażona!

– Uhm, jasne. Cały weekend nie odpisujesz na esy, nie czekasz na mnie po szkole, na obiedzie traktowałaś mnie jak powietrze, a gdy powiedziałam, że na tyłku rośnie mi asteroida, uznałaś, że „to fajnie”.

– Jestem trochę nieprzytomna – przyznaję. – Ale nie obrażona.

– Dziewczynki – wtrąca pan Barnaby. – Macie się przyglądać.

Jules nie zwraca na niego uwagi.

– Kiedy w zeszłym roku złamałaś w czasie rozgrywek kolano Allie McAndrews, dowiedziałam się pierwsza. Zadzwoiłaś we łzach i oznajmiłaś, że mam uciec z tobą do Meksyku, bo za nic nie wrócisz do szkoły. Wiesz, od kogo usłyszałam o jej złamanym nosie? Od gówniarza, który zawsze ciamka gumę w bibliotece. – Świdruje mnie wzrokiem. – Nie wiem nawet, jak ma na imię, ale widać jest lepiej zorientowany niż ja.

– Słuchaj – odpowiadam. – Nic przed tobą nie ukrywam. I nadal jesteś moją przyjaciółką. Po prostu w domu mam... Sajgon. Mama chce mnie wysłać do psychiatry.

Jules wzrusza ramionami.

– Wielkie rzeczy. Moi starzy wysyłają mnie dwa, trzy razy w roku. Powiedz mu, że masz głęboko zakorzeniony kompleks na tle ojca, a da ci spokój.

– Dziewczynki! – rzuca przez ramię pan Barnaby. – Louis ma się skupić!

– Louis ma wiele rzeczy – mruczy pod nosem Jules. – Ze szczególnym uwzględnieniem nieświeżych skarpet.

Tłumię chichot. Jules zerka z ukosa i szturcha mnie ramieniem.

– Nie zamykaj się, dobra? – I wybacza mi, tak po prostu.

Czułam, że błędzę jak we mgle, bezskutecznie dociekając w myślach, gdzie mogłam zostawić książkę. Nie znalazłam jej do końca lekcji. Wlokę się przed szkołę, tam czekają samochody, i znajduję mamę.

– I jak ci minął dzień? – pyta, kiedy otwieram drzwi.

Wzruszam ramionami.

– Normalnie.

– Czyżby? A nie zapomniałaś czegoś przypadkiem? – Podaje mi *Z innej bajki*.

– Gdzie ją znalazłaś? – krzyczę i wyrywam jej opowiadanie. Wiem, że Oliver i spółka polecą na złamanie karku, ale kartkuję książkę, nie zatrzymując się na żadnej stronie. Następnie przyciskam ją do piersi. – Chwała Bogu! Myślałam, że ją zgubiłam!

Mama kiwa głową.

– I dlatego jedziemy do doktora Ducharme’a, Delilah.

– Teraz? – Myślałam, że poczekamy na wizytę parę miesięcy. Minie trochę czasu, ona zapomni i będzie po sprawie, nie pójdziemy.

– Nie ma się czego wstydzić. Po prostu chwilę porozmawiacie. Pomoże ci zlokalizować, co cię trapi.

Mało nie wybucham płaczem ze złości. Nic mnie nie trapi, mam dość przypisywania mi uczuć.

– Ty z nim porozmawiaj – pryham. – Wieziesz mnie do psychiatry, a sama nie otworzyłaś się od pięciu lat! Lepiej harować jak wół, bo nie ma czasu na autorefleksję!

Mama się podrywa, jakbym ją uderzyła.

– Nie masz pojęcia, jak wyglądało moje życie, Delilah. Zostałam sama z córką i zerowym dochodem. Ledwo spłacam kredyt. Muszę zaoszczędzić na twoje studia. Ktoś tu musi być dorosły, a to polega na odróżnieniu życia od bajki.

– Znam różnicę między życiem a bajką! – krzyczę. Ale czy przypadkiem nie mijam się z prawdą? I czy wychodzi na to samo, jeśli najchętniej połączyłabym jedno z drugim?

1 *Brown* (ang.) – brązowy.



Oliver stracił rachubę dni, które spędził pod pokładem, odkąd zamknęli go tutaj Szpachelka i Zezik. Okręt zapadał się i piał na szalejące bałwany; książę czuł, jak ściany drżą pod naporem burzy.

Ratowanie księżniczki wymagało wyrzeczeń, lecz niewola u kapitana piratów w roli rytualnej ofiary mu się nie uśmiechała.

Szarpnął łańcuchy, ale mocno trzymały. Na podłodze stała taca z obiadem, którego nie tknął, bo krakersy się ruszały. Dla ścisłości: to nie one się ruszały, tylko zapieczone w nich robactwo.

Zastanawiał się, po co karmią więźnia przeznaczonego na poczęstunek dla narwanego i bardzo głodnego smoka. Ten sam, którego stworzył Rapskullio przed szesnastu laty – i który zabił króla Maurycego – gnieździł się teraz na Przylądku Mijających Przyplływów, zagradzając drogę statkowi piratów. Może Oliver musiał nabrać ciała, żeby się nadawać na przekąskę.

Był ciekaw, co się stało z Bułą i Strzałą, których ostatnio widział na lądzie, gdy piraci zaciągali go pod pokład. I kiedy zjawi się kapitan Krab we własnej osobie, by posłać go na ostatni spacer prosto w paszczę smoka.

Zgrzytnął metal i drzwi jego celi stanęły otworem. Kapitan piratów wszedł do środka i zmrużył oczy.

– Chłopcy mówią, że nie współpracujesz – oznajmił. – Wiesz, co robimy z niewolnikami, którzy odmawiają współpracy?

Podszedł do stołu, przyśrubowanego do podłogi na wypadek sztormu. Oliver zobaczył, że wyciąga aksamitny rulon. Rozwiązał go i rozwinął – ukazały się kieszonki wypełnione lśniącymi narzędziami tortur.

Lecz nie były to noże, zaciski ani sztylety.

W zeszłym roku, podczas konnej przejażdżki po łące jednoroźców, królowej Morenie spadła tiara. Znaleziono ją wprawdzie, lecz była pocięta i wymagała naprawy. Wszczęto poszukiwania kogoś, kto podejmie się tego zadania, ale człowiek, który przybył do zamku, ku zdziwieniu wszystkich zebranych poprosił, by królowa zasiadła na tronie i otworzyła szeroko

usta.

Jak widać, istnieją korony, które noszą monarchowie na głowach... i korony, które w razie braków w uzębieniu nosimy w jamie ustnej.

Aksamitne kieszonki kapitańskiego przybownika zawierały zgłębniki, lusterka i wiertła do borowania.

– Jest pan... dentystą? – zdumiał się Oliver.

Kapitan w pierwszej chwili wybałuszył oczy. Ale zaraz się otrząsnął.

– Gdzie tam. Jestem strasznym piratem, a ty, mój chłopcze, przystawką.

– Możliwe – odparł książę. – Ale dentystą także.

Kapitan zipnął, po czym dopadł Olivera i zatkał mu usta.

– Nikomu nie powiesz, prawda? Muszę dbać o swoją reputację.

– To zależy od tego, czy mnie pan wypuści – rzekł książę.

– Nie mogę. – Kapitan pokręcił głową. – Jeżeli nie nakarmię tobą smoka, sam skończę na półmisku.

Oliver rozważył jego słowa.

– A jeśli panu powiem, że możemy opłynąć przylądek inną drogą... i znajdę panu najlepszego pacjenta, jakiego miał pan w życiu?

OLIVER

Od rana czekam cierpliwie, aż Delilah wyjdzie ze szkoły i do mnie wróci. Chciałbym podjąć naszą rozmowę o bajce znalezionej u Rapskullia. Dowiedzieć się, czy jej zdaniem plan ma większe szanse na powodzenie, bym nie wylądował u niej płaski jak kalkomania. Musi mi doradzić, co powinienem dopisać w książce i gdzie, gdyż zdaje się, że ma większe doświadczenie jako czytelnik. I wreszcie trzeba opracować plan, co zrobimy, jeśli – gdy – stąd wyjdę.

Kogo ja nabieram? Chcę po prostu spędzić z nią więcej czasu i tyle.

Myślę, że gdy żyje się w ramach ograniczonego świata, jak ja – wśród dobrze znanych rzeczy, w znajomym środowisku – człowiek traci nadzieję, że przytrafi mu się coś niezwykłego. Wszelkie jego działania zawsze będą powtórzeniem. Ale z Delilah wszystko jest nowe i fascynujące. Na przykład, któż by podejrzewał, że istnieje szumiąca strzelba, którą można wysuszyć mokre włosy, by końcówki nie zamarzały podczas konnej przejażdżki w mroźny poranek? Albo że są urządzenia, mające tylko jedną stronę, ale naciśnięciem klawisza można je zapęłnić nowym tekstem? Na każde z moich pytań Delilah ma w zanadrzu swoje: czy istnieje więcej podobnych książek i czy wszyscy bohaterowie żyją własnym życiem, kiedy nie czytamy? (Tutaj musiałem wykręcić się od odpowiedzi, gdyż mogę mówić tylko na podstawie własnego doświadczenia). Kiedy uświadomiłem sobie, że tkwię uwięziony w bajce, zamiast trwać w złudzeniu, iż żyję swoim życiem? (Również trudno powiedzieć, bo zawsze miałem i mam szesnaście lat, i tak już zostanie). Są też pytania, które zadaje mi szeptem, gdy zapada noc i zostajemy tylko my dwoje w ciemności: Kim byłbyś, gdybyś mógł być wszystkim? Dokąd byś poszedł?



Nie zawsze mam gotową odpowiedź. Lecz sam fakt, że Delilah zadaje mi te pytania, jest jak czary. Nikomu dotąd nie postało w głowie, że mogę być kimś innym, niż wynika z książki. Żaden Czytelnik nie powziął przypuszczenia, że w mojej głowie kłębią się myśli inne od umieszczonych tam przez autorkę.

Wczoraj wieczorem Delilah spytała, czy wierzę w opatrność.

– Chyba nie – odpowiedziałem. – Nie byłbym w stanie pogodzić się z tym, że moim przeznaczeniem jest odegrać rolę w cudzej historii.

– A co, jeśli jest inaczej? – szepnęła. Było późno; minęła północ i księżyc osrebrzył połowę jej twarzy. Wyglądała jak nie z tego świata. Jak z bajki.

– Nie nadążam...

– Jeśli jesteśmy sobie przeznaczeni? – dodała. – Jeśli siła wyższa... przeznaczenie, opatrność, jak zwał, tak zwał... skłoniła Jessamyn Jacobs do napisania tej historii, bo tylko dzięki temu mogliśmy się spotkać?

Spodobało mi się to; myśl, iż łącząca nas więź znosi granicę między prawdą i zmyśleniem, książką i Czytelnikiem. I że choć zaistniałem jako czyjś wymysł, nie jestem przez to ani trochę mniej prawdziwy.

Dzisiaj, kiedy Delilah jest w szkole, siedzę na koślawej gałęzi w Zaczarowanym Lesie. Wróżki trzepoczą dokoła mnie, trajkocząc trzy po trzy. Wprawdzie lubią plotecki, ale w przeciwieństwie do odgrywanych przez siebie postaci są w dechę. Chętnie służą nam za pionki

do gry w szachy oraz przeczesują pęknięcia i szczeliny w poszukiwaniu zagubionych monet i guzików. Są też najsilniejszymi postaciami w całej bajce (mają jeszcze większą krzepę niż trolle) i pomagają królowej Morenie w przemeblowaniu, ochoczo targają sprzęty w dół i w górę po schodach. Widziałem na własne oczy, jak wróżka przetoczyła głaz – tarasował drogę do zamku – bez niczyjej pomocy i większego wysiłku.



– Czy mogę pożyczyć twój błyszczak z trujących jagód, Migotko? – pyta Iskierka.

– Kup sobie własny – odpowiada Migotka. – Wiecznie coś ode mnie bierzesz. – Ale rzuca żołądz Iskierce, która odkręca czapeczkę i zanurza palec w błyszczaku. Przegląda się w kropli rosy i przeciąga nim po wargach. Próbuję czytać, lecz gałęzie zasłaniają mi światło. Naraz na kartkę pada rozchybotany blask. Mrużę oczy i widzę roziskrzoną Żagiewkę.

– Dzięki – mówię.

Posyła mi promienny uśmiech.

– Nie ma za co.

Przerzucam stronicę, podświadomie zachodząc w głowę, czy gdzieś w innym świecie sztab książąt, syren i piratów biegnie na stanowiska, żebym mógł oddać się przyjemności lektury.

I czy książkę też usycha z miłości.

– Miłość? – mówię na głos.

– Miłość? – powtarza Migotka.

– Czy ktoś wspomniał o miłości? – interesuje się Żagiewka.

– Miłość? – słyszę ponownie, i echo powtarza to słowo w ślad za każdą wróżką w lesie.

– Oho – wtrąca Iskierka. – A co ja wam mówiłam?

– Pamiętasz, jak wczoraj wpadłeś na drzewo? – pyta Żagiewka.

– Wtedy zaczęliśmy przyjmować zakłady – dodaje Migotka.

Przysiadają mi na ramionach.

– Kim jest ta szczęśliwa księżniczka? – zagaduje Żagiewka.

Nie mam zamiaru im mówić, nie mógłbym w ten sposób zdradzić Delilah.

– Nie znacie jej. Nie jest stąd.

– Uhm... a kto nie jest? – docieka Iskierka.

Nagle słychać szczekanie zza drzew.

– Buła. – Czuję ulgę.

– Dam głowę, że Buła jest stąd – zauważa przytomnie Iskierka.

Odpędzam je i zeskakuję z gałęzi w chwili, gdy Buła hamuje u stóp drzewa.

– Cześć, stary... masz chwilkę? – Zerka na mnie. Znam ten wyraz pyska – widuję go pod stołem, kiedy Buła zebrze o resztki.

Z ociąganiem chowam książkę pod tunikę. Wychodzimy z lasu, jak najdalej od ciekawskich uszu wrózek, po czym Buła puszcza się biegiem. Ledwo za nim nadążam.

Mijamy ścieżkę nad przepaścią i zakręt do chatki czarodzieja Orville'a.

– Skąd ten pośpiech? – wołam bez tchu.

– Musimy zdążyć na łąkę jednoroźców – odkrzykuje Buła.

– A co jest na łące jednoroźców? – pytam, gdy wpadamy na jej środek. Śnieżnobiałe istoty z rogami na czołach skubią bujną, srebrzystą trawę.

– Ty – przyznaje Buła i zatrzymuje się w miejscu. – Powiedziałem Serafinie, że tutaj będziesz.

– Po co?

Wbija wzrok w ziemię.

– Żeby przysła. Gdyby chodziło tylko o mnie, nie zwracałaby sobie głowy.

Buła – jak dowiadujemy się z tła, które wszyscy znamy na pamięć – był kiedyś człowiekiem. Do tego moim najlepszym kumplem, dopóki Rapskullio nie gwizdnął Orville'owi jakichś ziół z zamiarem uśmiercenia młodego księcia (czyli mnie), będącego przeszkodą na drodze jego miłosnych planów wobec Moreny. Ale pech chciał, że ziołowy wywar trafił przez pomyłkę w ręce (i do przetyku) Buły, który umarłby niechybnie, gdyby nie interwencja Orville'a. Czarodziej nie mógł odwrócić klątwy, lecz złagodził czar: Buła przeżyje, ale pod inną postacią. Miało to uchronić go przed gniewem Rapskullia.

Tak przynajmniej wynika z toku opowieści. Ale ja znałem Bułę tylko jako psa, bo jest nim w chwili rozpoczęcia bajki, chłopcem tylko w retrospekcji, a tego rodzaju bohaterowie różnią się od nas, postaci z krwi i kości, nawet poza sceną. Dlatego nie poznałem króla Maurycego, a Buła jest psem... o duszy i sercu młodzieńca.

Beznadziejnie i po uszy zakochanego w Serafinie. A ta nie zwróciłaby na niego uwagi, nawet gdyby nie miał pcheł.

– O, Buło. – Drapię go za uchem. – Nie jestem ci potrzebny na podryw.

– Czyżby? To dlaczego rozjaśniła się jak niebo o poranku na dźwięk twojego imienia?

Wzdrygam się na myśl o Serafinie.

– Nie przeszkadza ci, że nie odróżnia prawdy od fabuły?

– Nie bardzo. Wmawiam sobie, że to dlatego nie wzbudzam jej zainteresowania. Dla niej jestem tylko psem.

Przypuszczam, że Delilah też ma pewien problem z oddzieleniem fikcji od rzeczywistości.

– Mogę cię o coś spytać?

– Jasne.

– Skąd wiesz, że to ta jedna jedyna?

Buła macha ogonem.

– No... ma taką cudną, błyszczącą sierść... znaczy, włosy... i uroczą przerwę między przednimi ząbkami... A zauważyłeś, że śpiewa w chwilach zdenerwowania? I fałszuje?

– Podoba ci się to?

– Widzisz, skazy sprawiają, że kocham ją jeszcze bardziej. Może nie jest doskonała, ale dla mnie tak.

Myślę o Delilah: o tym, jak prycha, gdy się śmieje, jak obgryza paznokcie w chwilach głębokiego namysłu. Jak zdaje się nie wiedzieć najprostszych rzeczy – że na ból głowy najlepsza jest pijawka, a nie jakiś tam biały cukierek. Jak wróży z rzęs i gwiazd, a jedenasta jedenaście to jej zdaniem szczęśliwa godzina.

– Tak – mówię cicho. – Rozumiem.

Buła wydaje z siebie żaloszny skowyt.

– Też ją kochasz?

– Serafinę? W życiu. Po stokroć nie.

Rzuca mi spojrzenie zdradzające lekkie powątpiewanie.

Nawet gdybym nie chciał całować Serafiny, książka popycha mnie w jej ramiona. Brzydka nie jest, więc to całowanie ujdzie w tłoku i skoro już nie mam wyjścia, też mogę dać z siebie wszystko.

Ale zawsze potem dręczą mnie wyrzuty sumienia. Nie tylko z powodu Buły; wiem, że Serafina wkłada w ten pocałunek całą swoją namiętność, podczas gdy ja odwałam tylko robotę... wcale przyjemną.

– W takim razie musisz mi pomóc, Oliverze – błaga mój przyjaciel. – Jak sprawić, żeby zwróciła na mnie uwagę.

Zastanawiam się chwilę. Delilah zauważyła mnie bez udziału osób postronnych, a gdyby nawet Buła wyorał na łące napis POMOCY, rozjuszyłyby tylko jednorożce.

– Może dasz jej prezent? – podsuwam.

– Dałem jej kość, najlepszą, jaką zakopałem. Wyrzuciła ją!

– I co zrobiłeś?

Buła rozkłada łapy.

– Aportowałem.

Chodzę tam i z powrotem.

– Sęć w tym, że Serafina zawsze widzi we mnie bohatera, tymczasem ma go ujrzyć w tobie. Co znaczy, przyjacielu, że trzeba ci damy w opałach. – Parę jednorożców rzy cicho, kiedy za blisko podchodzę. – Otóż to. – Pstrykam palcami. – Odwałam kitę.

– Słucham.

– Tylko na niby. Żebyś mógł mnie uratować na użytek Serafiny.

– Bez urazy, Ollie, ale marna z ciebie dama. Poza tym nie mam zamiaru cię całować, wybij to sobie z głowy.

– Nie będzie takiej potrzeby. Udamy, że mnie jednorożec dźgnął. Musisz tylko powstrzymać sztuczne krwawienie. – Pochyliłam się nad krzakiem malin i zrywam garść.

Buła rozgląda się z niepokojem.

– Zgłodniałeś? Serafina będzie tutaj lada chwila.

– Nie będę ich jadł – mamroczę, rozgniatając owoce w dłoniach. Sok cieknie mi przez palce. Rozchyłam tunikę i rozsmaruję go na białej koszuli. I już na piersi mam krwawiącą ranę.

– Jest tylko jeden mały problem – oświadcza Buła. – Jednorożec jeszcze nigdy nikogo nie dźgnął. To najmilsza istota w całej książce.



– Hm... może mu zagrałem na nerwach. – Kładę się z głową na kamieniu i przyciskam „ranę” ręką.

Buła drepcze nerwowo w kółeczko.

– Nic z tego, Oliverze. Ona się połapie. Ja nie umiem grać...

– Żartujesz? Dzień w dzień grasz psa. Pójdzie ci jak z płatką.

Nagle słyszymy fałszywe tony piosenki. Jednorożce pierzchają w popłochu.

– Oliverze! – szczebiocze Serafina. – Bawimy się w chowanego, najdroższy?

– Dobra nasza! – szepcze Buła, zerkając na moją minę. – Pozieleniałeś.

Serafina płąsa przez łąkę, ale widząc mnie powalonego i we krwi, krzyczy wniebogłosy.

– Oliverze!

Buła wskakuje mi na klatkę.

– Trzymaj się, kolego – mówi. Patrzy na Serafinę. – Jednorożec się znarowił. Oliver stracił dużo krwi. – Przyciska łapą środek rany. – Zdejmij mi obrozę – woła.



– Że co proszę?

– Na opaskę uciskową – tłumaczy Buła.

Widzę kątem oka, że Serafina patrzy na niego jak jeszcze nigdy dotąd. Ale w jej oczach nie dostrzegam podziwu.

Tylko żądzę rywalizacji.

Chwyta go oburącz i stawia na trawie.

– Sio, piesek. – Klęka przy moim boku. – Nie odchodź z aniołami, Oliverze! – krzyczy.

– Zostań ze mną!

Z tymi słowy przygniata mnie całym ciężarem i z potężnym wydechem klei usta

do moich ust, co ma być zapewne sztucznym oddychaniem, ale przypomina mokry pocałunek. Krztuszę się i siadam z rozmachem.

– Udało się! Ocalony! – Serafina bierze mnie w objęcia. – Ach, Oliverze! Nie wiem, czy to życie naśladuje sztukę, czy odwrotnie... ale cieszę się, że będziemy żyć razem długo i szczęśliwie!

Jęczę.

– Gdzie ten jednorożec?

– Za górami, za lasami, najdroższy. A co?

– Niech mnie znowu dźgnie.

Buła przysuwa się z podkulonym ogonem. Wybacz, mówię bezgłośnie.

Serafina siada obok mnie i rwie halkę na bandaż.

– Musimy iść do Orville’a po okład...

Jeszcze tego brakowało, żeby zabawiała się w pielęgniarkę – lub, co gorsza, opatrzyła mi nieistniejącą ranę. W natchnieniu marszczę brwi i zwracam głowę w lewo.

– Słyszeliście?

Buła szczeka.

– Faktycznie, stary druhu... zabrzmiało jak Rapskullio... – Wiem, że słowa wywrą spodziewany efekt. Dla osoby, która nie odróżnia życia od bajki, Rapskullio jest widmem zagłady.

– Rapskullio! – piszczy Serafina. – Co jeśli mnie znajdzie?

– Szybko... uciekaj. – Zbieram się w sobie i przelotnie cmokam ją w dzióbek. – Twoje bezpieczeństwo jest ważniejsze. Przyjdę, gdy będę mógł. Zaopiekujesz się Serafiną, Buła?

Na pysku Buły z wolna pojawia się uśmiech.

– To będzie dla mnie zaszczyt, wasza wysokość – mówi. – Milady? – Wyciąga łapę i Serafina ujmuje ją po chwili wahania.

Patrzę, jak pędzą przez łąkę: stuknięta księżniczka, dla której prawda miesza się z fikcją, i zakochany basset. No cóż, zdaje się, że historia zna dziwniejszych kochanków.

– Powodzenia – szepczę do Buły, chociaż nie może mnie słyszeć. – Jeśli kiedykolwiek stąd ucieknę, będzie mi ciebie brakowało.

Nie „jeśli”, poprawiam. Kiedy.

Przebierając się w czystą odzież, dumam nad pewnymi rozbieżnościami mojego życia

w książce. Bo dlaczego mam szafę pełną tunik i kubraków, mimo że nie noszę ich w bajce, a Buła – według opisu jest chłopcem – występuje tylko jako pies? Czemu stajnię Strzały zamieszkują także gęsi, kury i krowy, które nie odgrywają w tekście żadnej roli, a Serafina nie widzi, że rola to tylko rola i nic poza tym? Nie pojmuję tych sprzeczności i – prawdę mówiąc – dotąd się nad nimi nie zastanawiałem. Dotąd, czyli przed poznaniem Delilah.



Rozmyślam, gdy nagle Buła bije na alarm.

– Wszystkie osoby dramatu natychmiast do stajni – nawołuje. – Powtarzam, to nie są ćwiczenia!

Na schodach mało nie wpadam na królową.

– Oliverze kochany – mówi. – Nie wiesz przypadkiem, co się dzieje?

Nie wiem. Ale serce wali mi jak oszalałe i dygoczą dłonie... oby to nie miało nic wspólnego z Delilah i ze mną. Może Rapskullio odkrył brak książki. Albo wróżki wyniuchały coś z naszej niedawnej rozmowy?

– Nie mam pojęcia – odpowiadam królowej. – Ale nie podoba mi się to.

Gdy podchodzimy do stajni, zgiełk przybiera na sile. Słychać dzikie parskanie i stłumione pochrząkiwania. W górze rozkwita pasek światła, wskazujący na rychłe otwarcie książki. Więc co my tutaj jeszcze robimy?

Jako główny bohater, przeciskam się przez gawieź i otwieram drzwi. W środku Buła drepcze tam i z powrotem po kupie siana, a kurczęta umykają mu z drogi.

– Co się tutaj dzieje, Buła?

Odwraca się do mnie.

– Chwała niebiosom. – Zerka na powiększającą się szczelinę nad głową. – Chodzi o Strzałę. Wasza wysokość, strajk.

– Na kręgle mu się zebrało?

– Odmawia wyjścia ze stajni na kolejną inscenizację.

Zwlekam z odpowiedzią. Żaden z bohaterów nie podjął jeszcze próby sabotażu: ilekroć książka się otwiera, wszyscy pędzą w wyznaczone miejsca. O ile mi wiadomo, jako jedyny

zakłóciłem dotąd bieg bajki – i wiem z doświadczenia, że książka skoryguje błąd i przesunie Strzałę tam, gdzie powinien się znajdować, wbrew jego woli. Ale jeśli przyznam to na głos, spowoduję jeszcze większy rwetes, bo wszyscy się połapią, iż sam stawiałem aktywny opór.

– Też mi wielkie rzeczy – mówię lekko. – Księżę bez wiernego rumaka. Nikt nie zauważy. – Nikt nie zauważy, uzupełniam w myślach, bo z chwilą gdy znajdziemy się na pierwszej stronie, Strzała poleci tam bez gadania.

– Lepiej nie ryzykować. Próbujemy grać na zwłokę. – Buła wskazuje na róg stajni, gdzie Orville balansuje na drabinie, celując różdżką w szczelinę blasku. „*Obscurius manturius*”, mamrocze; wiązka iskier tworzy gumowatą plombę w górze, po czym spada na siano i wznieca kilka małych płomieni, pospiesznie zdeptanych przez Rapskullia.

– Ktoś otwiera książkę, Oliverze – zaznacza Buła. – Nie wiem, ile wytrzymamy. Wpadają trolle, rozpychając się bezceremonialnie.

– Od tyłu, chłopcy – komenderuje Buła. – Z łokcia go!

Podchodzę do boksu. Strzała stoi z nosem wciśniętym w kąt i spuszczoną głową.



– Strzała? – rzucam ściszym tonem. – Co się dzieje, stary?

– Odejdź – szlocha wierzchowiec.

– Na pewno coś można zaradzić. Jestem z tobą. Wszyscy jesteśmy.

Rzuca grzywą.

– Jestem wstrętą, odrażającą maskarą. Idź, niech się pławię w niedoli.

– Obawiam się, że nic z tego. Wiele osób na ciebie liczy, Strzało. Mamy bajkę do opowiedzenia. A ty... też jesteś gwoździem programu.

Czuję, że się łamie.

– Se... serio?

– Nie zaszedłbym bez ciebie daleko – ciągnę. Ale w duchu zastanawiam się, czy aby na pewno mam rację. Czy Strzała zostanie przesunięty, jak ja przed nim? Czy może będzie mu dane to, o czym tak marzę, czyli zmienić bieg wydarzeń?

– *Ein... zwei... drei... stoß!* – krzyczą trolle, a Strzała kwiczy, gdy próbują go przesunąć.

– Buła – grzmi Orville. – Boję się, że długo nie utrzymam!

Podnoszę wzrok. Strumienie światła padają na podłogę stajni.

– Dziewczynki! – woła Migotka. Batalion wrózek wzbija się w górę i na podobieństwo trupy akrobatów cyrkowych, z zawziętym grymasem na małych twarzyczkach zasłaniają sobą powiększającą się szczelinę, aby nie dopuścić do otwarcia książki.

Wchodzę do boksu i przeciskam się pod brzuchem Strzały. Natychmiast odwraca nos.

– Ja nie mogę. Nie mogę.

– Strzało – rzucam błagalnie. – Powiedz przynajmniej, na czym polega problem, może zdołam go rozwiązać.

– Kiedy to takie krępujące.

– Jak wówczas, gdy wypadłem za burtę statku piratów?

– Gorzej – stęka. – Mam... mam... Och, nie powiem tego na głos.

– Ospę? – zgaduję. – Wysypkę? Plamy wątrobowe?

– Pryszcz! – wybucha Strzała. – Wielkiego, czerwonego, nabrzmiałego pryszcz na nosie.

– Konie nie mają pryszczu, Strzało – perswaduję łagodnie.

– O, świetnie. Zatem jestem zoologiczną anomalią z trądzikiem.

– Pokaż. – Delikatnie przyciągam jego aksamitne chrapy i oglądam uważnie, lecz nie widzę na nich najmniejszej skazy. – Strzało, tutaj nic nie ma.

– Mówisz tak, żebyśmy się lepiej poczuł! – jęczy. – Nie pokażę się ludziom z nosem jak pajac, Oliverze!

Następuje poruszenie, gdy zjawia się kapitan Krab. Ma na sobie fartuch dentystyczny i niesie owinięte w niebieski papier wysterylizowane narzędzia.

– Ktoś wzywał lekarza? – pyta.

Strzale oczy mało nie wypadną z orbit.

– Lekarza! Po co zaraz lekarza?

– Bez obaw, mój mały, podkuty przyjacielu. Prawie nic nie poczujesz – obiecuje kapitan

Krab.

Odgania trolle i staje tuż za Strzałą. W chwili gdy odwija narzędzia, przez szczelinę sączy się blask i pada na zad rumaka, niczym reflektor z góry.

– Buła – cedzi Iskierka. – Zaczynamy odliczanie. Dziesięć...

Czy Delilah zastanawia się, dlaczego nie może otworzyć książki? Czy przypisuje to wilgoci, krzywej oprawie, plamie dżemu?

Kapitan wymachuje dentystycznym skalpelem, dając nam po oczach srebrną poświatą.

– Dziewięć – mówi Żagiewka.

Pirat unosi go do światła i bada czubek.

– Osiem...

Strzała odwraca głowę i zmartwiały patrzy na skalpel.

– Siedem...

Dosiadam rumaka i kładę się na jego szyi, szepcząc w grzywę.

– Decyzja należy do ciebie, Strzało. Możemy to zrobić po twojemu lub sposobem kapitana.

– Sześć...

– Nie ma to jak skalpel o poranku – oświadcza z westchnieniem kapitan Krab.

– Pięć...

– No? – ponaglam. – I jak będzie?

Strzała nerwowo przestępuje z nogi na nogę.

– Uhm... uhm...

– Dwa...

Kapitan Krab wysoko unosi rękę, a kilka wyczerpanych wrózek spada na ziemię w obłoczkach złotego pyłu.

– Jeden!

– Czekaj! – wrzeszczy Strzała, ale kapitan zdążył dźgnąć go w zad i rumak wyrывa naprzód jak oparzony. Ściana z drewna idzie w drzazgi, niebo razi oślepiającą bielą i reszta wrózek daje za wygraną.

– Wszyscy na miejsca! – ryczy Buła.

Strzała gna przed siebie jak oszalały, więc trzymam się rękami i nogami, żeby nie spaść. Patrzę przez ramię i widzę totalny chaos: postacie przepychają się jedna przez drugą

na stanowiska, wyrazy płaczą się i zderzają, ustawiając na stronie, a ze stajni zostaje kupa desek.

No, może niezupełnie.

Na moich oczach deski podnoszą się z ziemi i rozwalona ściana staje jak nowa.

Rapskullio.

Dlaczego o nim nie pomyślałem?

Opowieść każdorazowo kończy się naszą walką. Stoję nieuzbrojony, a Rapskullio wymachuje mieczem. Wreszcie przypiera mnie do okna wieży. Dwadzieścia metrów niżej ocean z furią napiera na skały, rozbryzgując pianę. „Żegnaj, książę”, mówi niezmiennie Rapskullio z drwiącym uśmiechem. Lecz gdy rzuca się na mnie z mieczem, robię unik, a on z rozpędu wypada przez okno i z wrzaskiem leci w dół.

No właśnie.

Parę stron dalej Serafina i ja bierzemy ślub, książka się zamyka, a Rapskullio przeskakuje sobie ze strony na stronę w pościgu za motylem, haftuje bądź wypróbówuje na trollach nowy przepis na babkę cytrynową. Innymi słowy, jest cały i zdrowy.

Spada z wysokości dwudziestu metrów na zjeżone skały, ale nie doznaje przy tym uszczerbku.

Jeśli się dobrze zastanowić, byłem świadkiem wielu sytuacji, kiedy coś się dzieje na stronie, by na moment wrócić do punktu wyjścia. Aparat Pyra znika z chwilą zakończenia bajki. Mosty wzniesione przez trolle rozlatują się w drobny mak.

Zatem jeśli „wypiszę” się z książki... następnego ranka znów obudzę się tam, gdzie ostatnio.

Muszę przeprowadzić test, postanawiam. Z moim osobistym udziałem. Boję się, ale sam muszę podjąć ryzyko, ponieważ tylko w ten sposób się dowiem, czy moja opowieść ma szansę zmienić się na dobre.

– Pokażę panu. – Głos Delilah wypełnia każdy skrawek mojego umysłu. – Ja wcale nie zmyślałam. – I nagle czepiam się skały, spoglądając w górę na wieżę, w której tkwi Serafina.

Innymi słowy, książka znów jest otwarta, a ja znajduję się na czterdziestej trzeciej.

Z kim ona rozmawia?

Zerkam przez ramię i widzę Delilah – a obok niej inną twarz.

W życiu nie widziałem gościa: ma grzywę brązowych włosów i zyczliwe, niebieskie oczy.

Jest dla niej chyba trochę za stary, lecz i tak zżera mnie zazdrość. Cisnąć w niego nożem? Czy odbije się od dzielącej nas bariery?

– Oliverze – mówi Delilah.

No, to rozumiem, skarbie.

– Powiedz coś.

Zamieram. Kompletnie zbija mnie z tropu. Mam się odzywać przy świadkach czy nie? Odnoszę wrażenie, że Delilah zmienia co do tego zdanie jak Strzała podkowy. Mam siedzieć cicho, kiedy obok stoi jej matka, a potem się wścieka, gdy milczę przy Jules. Naprawdę nie wiem, o co chodzi tym razem.

– Oliverze! – jęczy Delilah. Odwraca się do mężczyzny. – Nie mam pojęcia, dlaczego nie mówię.

– Jak się z tym czujesz? – pyta tamten.

Delilah przysuwa się bliżej kartki.

– Oliverze – szepcze. – Gadaj!

Jej oddech burzy mi włosy. Chyba mówi serio, ale może to pułapka. Zresztą nawet gdybym wrzasnął na całe gardło, jedyną osobą, która mnie usłyszy, będzie ona sama. Przewornym zawsze ubezpieczony, więc na wszelki wypadek nabieram wody w usta, żeby nie wyszła na kompletną wariatkę.

I niewinnie przylegam do skały.

– No dobra. Spróbujmy gdzie indziej. – Delilah kartkuje bajkę. Lecę bokiem, waląc po drodze w parę drzew, literę „y” i pokażny zad Strzały, po czym ląduję w objęciach Serafiny na ostatniej stronie. Przyciska usta do moich i przywiera do mnie całym ciałem. Pozostali bohaterowie otaczają nas półokręgiem. Zezuję do góry i napotykam wzrokiem słynne ostatnie słowo: KONIEC.

– Hmm. To może jeszcze raz. – Głos Delilah podejrzenie ocieka lukrem, furkoczą przerzucane kartki, a ja lecę ślizgiem po pokładzie pirackiego statku, chlupię do lodowatej wody i zahaczam tuniką o literę „k” w wyrazie „kapitan”, by wreszcie stanąć na wprost rozszerzonego Pyra.

Jeszcze bez aparatu.

Smok ledwie ma czas zionąć ogniem, gdy Delilah znów rzuca mnie w ochoczy uścisk Serafiny.

Robi to specjalnie. Już ja jej pokażę. Mocno obejmuję pannę młodą i całuję ją, jak... jak... no, jak gdyby była Delilah.

Oczy Serafiny stają w słup i zaczyna się słaniać.

Delilah wykręca ten numer jeszcze dwa razy, skacząc między smokiem a ostatnią stroną bajki. Kiedy Serafina chyli się do czwartego pocałunku, mnie odechciewa się żartów. Czuję się doszczętnie sponiewierany, a za plecami słyszę zduszony jęk Buły.

Wystarczy. Daję za wygraną.

– Poddaję się! – krzyczę, a Delilah natychmiast zwraca się do nieznajomego.

– Słyszał pan? – pyta, litościwie pozostawiając książkę na stronie z Pyrem.

– Ty słyszałaś? – odpowiada nieznajomy.

– A pan nie?

Pyro pyka chmurkami dymu.

Jakie to dziwne uczucie, gdy słowa płyną niczym woda ze studni, jakbym nic nie mógł na to poradzić. Te same słowa usłyszą w głowach Delilah i nieznajomy w trakcie lektury.

– Czekaj! – wołam, po raz kolejny zmuszony do rozmowy, którą odbyłem setki razy.

– Nie przybyłem z tobą walczyć. Chcę pomóc!

Smocze łuski lśnią w blasku słońca. Pyro prostuje się na wysokość trzech i pół metra i zgrzytając zębami, postępuje naprzód. Beka rozgłośnie, iskry lecą mu z nosa.

Nie mogę oderwać oczu od jego paszczy, sączą się z niej kłęby dymu. Jeszcze jedna linijka i wypuści kulę ognia, która podpali drzewo za moimi plecami.

Naraz olśnienie: mam świetną okazję.

Pyro otwiera paszczę, zaraz splunie żarem. Łapię książkę, którą zabrałem Rapskulliowi, i zasłoniwszy nią twarz, rzucam się naprzód, stając w ogniu.

Ostatnia rzecz, którą słyszę, to przeraźliwy krzyk Delilah.

DELILAH

Naprzeciw kozetki w gabinecie doktora Ducharme'a stoi wielkie akwarium z rybkami tropikalnymi. Wiem, że ten widok ma odprężyć i cieszyć oko, ale czuję się zdołowana. Dam głowę, że rybki wolałyby teraz pluskać się na Karaibach.



– A więc – zaczyna psychiatra – wymień pięć miejsc, w których wolałabyś się teraz znajdować, bez zastanowienia.

Patrzę na niego.

– Anglia w czasie dżumy, fotel dentystyczny, studio nagraniowe *Teletubisiów*, cela więzienna i... egzaminy końcowe.

Łączy z namysłem czubki palców.

– *Teletubisie?* – Wzdryga się. – Aż tak źle?

– Owszem – potwierdzam, ale z trudem zachowuję powagę.

Ma miły uśmiech, bujną czuprynę i jest mniej więcej w wieku mamy.

– Mama wspomniała, że nie byłaś zachwycona perspektywą naszego spotkania – dodaje doktor Ducharme.

– Proszę nie brać tego do siebie. Po prostu nic mi nie dolega.

– Miło mi to słyszeć. Ale twoją mamę niepokoi raczej coś innego. – Nachyla się w moją stronę. – Słyszałem, że ostatnio się alienujesz. I nie rozstajesz się z tą książką... może nawet masz obsesję na jej punkcie.

Kiedy nie odpowiadam, klaszcze w ręce.

– W twoim wieku rok w rok oglądałem *Prezent pod choinkę*... przynajmniej dziesięć razy. „Wybijesz sobie oko!” – cytuje.

Odpowiadam mu pustym wzrokiem.

– Pewnie nawet nigdy go nie widziałaś – kwituje. – Sęk w tym, że wolałem w kółko

oglądać film, niż spojrzeć prawdzie w oczy, że święta to paskudny czas dla dziecka, jeśli rodzice są rozwiedzeni. Rzeczy, które najbardziej cenimy, bywają tylko czasem zasłoną dymną. – Patrzy prosto na mnie. – Może mi powiesz, czemu ta opowieść tyle dla ciebie znaczy?

Nie wiem, co mu odpowiedzieć. Jeśli przyznam, że Oliver ze mną rozmawia, wyjdę na nienormalną.

– Nie czytam z powodu tęsknoty za tatą, niechęci do mamy ani z innych dziwnych pobudek, jakie zwykle podejrzewają psychiatrzy. To naprawdę nic wielkiego.

– Twoja mama myśli inaczej – zauważa doktor. – Nie znam wielu piętnastolatek, które zaczytują się w bajkach.

– To nie jest zwykła bajka. – Nie wytrzymuję.

– Jak to?

– To opowieść jedyna w swoim rodzaju. Jedyny istniejący egzemplarz.

– Rozumiem. – Psychiatra kiwa głową. – Interesują cię białe kruki.

– Nie – przyznaję. Robię się czerwona. – Główny bohater. Ja go rozumiem.

– To znaczy?

Chwilę się namyślałam, obserwując pływające w kółko rybki w akwarium.

– Chciałby zmienić swoje życie.

– Tak jak ty?

– Nie! – mówię bezsilnie. – Nie chodzi o mnie. Tak mi powiedział. – Wpadam w panikę, bo właśnie wypaplałam coś, co obiecywałam sobie przemilczeć.

– Czyli... ty go słyszysz?

Psychiatra myśli, że zwariowałam. Ale czy znalazłabym się tutaj w przeciwnym wypadku?



– Nie mam omamów. Słyszę tylko Olivera. Pan mi nie wierzy. Ale pana przekonam. Przerzucam kartki i otwieram książkę na czterdziestej trzeciej stronie. Oliver z nożem w zębach wisi na skale.

– Oliverze – komenderuję. – Powiedz coś.

Cisza.

– Oliverze! – jęczę. – Nie mam pojęcia, dlaczego nic nie mówi.

– Jak się z tym czujesz? – pyta doktor Ducharme.

Oliver wie, że tutaj jestem. Widzę, jak ześlizguje wzrok w moją stronę, kiedy myśli, że psychiatra nie patrzy. Czy nie rozumie, że potrzebuję go bardziej niż kiedykolwiek? I że nie pora na wygłupy? Że cała nasza przyszłość może zależeć od tego, czy coś wydusi? Prawie wciskam nos w książkę.

– Oliverze! – cedzę przez zęby. – Gadaj!

Zero odpowiedzi.

Chce się droczyć, bardzo proszę.

– No dobra. Spróbujmy gdzie indziej. – Otwieram na ostatniej stronie, gdzie Oliver i Serafina stoją złączeni pocałunkiem.

Czy mi się zdaje, czy się wzdrygnął?

Dobrze mu tak.

– Miewasz problemy z oddzieleniem... na przykład... rzeczywistości od tego, co ci się przyśniło? – docieka lekarz.

– Ja nie zmyślam – zaznaczam. – Hmm. To może jeszcze raz. – Z irytacją przeskakuję ze sceny walki ze smokiem na ostatnią stronę. Czy ja śnię, czy on całuje Serafinę z coraz większym animuszem?

Rozzłoszczona, kilkakrotnie zamykam i otwieram książkę.

I wreszcie słyszę słabe:

– Poddaję się.

– Słyszał pan? – wołam.

– Ty słyszałaś?

Oliver. Słyszałam Olivera, jakby stał obok mnie.

– A pan nie? – pytam, ale z góry znam odpowiedź. Przecież Oliver wspomniał, że prócz mnie nie usłyszał go żaden inny czytelnik.

Psychiatra łagodnie odbiera mi książkę i kładzie ją na stoliku między nami, otwartą na stronie, gdzie Oliver stoi oko w oko z Pyrem.

– Delilah – mówi cicho. – Wiem, że czasem łatwiej bawić się w udawanie, niż zmierzyć z prawdą.

– Ja się nie bawię w udawanie! – Zerkam na książkę i robię wielkie oczy. Coś jest nie tak, i to bardzo. Mój wzrok pada na tekst obok ilustracji.

Czekaj!, zawołał Oliver. Nie przybyłem z tobą walczyć. Chcę pomóc!

Smok natarł na niego i ryknął.

Ponieważ czytałam tę książkę ze sto razy, wiem, co będzie dalej. Pyro zieleje ogniem i podpala drzewo. Ale z tekstu wynika inaczej:

Pyro zionął, a książkę Oliver skoczył prosto w ogień.

– Oliverze! – krzyczę. – Nie!

Obrazek faluje i się zmienia niczym wzburzona tafla. Patrzę, jak Oliver płonie, a za nim widać głowę smoka.

Sięgam po książkę, żeby ją zamknąć, ale parzy mnie w palce.

– Auu! Musi mu pan pomóc – szlocham, szarpiąc psychiatrę za rękaw. – Proszę. Zanim będzie za późno...

Doktor Ducharme kładzie mi ręce na barkach.

– Już dobrze, Delilah. Weź głęboki oddech.

Robię, o co prosi, ale nie odrywam oczu od książki na stoliku za jego plecami. Żarzy się

na brzegach jak węgiel.

– Zawołam twoją mamę, niech przyjdzie do nas na koniec – proponuje doktor Ducharme.

– Dobrze się czujesz?

Kiwam głową. W chwili gdy wychodzi z gabinetu, książka staje w płomieniach.



Jezus Maria. Łapię kurtkę i posługując się nią jak wielką rękawicą kuchenną, porywam książkę ze stołu i wrzucam ją do akwarium. Dwa ustniki czmychają z drogi, kiedy z sykiem opada na dno wysypane kamykami z plastiku.

Z rozbawieniem uświadamiam sobie, że uratowałam księcia zamiast on mnie.

Książka ocieka wodą, więc przytrzymuję ją nad akwarium i otwieram na stronie czterdziestej trzeciej. Oliver jest cały i zdrowy, tylko nieco przemoczony. Pamiętam, jak kapnęły na niego moje łzy: dzieląca nas bariera nie jest wodoszczelna.

– Co ty próbowałaś zrobić? Zabić się? – wrzeszczę.

– Właśnie. – Wyjmuje nóż z zębów, aby swobodnie ze mną rozmawiać. – Chciałem udowodnić pewną teorię.

– Że puścisz z dymem gabinet?

– Jaki gabinet? Gdzie ty w ogóle jesteś? I dlaczego jestem przemoczony do majtek?

– To długa historia... – Nagle docierają do mnie jego słowa. – Chcia... chciałeś umrzeć?

– Nie... Chcę się stąd wydostać. Lecz bez względu na zmiany, zawsze wszystko wraca do normy. Sam widziałem. Trupy wstają z martwych, stodoły się naprawiają. Po co wypisywać się z książki, jeśli prędzej czy później i tak tam trafię?

Przypominam sobie tekst, który zmienił się na moich oczach.

– Czekaj. – Zaglądam na stronę, gdzie walczy ze smokiem.

Tekst wygląda jak dawniej.

Pospiesznie wracam na stronę czterdziestą trzecią, tam możemy rozmawiać bez świadków.

– Masz rację – oświadczam.

– Jasne. Przecież nie spłonąłem. – Wącha rękawy tuniki. – I nie śmierdzą dymem.

Obawiam się, że jestem z góry na straconej pozycji, Delilah. Nic z tej bajki nie ma szans na wydostanie się poza jej ramy.

Myślę o wodzie, która przesiąkła na drugą stronę, jednak w obu przypadkach była to woda z mojego świata, jakby przewód działał tylko w jedną stronę. Eksperyment z pajakiem zakończył się fiaskiem.

Ale coś jednak się wymknęło.

– Oliverze. Jesteś w błędzie.

Podnosi na mnie wzrok.

– Jak to?

– Czyżbyś wbiegając w ogień, trzymał w ręku książkę Rapskullia?

– Owszem.

– Cóż, to pewnie dlatego. Kiedy się zapaliła – dodaję – ten sam los spotkał moją książkę.

I nie były to słowa „ogień” ani „pożoga” wypisane na okładce, tylko prawdziwy płomień.

Robi wielkie oczy.

– Czyli...

– Tak. – Wybucham śmiechem. – Udało ci się!

– Co się komu udało? – Mama stoi w progu gabinetu doktora Ducharme’a. Oboje patrzą ze zdumieniem, jak stoję przed akwariem i gadam do otwartej książki.

– Uhm... ja... chciałam udowodnić pewną teorię – zapożyczam słowa Olivera. – Uczymy się na biologii, że... uhm... ryby mają zdolność rozpoznawania słowa pisanego. – Zamykam książkę, owijam ją kurtką i tulę do piersi. Zostawia mi mokrą plamę na bluzce.

Jeśli psychiatra dotąd nie uważał mnie za wariatkę, czytanie rybkom przelewa czarę. Tym razem się nie wywinę.

– To co? – mówię dziarsko. – W przyszłym tygodniu o tej samej porze?



Było to swoistą kulminacją jego życiorysu: stał oko w oko z potworem, który zabrał mu ojca.

Czerwone łuski smoka migotały w promieniach słońca. Oczy miał czarne jak serce człowieka, który go namalował. Szponiastymi łapami czepiał się nagiej skały Przylądka. Naraz wygiął długą szyję, zaczerpnął tchu i wypuścił z paszczy słup ognia.

Serce zabiło Oliverowi mocniej. Stał tak blisko smoka, że swąd drażnił mu nozdrza. Czuł na języku smak ryzyka, którego dotąd nie zaznał i skrzętnie unikał od kołyski. Raz jeszcze naszła go znajoma myśl, o czym król Maurycy dumiał w tej samej chwili. Czy stał niewzruszony jak skała, bez strachu dobył miecz i ruszył ku pewnej śmierci? Czy pomyślał na koniec o ukochanej żonie? O synu, którego nie dane mu poznać?

No to klops, pomyślał Oliver.

Sięgnął po kompas zawieszony na szyi. Kołatała mu myśl, by zawrócić i uciec, ale zacisnąwszy palce na dysku, wyobraził sobie ojca, który przed laty stał jak on, z tym samym kompasem w dłoni. Nie przyniesie mu wstydu. Zmierzy się ze strachem, miast paść jego ofiarą.

I wsunął kompas z powrotem za koszulę.

Może nie umiał władać mieczem jak ojciec, a odwagą nie był inspiracją dla wieszczów i bajarzy. Ale bitwy można toczyć inaczej.

– Czekaj! – krzyknął Oliver. – Nie przybyłem z tobą walczyć. Chcę pomóc!

Smok natarł na niego i ryknął. Żar osmalił Oliverowi włosy na skroni.

Książę przypomniał sobie bajkę, którą w dzieciństwie matka czytała mu na dobranoc.

– Ojej – rzucił łagodnym tonem. – Jakie ty masz duże zęby.

Smok z dumą błysnął przerośniętym zgryzem, aż iskry śmignęły Oliverowi przed nosem.

Ale książę, miast przystąpić do odwrotu, tylko zmarszczył brwi.

– Hm – rzekł z namysłem. – Nic dziwnego, że tak cię boli.

Smok, który chciał dzielić go ogonem, lekko zdębiał.

– Słuchaj, nie ma co się wstydzić, nie każdy lubi dentystę.

Pyro zionął i drzewo na lewo od Olivera poszło z dymem.

– Gadaj zdrow – ostudził go książę. – Masz czy nie masz dymnego posmaku w ustach?
Smok zamrugął.

– Typowe. Cierpisz na smoliozę pospolitą, mój drogi. Nieleczona może prowadzić do łuszczycy, obłożonego jęzora, płucia ogniem...

Z każdym wymienionym objawem smok cofał się o krok i wybałuszał oczy.

– ...i przedwczesnej śmierci.

Pyro przysiadł na zadzie i zatrzasnął paszczę.

– Na twoje szczęście, znam się trochę na ortodoncji. – Oliver zbliżył się o krok.

– Zamknij oczy i szeroko otwórz buzię.

Smok powoli, czujnie rozwarł ogromne szczęki.

Tutaj poległ jego ojciec. Wstrzymując oddech, Oliver ostrożnie wszedł na gąbczasty język potwora. Popatrzył na zęby, wielkie jak skalne bryły, ze strzępami mięsa i krwią w szparach pomiędzy. Noga mu się omsknęła, a gdy padł na kolana, coś do niego zamrugało. Wyglądało jak srebrna plomba.

Zmrużył oczy i spostrzegł, że to nie plomba, tylko rycerski hełm, fragment zbroi, którą stworzył z Orville'em – z najmocniejszego, najbardziej żaroodpornego tworzywa w królestwie – zmięty jak folia aluminiowa.

Rycerz poległ. Podobnie jak król Maurycy. Potwór mógłby połknąć Olivera w całości; dar wymowy, kłamstwa i fortele nie uchronią go przed śmiercią z łap bestii.

Jakby dla podkreślenia tego faktu smok beknął jak z armaty i podmuch żaru naparł na księcia jak fala. Sięgnął do plecaka i zacisnął palce na gaśnicy, którą dostał od syren.

Wyrwał metalową blokadę i strategicznie umieścił kanister pomiędzy dwoma wielkimi trzonowcami.

– A teraz – wycofał się z paszczy i strzepnął z tuniki ślinę – delikatnie zagryź.

Pyro zamknął paszczę. Oliver policzył w myślach do trzech i spomiędzy dziąseł bestii wypłynęła biała piana.

– Oho – rzucił. – Widzę, że działa.

Smok zaczął charczeć. Otworzył pysk, lecz zamiast ognia z gardzieli buchnął mu kaszel. I jak każde osaczone zwierzę, rzucił się na księcia – walił ogonem i drapał pazurami. Oliver uskoczył za skałę, a smok popędził nad wodę, zaspokoić pragnienie.

Gdy zapadła cisza, Oliver wyrzwał zza skały. Pyro stał z głową pod wodą i złopał chciwie,

aby pozbyć się posmaku chemikaliów. Tymczasem Zezik i Szpachelka chyłkiem wyskoczyli z kryjówek i zarzucili na niego sieci. Wreszcie zjawił się kapitan z wielkim kanistrem.

– No już, przyjacielu, nie będzie bolało. – Wpakował bestii rurę do paszczy i wpuścił jej do płuc gaz rozweselający. Pysk smoka rozciągnął się w rozanielonym uśmiechu, opadły mu powieki, a ryk przeszedł w głośną czkawkę. Wreszcie padł, powodując tym samym małe trzęsienie ziemi.

A niepokonany Oliver ruszył dalej – i to bynajmniej nie na tarczy, ale o własnych siłach.

OLIVER

Kiedy Delilah znowu otwiera książkę, znajdujemy się w miejscu, które widzę po raz pierwszy. Nie ma biurka, lustra ani różowej narzuty, do których przywykłem. Wspinam się na skraj kartki i zapuszczam żurawia.



– Gdzie jesteśmy?

– Gdzieś, gdzie często przychodziłam, kiedy byłam mała. W mojej fortecy. – Delilah odsuwa się, żebym lepiej widział. W ścianie z desek jaśniej krzywo wycięte okno. Na półkach stoją puszki z kredkami, monetami i kamykami. W kącie leży stos gazet o brzegach pofałdowanych ze starości i wilgoci.

Muszę przyznać, że jestem rozczarowany. Nigdy nie widziałem tak marnej fortecy.

– Cud, że wróg jeszcze cię stąd nie wykurzył – mamroczę.

– Nie, ale kiedyś prawie udało się to psu sąsiada – mówi Delilah. – To nie jest prawdziwa forteca, tylko taka udawana.

– Po co udawać, że toczy się wojnę?

– Bo tak robią dzieci – wyjaśnia. – Sam zobaczysz, kiedy tutaj będziesz.

Na chwilę oboje milkniemy. Pora wypisać mnie z tej bajki.

– Specjalnie cię tutaj przyprowadziłam – dodaje Delilah. – Pomyślałam, że tak będzie bezpieczniej.

– Jak to?

– No... przede wszystkim nie wiemy, ile narobimy hałasu... po drugie, jeśli mama jeszcze raz usłyszy, że rozmawiam z książką, wsadzi mnie do domu bez klamek. – Zawiesza głos. – A po trzecie, jeśli nam się uda, raczej nie będzie zachwycona widokiem obcego chłopaka w moim pokoju.

– Dobrze pomyślane – odpowiadam. Patrzę na egzemplarz z biblioteczki Rapskullia. Pomimo incydentu z ogniem jest w nienagannym stanie, wszelkie oznaki zniszczenia znikły bez śladu.

– I co teraz? – Delilah jest zdenerwowana.

– Chyba muszę od nowa napisać zakończenie. – Lecz gdy przyszło co do czego, serce tłucze mi jak oszalałe. A jeśli się nie uda i zamiast w świecie Delilah wyląduję w innej książce o fabule mi nieznaną? Albo utknę pomiędzy jej i moim światem? Jeśli napisanie bajki od nowa stworzy po prostu nową bajkę i znajdę się w tej samej sytuacji, tylko oczko niżej, bez szans na wyjście z opresji?

Albo jeszcze gorzej: jeśli się powiedzie i Delilah stwierdzi, że nie chce mieć na karku byłego księcia z bajki, z nikłą wiedzą o prawdziwym świecie? Bo okażę się inny, niż sobie wyobrażała?

– Na co czekasz? – pyta.

Lub najgorszy scenariusz: jeśli ściągnę zgubę na swoją głowę? I nie znajdę się w jej ani moim świecie, tylko nigdzie?



Patrzę na Delilah; przygryza dolną wargę. Chciałbym posmakować tę wargę. Chciałbym teraz być obok. Zagrożenia błędą wobec konieczności pozostania tutaj ze świadomością, że nie skorzystałem z okazji, aby z nią być.

– Racja. – Wyciągam z zanadza kawałek węgla, schowany do kieszeni po ostatniej scenie z Pyrem – bo niepraktycznie paradować z kałamarzem pod tuniką – i ostrzę go o skałę, przy której stoję. – No to jedziemy – mówię i przeskakuję na ostatnią stronę.

Skrzętnie omijając ilustrację na sąsiedniej stronie, przekreślam napis KONIEC.

Naraz lecę na łeb na szyję, ściskając węgiel i egzemplarz książki. Gałęzie z Zaczarowanego Lasu smagają mnie po twarzy, zahaczam trykotami o przecinek i wrywam dziurę, pograżam się w mroku, po czym znów widzę światło. Lecę przez wodę, wiatr i ogień, a następnie padam twarzą w dół na piasek Plaży Szczęśliwych Zakończeń.

Podpieram się na łokciach i wypluwam garść piasku; cały jestem obolały. Otaczają mnie pozostali bohaterowie w oczekiwaniu na mój ślub z Serafiną. Zerkam do książki, którą wciąż

trzymam – i widzę, że nie przekreśliłem słowa do końca. Łapię węgiel i zamazuję ostatnią literę.

– Oliverze! – szczerka Buła. – Co ty wyprawiasz? – Ale gdy to mówi, zarys jego uszu i czubek ogona stają się przezroczyste, a w ślad za nimi reszta ciała. Obracam głowę w prawo i widzę, że Serafina też rozwiewa się w powietrzu, z rozpaczą wyciąga do mnie rękę. Wszyscy moi przyjaciele znikają, pozostawiając po sobie biały kontur i głuchą ciszę, aż zostają tylko ja, wyciągnięty na plaży, oraz puste dziury w kształcie niedawnych postaci.

– Boże miłosierny – szepczę, po czym bledną kolory i otacza mnie nicość.

Nadal trzymam książkę i kostkę węgla. Piszę, roztrzęsiony:

I żył długo i szczęśliwie z Delilah McPhee.

Gdy kończę ostatnią literę, bezmiar bieli wokół mnie zaczyna płonąć, jakby ogień wypalał dziurę od środka i rozprzestrzeniał się na boki kartki. Biel zwija się, odsłaniając każdy centymetr kwadratowy „fortecy” Delilah w całej jej wątpliwej krasie.

Płomień koloru wypala jeszcze fragment bieli i widzę zmartwiałą twarz mojej przyjaciółki.

– Oliverze?

Jej głos cichnie jak głos Buły, po czym rozbrzmiewa, jakby mówiła do mnie z drugiego końca tunelu. Prześwity w białej przestrzeni maleją, a następnie zamykają się, toteż puszkami z kredkami i gazety w kącie giną mi z oczu. Rozpaczliwie przenoszę wzrok na otwartą książkę i widzę ze zgrozą, jak ostatnia litera w „McPhee” odłącza się od pozostałych, po czym cały splot liter wiotczeje, faluje i znika, a wraz z nim moje nowe zakończenie.

Potem coś uderza mnie w pierś, aż tracę dech i widzę gwiazdy. Kiedy wracam do siebie, stoję w objęciach Serafiny, a inni bohaterowie klaszczą i wiwatują, świętując nasze zaślubiny.

Innymi słowy, wracam tam, gdzie miałem nadzieję nigdy nie wrócić.

Zanim Delilah i ja mamy okazję wszystko omówić, woła ją mama. Delilah rzuca na pożegnanie, że postara się niedługo przyjść, ale ja jej nie słyszę. Przyjmuję gratulacje piratów i wyrazy ubolewania od syren, które toną we łzach, i modlę się, żeby Delilah zamknęła książkę i uwolniła mnie od tego koszmaru.

– Cięcie! – słyszę niebawem głos Buły.

Łapię go za obrozę.

– Gdzie cię poniosło? I czemu wróciłeś?

– Poniosło? – Kręci głową. – Pogięło cię, chłopie? Nikogo nigdzie nie poniosło.

Oglądaliśmy ślub, jak zawsze – dorzuca z goryczą.

– Ale widziałem, jak znikasz... i... i... wszystko zbiałało...

To samo musi czuć Delilah, kiedy nikt jej nie wierzy. Jak to możliwe, że nie pamiętają zniknięcia plaży? Gdzie oni się wszyscy podziali?

Usunięto im wspomnienia. Bajka wróciła do punktu wyjścia, jak zawsze. Jakby zakończenia, które próbowałem zmienić, nigdy nie było.

Pewnie dobrze się stało, bo miałbym się teraz z pyszna.

Buła patrzy na mnie dziwnie.

– Może idź do Orville’a, niech ci zbada głowę.

Nie odpowiadam, bo drzewo wali mnie w plecy. Odwracam się i widzę, że to tylko Parch – najniższy z trolli – klepie mnie po ramieniu. Chce porozmawiać z Bułą, a ja stoję mu na drodze.

– Szefie – mówi. – Mam kłopot z ostatnią sceną, a chcę, żeby wypadła wiarygodnie.

Nadal żywię urazę do księcia czy po prostu chcę go zabić?

– To szczęśliwe zakończenie, Parch.

Troll marszczy czoło.

– Czyli chcę go zabić, tak?

Buła wzdycha.

– Nieważne, co sobie myślisz. Grunt, żebyś miał wesołą minę!

Na prawo ode mnie Strzała dyskutuje zawzięcie z Pyrem.

– Jak wiesz, ilustracja dodaje pięć kilo – mówi Strzała.

– No ba – potwierdza Pyro.

– Dlatego jestem na bezwęgłowodanowej diecie z siana – przyznaje mój wierzchowiec.

– Mówię ci, to zbawienie dla linii.

Chyłkiem, by nie zwracać niczyjej uwagi, wymykam się z plaży.

Co się stało?

Wszystko zdawało się iść jak z płatka. Dlaczego przestało?

Ani się oglądam, jak jestem w połowie drogi do domu Orville’a. Może Buła ma rację

– może któryś z czarodziejskich eliksirów postawi mnie na nogi.

Orville mieszka w rozchwianej chatce, która – jak się nad tym zastanowić – przypomina fortecę Delilah. Na belkach pod stropem suszą się zioła i brzęczy dzwonek wietrzny z zardzewiałych łyżek. Gdy pukam do drzwi, ze środka dobiega wybuch i łoskot.

– Orville? – krzyczę.

– Nic się nie stało! – dobiega dziarski okrzyk. – To tylko mały rykoszet!

Po chwili staje w progu. Usmolona twarz odcina się na śnieżnobiałym tle rozwianych włosów i brody.

– Witaj, drogi chłopcze. Tylko mi nie mów, że cię przysłała królowa... obiecuję dostarczyć ten eliksir młodości do końca miesiąca...

– Nie przychodzę z polecenia królowej – wpadam mu w słowo. – Potrzebuję twojej pomocy, Orville.

– Cóż mogę dla ciebie zrobić? – Czarodziej usuwa się na bok, żebym mógł wejść do środka.

Trudno uwierzyć, że potrafi się odnaleźć w takim bałaganie. Wszędzie pełno książek, są zakurzone, aż dostaję ataku kaszlu. Na środku stoi stół bez jednej nogi, podparty stertą ksiąg wiedzy magicznej. Na blacie widzę kilka sporych kadzi, każda z łyżką, która obraca się samoczynnie, mieszając zawartość.

– Orville – mówię – jedna zaraz wykipi.

Czarodziej odwraca się i patrzy, jak zielona, fosforyzująca emulsja bulgocze nad brzegiem kadzi. Łapie oddech, wsadza rękę do słoja z gałkami ocznymi i dorzuca do mikstury. Polewka syczy na niego z furją.



– A to co znowu za lichy? – pytam.

– Zazdrość. – Orville wskazuje na jadowitą zawieszynę. – Obrzydliwe paskudztwo. – Gdy wyciera ręce w kitel, pozostają na nim fosforyzujące smugi. – Czego ci trzeba, książę?

– Z uśmiechem prezentuje wszędzie aż po sufit półki ze szklanymi zbiornikami opatrzonymi jego pajęczym pismem: SIŁA, CIERPLIWOŚĆ, POWAB, WZIĘCIE.

Trę potylicę, aż mi włosy stają dęba.

– Zamroczyło mnie niedawno. Może znalazłbyś coś, co przywróciłoby mnie... do pionu.

– Naturalnie. – Orville zaczyna przesuwac słoje, wręczając mi przy okazji zbiornik z zębami węża i drugi, ze smoczymi pazurami. – Gdzieś tutaj musi być – mamrocze i gdy włązi na drabinę sięgającą górnej półki, strąca długi, wełniasty zwój pamięci i kobaltową zlewkę z czarodziejskim pyłem. Chmura brokatu drapie w nosie i obaj kichamy na wyścigi.

– Jeśli nie możesz znaleźć – wołam – wystarczy mi kilka pijawek...

– Aha! – wrzeszczy triumfalnie Orville. Schodzi po drabinie z muślinową sakiewką w dłoni. Rozwiązuje sznurek i wytrząsa sobie na dłoń garść opalizujących muszli. Otwiera jedną kozikiem i widzę dwie śnieżnobiałe perły w środku. – Zażyj wieczorem i wpadnij do mnie

z samego rana – oznajmia wesoło.

W chwili gdy chowam je do kieszeni, izbą wstrząsa potężna eksplozja. Podmucha mnie na podłogę, a Orville leci jak wystrzelony z procy. Zawisa na żeliwnym kandelabrze u pułapu.

– Świetnie! Gotowe! – woła.

– Co? – Siadam na posadzce.

– Mój eksperyment. – Podchodzi do czarnego cokołu, który przypomina nieco basenik dla ptaków, ale wewnątrz snuje się gęsty, fioletowy dym. Czarodziej radośnie zaciera ręce i wyciąga z kieszeni fartucha kurze jajko. – Trzymaj kciuki – mówi, gdy stoję obok niego.

Wrzuca jajko w dym, ale nie słyszę, żeby się rozbiło. Dym wzbija się słupem i tworzy lawendową zasłonę. Po chwili naszym oczom ukazuje się kurczak.

– Nie... nie kumam. – Poddaję się zbity z pantałyku.

– Widzisz przyszłość, mój drogi – tłumaczy Orville.

Albo przeszłość, myślę. Bądź co bądź, co było pierwsze, jajko czy kura...

Orville przerywa moje rozważania.

– Pomysłowe, nie sądzisz?

– Ale jak... ty nie możesz...

– Spróbujmy z czymś innym. – Czarodziej rozgląda się po izbie i bierze gąsienicę spacerującą po krzywej framudze. Wrzuca ją w opary, które układają się w kształt motyli skrzydeł.

– Orville! – wołam. – To niesamowite!

– Nieźle jak na takiego staruszka, he? – Trąca mnie łokciem i wrywa sobie włos z siwej głowy. – Zaraz zobaczymy...

Wrzuca go w dym i po chwili staje przed oczami jak żywy, bardziej tylko zgięty i pomarszczony. Orville z przyszłości pochyla się nad garem, który rozsadza fioletowa eksplozja.

– Patrzcie państwo – mówi z zadowoleniem Orville stojący obok. – Pasuje jak ulał.

– Chcę spróbować. Chcę zobaczyć moją przyszłość.

Czarodziej marszczy brwi.

– Ale po co, Oliverze? Przecież wiesz, co się stanie. Żyjesz długo i szczęście...

– Tak, tak, wiem. Ale mimo to. Nigdy nic nie wiadomo. No bo czy zostanę w królestwie, czy się wyprowadzę? Czy będę miał dzieci? Wypowiem komuś wojnę? Chcę znać szczegóły...

– Moim zdaniem to zły pomysł...

Nie czekając, aż skończy, wrywam sobie włos z głowy i wrzucam do środka.



Dłuższą chwilę nic się nie dzieje, widać tylko lawendowy wir wewnątrz cokołu. Nagle gejzer mgły tryska pod sufit i spływa kopułą. W środku śnieżnej kuli z dymu widzę siebie.

Najpierw zauważam, że nie mam tuniki.

Ani miecza i sztyletu.

I to nie jest żadna scena z bajki.

Ubrany jestem jak ludzie ze zdjęć w domu Delilah. Pokój też przypomina nieco jej sypialnię, ale... jest inny. Dostrzegam kominek, którego u niej nie ma. Za moimi plecami stoi biblioteczka, wypełniona po brzegi. Nie rozumiem niektórych napisów na grzbietach, są w obcym języku.

Ale jak na przyszłość poza bajką, całość wygląda niczego sobie.

Tak przynajmniej sędzę, dopóki nie pojawia się dziewczyna i nie zarzuca mi rąk na szyję. Nie widzę jej twarzy; jest ode mnie odwrócona.

Nagle Orville rzuca się naprzód i macha rękami, rozwiewając obraz.

– To dopiero pierwsza próba, wasza wysokość – zapewnia nerwowo. – Muszę popracować nad szczegółami...

Łapię go za gardło.

– Chcę zobaczyć!

– Nie mogę, panie...

– Ale już!

Orville drży jak osika.

– Nie będziesz chciał na to patrzeć – szepcze. – Ta osoba... nie jest księżniczką Serafiną.

Wrywam kolejny włos z głowy i wrzucam go w opary. W kopule dymu materializuje się znajoma scena.

– Ani mi się waż – mruczę do Orville'a. – Bo wepchnę ci ten słój do przetyku.

Dziewczyna w lawendowej mgle zarzuca mi ręce na szyję. Odwraca się powoli i widzę jej

twarz.

Orville miał rację.

Nie chcę na to patrzeć.

Ale nie dlatego, że dziewczyna nie jest Serafiną. Ona nie jest Delilah.

Kiedyś myślałem, że chcę tylko wydostać się z głupiej bajki. Dziś rozumiem, że z życzeniami trzeba uważać, bo ucieczka może nie okazać się spełnieniem marzeń, tylko największym koszmarem.

Próbowałem wypisać się z książki, ale nie wyszło. Zobaczyłem swoją przyszłość, ale nie było w niej Delilah. Mogę żyć, nie opuściwszy bajki, ale nie wyobrażam sobie życia bez ukochanej.

Potrzebuję pomocy, szybko. I choć doskwiera mi myśl, iż mogę narazić kogoś na szwank moją decyzją, biegnę do pieczary Rapskullia.

Gdy docieram na miejsce, ciężko dyszę i pot się ze mnie leje. Przez otwarte drzwi napływa boski zapach wanilii. Zaglądam do środka i widzę, że Rapskullio piecze ciasteczka maślane. Właśnie zdobi je różową posypką, kiedy chrząkam, chcąc zwrócić jego uwagę.

– O, wasza wysokość! W samą porę na pierwszą partię. Jeszcze ciepłutkie!

– Rapskullio. Nie ma czasu na degustację. Potrzebuję twojej pomocy.

Czuje, że sprawa jest poważna, i odkłada łąpatkę.

– Mam dwanaście do czternastu minut do wyjęcia z pieca drugiej partii – informuje z powagą.

Łapię go za rękę i ciągnę do biblioteki, gdzie nie tak dawno próbowałem wymalować się z obrazu i poległem z kretesem.

– Musisz coś dla mnie narysować – oświadczam.

– Znowu? I to ma być ta pilna sprawa? Masz przyływ natchnienia?

– Rysuj i nie gadaj – burczę desperacko. – Chodzi o portret młodej kobiety. Podam ci rysopis, a ty namalujesz ją na tym swoim specjalnym płótnie.

Oczy mu błyszczą.

– Masz na myśli afisz gończy!

Cóż. Trafił w sedno.

– Właśnie. – Kiwam głową.

– Kilka już namalowałem. Arcydziełem był afisz z waletem kier, który ukradł królowej

karty do gier. Wisi w lochu po dziś dzień.

– Świetnie. – Siadam na stercie książek, wzbijając chmurę kurzu. – Więc tak: ma ciemne włosy do ramion. Proste, lekko tylko wywinięte na końcach.

– Najpierw naszkicuję. – Rapskullio bierze blok i zaczyna rysować. – Wysoka?

A żebym to ja wiedział. Nie mam punktu odniesienia.

– Średniego wzrostu – rzucam na chybił trafił.

– Oczy?

– Brązowe.

– Czekoladowy brąz czy melasa?

Wzruszam ramionami.

– Ciepły, jak miód. Usta...

– Takie?

Pokazuje mały, zaciśnięty dzióbek, ale to nie Delilah. Jej usta zawsze są na granicy uśmiechu. Jakby miała mi coś niezwykłego do powiedzenia, nawet jeśli chodzi o zwykłe „cześć”.

Nie tracimy ani chwili: druga partia ciastek idzie na marne, a ja precyzuję i zmieniam.

– Szybciej. – Popędzam w obawie, że Delilah otworzy książkę i robota pójdzie na marne.

– Geniusz wymaga czasu – zaznacza Rapskullio. Ale wreszcie pokazuje mi kartkę.

I widzę Delilah jak żywą.



– Idealnie.

Rapskullio puchnie z dumy.

– Po co ten pośpiech? – pyta. – Co przeskrobała?

– Przeskrobała?

– Jakie popełniła przestępstwo?

Przypominam sobie pretekst, który mu podałem.

– To złodziejka – mówię.

I wcale nie kłamię, gdyż bezsprzecznie i nieodwołalnie skradła mi serce.

DELILAH

Tak niewiele brakuje – twarz Olivera majaczy przede mną w kącie domku na drzewie. Ale zanim obleka się w realne kształty, już go nie ma.

Gdy główkuję nad tym, co się stało – i nie stało – dobiega wołanie mamy.

– Akurat teraz? – mamroczę. – Naprawdę?

– Delilah? – słyszę z bliska. Mama stoi pod drzewem. – Co tam robisz?

Pospiesznie zamykam książkę i upycham ją między starymi gazetami. Mama wychyla głowę ponad wierzchołek drabiny.

– Sprzątam – informuję. – Rozpaczynam nowy rozdział. Koniec z bajkami i domami na drzewach. – Patrzy z powątpiewaniem. – Doktor Ducharme uważa, że powinnam sobie znaleźć zajęcia na miarę piętnastolatki.

Moje słowa odnoszą spodziewany rezultat.

– Hm, no dobrze – mówi ze zdziwieniem. – Świetnie! – Potrząsa głową, jakby mi nie dowierzała, i w sumie trudno jej się dziwić. – Przyszła Jules. Czeka w twoim pokoju.

– Jules?

Teraz, kiedy muszę porozmawiać z Oliverem! Coś sobie uświadamiam: to nie on powinien zmienić zakończenie. Mam nowy plan i nie mogę się doczekać, aż mu go wyłuszcę.

Wsuwam bajkę pod pachę i biegnę do domu. Jules leży na łóżku i słucha mojego iPod'a. Pospiesznie wciskam książkę na półkę, by uniknąć pytań, dlaczego wciąż czytam bajeczkę dla dzieci. Siadam i wyciągam jej słuchawki z uszu.



– Nie spodziewałam się ciebie.

– A od kiedy to muszę się umawiać na audyencję u przyjaciółki? – pyta Jules. – I odkąd to słuchasz Justina Biebera? – Kiwa głową. – Może faktycznie potrzebujesz terapii. Nie mam nic przeciwko łamaniu nosa Allie, ale jeśli dalej będziesz ściągać takie piosenki, niewykluczone, że będę zmuszona cię zabić. – Przewraca się na brzuch i na mnie patrzy. – Jak poszło?

– Co?

– Wizyta u psychiatry.

Kiedy to było? Zdążyłam zapomnieć.

– Nijak.

– To dobrze, bo masz się skupić, żeby pomóc mi się wywinąć z opresji. – Siada i zakłada nogę na nogę. – Pamiętasz moją ciotkę Agnes?

– Tę, która pachnie burakami?

Jules rzędzie mina.

– Jezu, musiałaś mi przypominać? Rodzice zapowiedzieli, że wyślą mnie do niej na wakacje, żebym zakosztowała życia na wsi. Wyobrażasz mnie sobie na Wschodnim Wygwizdowie w Iowa, dojącą krowy?

– Mają krowy?

– Nie, ale mogliby mieć. Zresztą nieważne. Sęk w tym, że wysyłają mnie jak paczkę do największej dziury pod słońcem. – Zawiesza głos. – Matko, oni tam jeszcze mają telefony stacjonarne.

Silę się na współczucie, naprawdę. Ale w głowie mam tylko Olivera i plan dalszego działania.

– Może nie będzie tak źle – pocieszam. – Ani się obejrzysz, jak przyjdzie wrzesień.

Wytrzeszcza oczy.

– Rany. Dzięki za zrozumienie.

– Nie to miałam na myśli. Jasne, że ci współczuję, ale to nie koniec świata, Jules.

– Słuchaj, a co się stało z Delilah? Bo moja dawna przyjaciółka nie chciałaby mnie spławić.

– Przesadzasz. – Śmieję się z przymusem.

– Czyżby? Przyszłam, żeby ktoś się nade mną pouzalał. Wysiłł na współczucie. Wziął moją stronę. Pewnie i tak pojedę do Iowa i będzie strasznie, ale fajnie byłoby wiedzieć, że kogoś to zmartwi.

Pieką mnie policzki. Byłam tak pochłonięta Oliverem, że nie miałam czasu dla Jules. To, że ona go nie słyszy, jeszcze bardziej nas od siebie oddala.

Będzie inaczej, myślę sobie, kiedy już ściągnę tutaj Olivera. Jules go pozna i się ucieszy, że wreszcie mam chłopaka. Nasze nieporozumienia to drobiazg, jeszcze się z nich pośmiejemy.

– Po prostu mam na głowie tyle spraw...

Jules wstaje.

– Kiedyś byłam jedną z nich – mówi. – Kiedyś się liczyłam.

– Nie mów tak, Jules. Nadal jesteś moją przyjaciółką...

– Wiesz co? Nie ty o tym decydujesz. Do przyjaźni potrzeba dwóch osób, a ostatnio odwałam za ciebie całą robotę.

– Jules – perswaduję. – Daj spokój. – Wyciągam rękę, ale się odsuwa.

Patrzy na mnie.

– Trzymałam z tobą, kiedy wszyscy się na ciebie wypięli. Myślałam, że to coś znaczy.

Wychodzi i zatrząskuje za sobą drzwi. Wzdycham z rezygnacją. Przysięgam, że naprawię nasze stosunki, ale najpierw muszę dokończyć to, co zaczęliśmy z Oliverem.

Mama wsuwa głowę do pokoju.

– Z Jules wszystko gra?

– Tak...

– Dziwne, odniosłam nieco inne wrażenie, kiedy wypadła jak burza.

Łzy napływają mi do oczu.

– Nie chcę o tym rozmawiać – odpowiadam. Straciłam dwoje przyjaciół jednego dnia.

Mama siada obok mnie na łóżku.

– Wszystko się ułoży. Jeśli dojrzejesz do rozmowy, w razie czego wiesz, gdzie mnie szukać.

Miło się przytulić i poudawać, że jest dokładnie tak, jak mówi. I wszystko rzeczywiście się ułoży. Całuje mnie w czubek głowy.

– Mam pomysł – mówi. – Może obejrzymy film?

Patrzę na nią.

– Jak za dawnych czasów?

– Uprażę kukurydzę – dodaje. – Znajdź *Małą syrenkę*.

Jeśli ogarniają mnie wątpliwości, dlaczego mama ma obiekcje względem bajek, ale każe mi oglądać kreskówkę Disneya, rozwiewają się wobec perspektywy wieczoru spędzonego na przekonaniu, że marzenia się spełniają.

– Dobrze – szepczę, a ona przytula mnie mocniej.

Po jej wyjściu idę do półki po książkę. Zamierzam tylko szybko zajrzeć na stronę

czterdziestą trzecią, aby przedstawić Oliverowi mój świetny pomysł. Ale zaraz myślę o mamie na dole, o tym, jak bardzo chce mnie uszczęśliwić. Oliver nie zajac.

Trzymam filmy w kartonie, na górnej półce w szafie. Nie mogę dosięgnąć, więc przysuwam kosz na bieliznę, stawiam go do góry nogami i na nim stoję. Chwytam brzeg kartonu. Ale nagle świat wokół mnie robi się jasny i srebrzysty, jak wówczas gdy nocą spadnie śnieg. Mrużę oczy w tym blasku i nagle spadam, lecę na złamanie karku przez wielką nicość.

Krzyczę. Spadam tak szybko, że wiatr gwizdże mi w uszach i łzawią oczy. Jakby ktoś mnie wypchnął z samolotu. Mijam coś w locie, ale nie rozróżniam kształtów. Nagle zatrzymuję się gwałtownie i zawisam w powietrzu. Zahaczyłam bluzką o jakiś hak i materiał podjeżdża mi pod brodę.

Tyle że to nie żaden hak. Rozejrzawszy się, widzę, że wiszę na wielkiej literze „j”.



Pęka pod moim ciężarem i znowu spadam jak kłoda.

Stopniowo kolory zaczynają się łączyć w przestrzeń – zrazu wyblakłe, ale z czasem coraz bardziej nasycone, aż ogarnia mnie pewność, że lada chwila gruchnę o ziemię. Osłaniam głowę rękami i próbuję zwinąć się w kłębek, aby jak najmniej ucierpieć.

– Łup! – Spadam na coś i tracę dech. Sterta książek rozsypuje się pode mną i z podłogi bucha obłok kurzu. Wstaję ostrożnie, sprawdzam, czy nic sobie nie połamałam. Kątem oka dostrzegam ruch i odwracam się z rękami uniesionymi jak do ciosu karate, zupełnie jakbym mogła wystraszyć ewentualnego przeciwnika.

Który robi dokładnie to samo, co ja.

Robię krok naprzód i widzę, że stoję na wprost lustra. Tak mi się przynajmniej wydaje, chociaż odbicie niezupełnie mnie przypomina.

Kiedyś mama zabrała mnie do Montrealu. Poszliśmy na rynek, gdzie o zmroku roi się od ulicznych artystów i kramarzy. Ci pierwsi siedzieli pod parasolami, rysowali wierzące się dzieci. Mama zamówiła mój portret, dla zabawy. Mimo podobieństwa ten obrazek przyprawił

mnie o ciarki. Byłam na nim płaska i dwuwymiarowa, jak nie ja.

Moje odbicie w lustrze wygląda tak samo.

Powoli wyciągam rękę i dotykam palcem tej dziwnej osoby – ona jest lub nie jest mną – gdy naraz z lewej słyszę czyjś piskliwy skrzek. I padam pod ciężarem brodatego jegomościa z blizną, którego rozpoznałabym wszędzie.

– Ty złodziejko! – krzyczy Rapskullio. – Jeżeli jesteś tak wstrętna, jak mówi książkę, rzucimy cię na pożarcie smokowi!

Chyba śnię. Nic innego nie przychodzi mi do głowy, bo fikcyjna postać wlecze mnie przez Zaczarowany Las. Ale jeśli to sen, to dlaczego powróż, którym związał mnie Rapskullio, tak boleśnie wpija się w nadgarstki? Dlaczego czuję zapach dymu napływający z chaty Orville’a i czuję, jak wróżki – wielkości komarów na sterydach – ciągną mnie za włosy i ubranie?

Wiem, że powinnam panikować, ale jestem zbyt pochłonięta światem, o którym tak długo marzyłam. W górze zamiast nieba rozciągają się wiszące połączenia liter. Dalej mającą kolory i kształty, jakbym patrzyła na słońce z dna jeziora.

– O raju! – Aż mnie zatyka z wrażenia. – Czy to zamek królewski?

– Nie, bochen chleba – burczy Rapskullio. – Oliver mówił, że jesteś kryminalistką, ale nie wspomniał, że słabą na umyśle...

Jeśli to zamek, na pewno zobaczę Olivera.



Naprawdę zobaczę, po raz pierwszy.

Zapieram się nogami, zatrzymując Rapskullia. Związanymi rękami poprawiam włosy i bluzkę, żeby zasłonić pamiątkę po literze „j”.

– Dobrze wyglądam? – pytam swojego oprawcę.

– Zależy, czy ktoś lubi chude szczapy w pantalonach. – Ciągnie mnie dalej. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wyrasta przed nami żelazna krata i czterech heroldów obwieszcza moje przybycie. Rapskullio rozwiązuje mi ręce i pcha naprzód, aż padam

na czworaki przed sztabem dworzan.

– Co my tu mamy, Rapskullio?

Podnoszę głowę i napotykam wzrok królowej Moreny. Jej korona lśni brylantami, szafirami i rubinami, rażąc w oczy. Szatę ma wyszywaną złotymi nićmi, a fioletową narzutkę na podszewce z futra gronostajów. Wszystkie te szczegóły z bliska wcale nie przypominają obrazka. Wyglądają jak prawdziwe... bo takie są.



Czuję się jak we śnie. Znacie te sny, kiedy zdaje się wam, że wcale nie śpicie? Kiedy wszystko wokół jest tak drobiazgowo przedstawione, że moglibyście to narysować z pamięci? I dzieje się naprawdę?

Królowa Morena nie kryje zgorzienia.

– Dajcie tej biedaczce koc. Jest w bieliźnie!

Dworzanin rzuca mi końską derkę, którą okrywam się wstydliwie, chociaż mam na sobie bluzkę i szorty. Rozmyślam gorączkowo, jak się wytłumaczyć. Książka jest na pewno zamknięta, w tekście nie ma o czymś takim mowy. A zatem Oliver mówił prawdę: za kulisami toczy się zupełnie inna bajka.

– Wasza wysokość, przyprowadziłem odrażającą, ohydną, odstręczającą złodziejkę!

– oświadcza przymilnie Rapskullio. – Czytam słownik wyrazów bliskoznacznych, który mi kupiłeś pod choinkę.

Wstaję i biorę się pod boki.

– Dla waszej informacji, wcale nie jestem złodziejką. Odrażającą, ohydną i odstręczającą w dodatku. Gwoli ścisłości, niektórzy nazwaliby mnie roztropną, dalekowzroczną i błyskotliwą.

– Zadzieram podbródek. – Z angielskiego mam pięć.

– Roztropna-Dalekowzroczna-i-Błyskotliwa – powtarza królowa Morena. – Można sobie język połamać. Czy nadano ci jakiś przydomek?

– Nie... mam na imię Delilah...

– To dlaczego nie powiedziałaś? – pyta królowa.

– Bo... – Wskazuję palcem Rapskullia – ...on oskarżał mnie o kradzież!

– Działalem z upoważnienia jego wysokość księcia Olivera. – Rapskullio z godnością

pociąga nosem.

Królowa Morena patrzy na mnie z góry.

– Nie wygląda mi na złoczyńcę. Bardziej na włóczęgę.

– Nie jestem ani jednym, ani drugim – tłumaczę. – Spytajcie Olivera. On wam wszystko wyjaśni.

– Znasz księcia? – Królowa Morena z niedowierzaniem taksuje mnie spojrzeniem.

– Wasza wysokość? – słyszę znajomy głos. – Wołałaś mnie?

I nagle stoję niespełna metr od Olivera. Serce łomocze mi pod żebrami. Jest wyższy, niż myślałam, a oczy... wcale nie ma oczu w kolorze oceanu. Bardziej przypominają niebo o zmierzchu. Za to jego głos brzmi dokładnie tak, jak zapamiętałam. I uśmiecha się tak samo, kątem ust.

– Oliver! – wołam i rzucam się naprzód z wyciągniętymi ramionami...

Łup.

I znowu leżę, pod ciężarem trzech halabardników.

– Wystarczy. – Oliver spycha ich na bok i wyciąga do mnie rękę. – Nic ci nie jest?

– Pomaga mi usiąść.

Ale język staje mi kołkiem. Bynajmniej nie z powodu halabardników.

Po raz pierwszy się dotykamy. Trzymamy za ręce.



Chyba Oliver uświadamia to sobie w tej samej chwili, bo patrzymy na siebie jak zaczarowani.

Przypominam sobie urywek z bajki:

Właśnie temu służy muzyka, skonstatował. Bo niektórych uczuć nie sposób ująć w słowa.

– Obawiam się, że zaszło nieporozumienie – wykrztusza Oliver, wstając. – Delilah to moja stara znajoma.

– To po co kazałeś mi namalo...

– Myślałem, że zaginęła! – Oliver nie pozwala mu skończyć i uśmiecha się szeroko. – No i jest, widzisz! Zasłużyłeś na nagrodę, Rapskullio. Królowo Moreno, czy w zeszłym miesiącu nie otrzymaliśmy przypadkiem w darze japońskiej gąsienicy?

– Ależ tak. – Królowa klaszcze i lokaj biegnie po gąsienicę. – Ciekawe – dodaje, dalej mierząc mnie wzrokiem. – Myślałam, że znam wszystkie postacie w książce, ale ciebie nie kojarzę. Jak to możliwe?

– Ma na imię Delilah – rzuca zdawkowo Oliver. – Delilah, królowo Moreno.

Na powitanie wyciągam rękę, lecz Oliver trąca mnie łokciem w bok.

– Dygnij. – Kaszle.

Aha. Posłusznie zginam kolana, co nie wypada najlepiej, bo wciąż mam na sobie derkę.

– Skąd pochodzisz, Delilah?

– Ach, mieszkam w New Hamp...

– Z dwudziestej drugiej – wtrąca bezceremonialnie Oliver. – Delilah pracuje w rzeźni.

– Rzeźni? – mamroczę pod nosem. – Serio? Tylko na to cię stać?

– Bardzo... ciekawe – stwierdza królowa. – Musisz kiedyś rzucić okiem na nasze bydło.

– Koniecznie – odpowiadam.

– Na nas już czas – oświadcza Oliver. – Delilah miała mi pokazać, jak porcjować mięso.

Królowa Morena wzdryga się ledwo zauważalnie.

– Nie wiedziałam, że interesujesz się handlem, mój drogi – mówi. – Bawcie się dobrze.

Oliver łapie mnie za rękę (znowu!) i ciągnie przez dziedziniec. Mijamy ogrody porośnięte storczykami i bławatkami, nieduży skwerek z kamiennymi ławkami, a także królewskie pole do krykieta. Wreszcie docieramy na skraj labiryntu. Oliver prowadzi mnie na sam środek, gdzie korony drzew tworzą splątany pułap nad naszymi głowami.

– To ty – mówi. – To naprawdę ty! – Bierze mnie w objęcia i mocno przytula.

Myślałam, że znam Olivera z wielokrotnej lektury bajki, jednak są rzeczy, o których nie wiedziałam, na przykład zagłębienie obojczyka, do którego pasuję jak ulał. I że pachnie świeżo skoszonym sianem, a gdy się dotykamy, w głowie mam kompletną pustkę.

– Nie wiem, co się stało. – Wzdycham. – W jednej chwili zaglądałam do szafy, a w drugiej leciałam przez stronice. – Szczypię się w ramię. – Może śnię?

– Nie – zapewnia Oliver. – Naprawdę tutaj jesteś. Czy to nie wspaniałe? Nie mogę uwierzyć, że się udało. – Spogląda na mnie z uśmiechem. – Twoje piegi są o wiele mniejsze, gdy nie zasłaniasz twarzą nieba.

Z zakłopotaniem podnoszę rękę do nosa i bezwiednie powtarzam jego słowa.

– Nie możesz uwierzyć, że się udało – mówię z wolna. – Co chcesz przez to powiedzieć?

Pochyla głowę i stykamy się czołami. Jego oddech pachnie syropem klonowym.

– Moja próba wypisania się z książki spelzła na niczym. A ponieważ straciłem nadzieję na ucieczkę, poprosiłem, aby Rapskullio wrysował cię w książkę.

Odsuwam się.

– Że co proszę?

– Pomyślałem, że dzięki temu będziemy razem. Wiedziałem, że nic ci nie grozi.

Na własne oczy widziałem, jak ożywają namalowane przez niego motyle.

– A czy przypadkiem nie chodziło o to, żeby cię stąd wydostać? Teraz oboje utknęliśmy w bajce. Nie wspominając o tym, że nie zapytałeś mnie o zdanie!

Oliver ze zdziwieniem kręci głową.

– Przecież mówiłaś, że chcesz być ze mną.

– Ale nie tak. – Dociera do mnie powaga sytuacji. – Co jeśli nigdy stąd nie wyjdę?

– Fabuła skoryguje się z chwilą, gdy ktoś otworzy książkę – myśli na głos Oliver, ale widzę, że nie przemyślał tego zawczasu.

– A niby kto ma otworzyć książkę, skoro jestem tutaj? Stoi na półce w moim pokoju wśród innych. Poza tym, nawet jeśli ktoś ją znajdzie i otworzy, jaką mamy gwarancję, że wrócę do swojego świata, a nie rozpląnę się w powietrzu?

– Wobec tego zostań ze mną. – Obejmuje mnie za ramiona. – Na zawsze. Czy to byłoby takie straszne?

– Nie zobaczyłabym więcej mamy. – Łzy cisną mi się do oczu. – Zadręczałaby się, gdzie znikłam, i nigdy nie poznałaby prawdy. I nie miałabym okazji przeprosić Jules... – Urywam na myśl o naszej kłótni. – Do przyjaźni potrzeba dwóch osób, Oliverze – powtarzam słowa Jules. Nagle wszystko staje się jasne. Już rozumiem, jakie to straszne, kiedy jedna ze stron myśli tylko o sobie. – Czy ty w ogóle wzięłaś pod uwagę, jak będę się czuła, gdy ściągniesz mnie tam, skąd sam chciałbyś uciec? Nie przyszło ci do głowy, żeby mnie spytać o zdanie? Czy chociaż raz o mnie pomyślałaś, zanim poszedłaś do Rapskullia?

Oliver nie odrywa ode mnie wzroku. Kurczowo przełyka ślinę.

– Myślałem tylko o tobie.

W życiu nie czułam się tak samotna, chociaż stoi na wprost mnie.

– Ty chciałaś uciec od swojego życia. Ja nie chciałam uciec od mojego.

Łzy płyną mi po twarzy i rzucam się na oślep przez labirynt. Nie wiem, dokąd biegnę, ale

to nieważne. Nic nie jest ważne, jeśli nie mogę wrócić do domu.

Nie odwracam się, by sprawdzić, czy Oliver biegnie za mną. Boję się, że tak.

Ale jeszcze bardziej boję się, że nie.

Opuszczam zamek w mniej spektakularnym stylu, niż się tutaj zjawiłam. Kiedy przechodzę dziedzińcem, kilka dwórek kiwa mi głową, a halabardnik, który niedawno przygwoździł mnie do ziemi, życzy mi na pożegnanie miłego dnia. Znajduję się w nie swoim królestwie, w świecie, do którego nie pasuję.

Za murami zamku puszczam się biegiem. Mijam znajome widoki, ale się nie zatrzymuję. Myślę tylko o mamie, która czeka na dole z miską popcornu. Ciekawe, kiedy wpadnie na to, że mnie nie ma. I jak wytłumaczą moje zniknięcie, jeśli zadzwoni na policję. Kto ją pocieszy. Nie ma nikogo oprócz mnie. Zawsze byłyśmy tylko we dwie.

Moim jedynym sprzymierzeńcem w tym świecie jest człowiek, który zawiódł moje zaufanie. A jeśli nie mogę ufać Oliverowi, nie mam po co tutaj siedzieć. Głupotą było wierzyć, że jest taki wspaniały. Uroiłam to sobie, jak zawsze.

Wiecie, czego nikt nie mówi o miłości? Że złamane serce boli jak diabli.

Siadam na kamieniu na skraju wody, skały sterczą wokół mnie jak zęby rekina. Widoczny w oddali statek kapitana podskakuje na falach. W górze majaczy Samotna Wieża.

Przyciągam kolana pod brodę. Jeszcze niedawno się ekscytowałam, że pomogę Oliverowi uciec z bajki, a teraz drzę na myśl, że sama się tutaj znalazłam.

Sięgam w bok i zrywam mlecz, po czym zamykam oczy i w myślach wypowiadam życzenie: Chcę się stąd wydostać.

Oliver też chciał, uzupełnia głosik w mojej głowie.

I ryczę jak bóbr.

Jedyna osoba, która mnie rozumie, to ta, na którą nawrzeszczałam i od której uciekłam.

– Muszę wrócić i z nim porozmawiać – mówię na głos. Już mam wstać, kiedy coś łapie mnie za nadgarstek i wciąga do wody.

Przeżrana wyrywam się i szamoczę, próbując wypłynąć na powierzchnię, ale mam na sobie ubranie i buty, więc lecę jak kamień w dół. Krzyczę i połykam wodę. A jeśli utonę? Jeśli umrę? Rzucam się jeszcze mocniej, walczę ze wszystkich sił.

Płynie ku mnie rekin. Zastygam, patrząc, jak srebrne ciało tnije wodę. Wyczuwam jego wzrok i usiłuję sobie przypomnieć, co oglądałam na kanale Discovery. Mam go walnąć w nos

czy może dziabnąć w oko?

Kłapie szczęką tak blisko mnie, że zasysa wodę jak odkurzacz i burzy mi włosy. Ale nim zawraca, coś oplata moje nadgarstki i pas, krępując mi ruchy. Próbuję się wyrwać, ale w uszach słyszę głos.

– Nie szarp się – syczy kobieta. Dostrzegam, że więzy to w istocie sploty jej włosów, długie i srebrzyste. Twarz na wprost mojej twarzy jest straszna i zapadnięta, pokryta łuskami. Na żebrach i po bokach szyi falują skrzela. Dolną połowę ciała stanowi gruby, muskularny ogon.

A miałam siedzieć przed telewizorem i oglądać wesołe pląsy Arielki i Florka. Otwieram usta do krzyku, ale syrena łapie moją twarz i wyciska mi pocałunek na wargach.

– Z jakiej racji? – wykrztuszam i ją odpycham. Jednocześnie uświadamiam sobie dwie rzeczy: po pierwsze, rekin odpłynął. A po drugie, mogę oddychać.

Jakby ktoś wsadził mi na głowę hełm astronauty. Biorę kilka nieśmiałych oddechów na próbę, a następnie wielki haust powietrza.

– Jak ty, to... znaczy...

Mój wzrok nabiera ostrości pod wodą, widzę, że opodal pływają wszystkie trzy syreny. Kiedy po raz pierwszy sięgnęłam po książkę, najbardziej zaniepokoiły mnie właśnie one, wychudzone, z włosami jak splątane wodorosty, ostrymi płetwami na przedramionach, przekrwionymi pręgami skrzeli falujących z każdym oddechem. Marzeniem wielu dziewczynek jest zostać syrenką, ale nie taką. Z bliska wyglądają jeszcze straszniej niż na obrazku. Przypominam sobie słowa Olivera, że bohaterowie są tak naprawdę inni niż w książce. Może w takim razie jest nadzieja, że syreny nie chcą mnie zabić.

– A ty tutaj skąd? – pyta Kyrie, syrena, która uratowała mnie przed rekinem.

– To długa historia – rzucam wymijająco.

– Ach, powiedz nam – woła Ondine i klaszcze w ręce. – Tak dawno nie słyszałyśmy nic nowego.

– Siostry – mruczy Marina, podpływając bliżej. – Nie widzicie, że chłopiec się boi?

Chłopiec? Biorą mnie za chłopca? To wystarczy, żeby mi rozwiązać język, bo wiem aż za dobrze, co syreny robią z chłopcami, którzy mają pecha chlupnąć do wody opodal ich lokum.

– Nie jestem chłopcem – oświadczam.

Ondine opływa mnie dokoła.

– Ubrana jesteś jak chłopiec.

- Tam, gdzie mieszkam, młodzież się tak ubiera.
- A gdzie właściwie mieszkasz? – dopytuje Marina.
- W New Hampshire. – I dodaję po chwili wahania: – To królestwo daleko stąd.
- Co cię tutaj sprowadza? – pyta Kyrie.

Nie sposób wytłumaczyć bohaterom książki, że istnieje świat poza granicami ich rzeczywistości. Dlatego ludzie nie wierzą w UFO, i dlatego nikt prócz mnie nie wierzy w Olivera.

- Przybyłam wbrew własnej woli – mamroczę. – On mnie tutaj ściągnął.

Syreny wymieniają znaczące spojrzenia.

- Jakżeby inaczej – odzywa się Ondine.
- Facet zawsze musi wszystko zepsuć – przyznaje Marina.

Kyrie kręci głową.

- Mężczyźni. Nie da się z nimi żyć... i nie można ich legalnie utopić.

Marina wsuwa mi rękę pod ramię.

- Nie mogłaś lepiej trafić, skarbie. Kimkolwiek jest... możesz się bez niego obyć.

Szczęka mi opada. Spragnione randkowania syreny są tak naprawdę... zagorzałymi feministkami?

- Co on ci zrobił? – pyta Kyrie. – Flirtował z inną?
- Powiedział, że masz schudnąć? – podsuwa Marina.
- Mówił o swojej byłej? – uzupełnia Ondine, a pozostałe jęczą chóralnie.
- Znamy to, znamy, siostró – oświadcza Marina.
- Nie, nie, nic z tych rzeczy – zapewniam. – Ściągnął mnie tutaj wbrew mojej woli.

Nawet nie zapytał mnie o zdanie.

- Czyste świństwo – dobitnie mówi Ondine.

Marina kiwa głową.

- Dobrze, że od niego uciekłaś.

Jej słowa powodują ucisk w piersi. Tak bardzo chciałam być blisko Olivera, a teraz popadłam w drugą skrajność.

- Prawdę powiedziawszy – odpowiadam cichutko – żałuję, że tak się stało.

Marina wzdycha.

- Miłość to fala przyływu – konstatuje filozoficznie.

– Ponieważ zwała z nóg? – pytam.

– Nie. Ponieważ wciąga cię pod wodę i toniesz.

– Ale czasami – zaznaczam – tylko dzięki niej utrzymujesz się na powierzchni. – Dociera do mnie, że chociaż nadal jestem zła na Olivera – zabrał mnie z domu i mojego życia, od mamy – ja też go zraniłam. Patrząc z boku, ja mam mamę i Jules, a on tylko mnie.

– To przypadek beznadziejny – stwierdza Kyrie.

Marina pociąga nosem.

– Jeśli nie chcesz postawić na nim krzyżyka, to chociaż nie pozwól, żeby traktował cię jak wycieraczkę.

– Nie rozumiem...

– Niech się chłopak trochę napoci – radzi Ondine. – Niech wie, co ma do stracenia.

Przypominam sobie jedną z pierwszych rozmów z Oliverem, kiedy myślał, iż może rozstawić mnie po kątach i traktować jak swoją poddaną, jakbym nie mogła w każdej chwili zamknąć książki. Teraz nie mam tej przewagi... przy czym ostatnio wcale jej nie potrzebowałam. Jesteśmy sobie równi.

– O matko – jęczy Marina. – Wpadła po uszy.

Myślałam, że rozumiem Olivera, ale nie rozumiałam, zanim nie znalazłam się tutaj wbrew własnej woli. Uwięziona w świecie, z którego on tak bardzo chce uciec, mam jasny wgląd w jego położenie.

Może na jego miejscu byłabym tak samo zdesperowana. I też wciągnęłabym go do książki.

– Muszę go znaleźć – oświadczam.

– Naprawdę tego chcesz? – upewnia się Kyrie. – Możesz mieć innego.

– Ale drugiego takiego jak on nie znajdę. – Patrzą na syreny. – Dziękuję wam.

Za gościnność, za tlen. Ale pora wracać na powierzchnię.

Marina uśmiecha się pobłaźliwie.

– Nie w takim stanie. Chyba nie masz zamiaru paradować w bieliźnie?

Czemu wszyscy mi to mówią?

Ale nie mam czasu zaprotestować, bo Kyrie i Ondine ciągną mnie w głąb oceanu, ku wejściu do podwodnej jaskini. Rozpoznaję zbutwiałe drzwiczki w głębi pieczary, za którymi piętrzą się zwłoki niedoszłych oblubieńców.

Wpływamy przez szczelinę, którą pamiętam z obrazka – lecz nie było mowy, co się za nią kryje. W zacisznej grocie zalegają stopy złotych dublonów, czary wysadzone klejnotami, sterty lśniących błyskotek.

– Przecież... to jest warte majątek – wołam.

Marina przytakuje.

– Zbieramy wszystko, co zostaje z wraków. – Podnosi diamentową tiarę. – Nigdy nie wiadomo, co się przyda.

Kyrie nurkuje w stosie połyskliwych monet, aż wirują w zwolnionym tempie złotą kaskadą. Wynurza się po chwili z naręczem chabrowego aksamitu.



– Podkreśli kolor jej oczu – oznajmia, strzepując suknię z koronkowym dekoltem i rękawami. Na staniku widnieje misterny haft złotą nicią. W życiu nie widziałam nic tak pięknego.

Ondine rozwiązuje gorset, a Kyrie pomaga mi się rozebrać. Wstępuję w połać falującego aksamitu. Syreny ubierają mnie i wiążą tasiemki, po czym cofają się, aby obejrzeć swoje dzieło.

– Co? – pytam. – Aż tak strasznie?

– Czegoś mi brakuje... – mówi w zadumie Marina. Sięga do stojącej obok drewnianej skrzyni, wyjmując sznur pereł i wkłada mi na szyję. – Proszę. Doskonale.

– Myślisz? – pytam nieśmiało, na co ponownie biorą mnie pod ramię i ciągną na powierzchnię. Po chwili siedzę na tej samej skale, na której płakałam.

Przeglądałam się w wodzie. Jestem powalająca. Choć nieco przemoczona.

Syreny kołyszą się na wodzie, srebrne włosy spływają im po ramionach.

– Gwarantuję, że nie spuści cię z oka – zapowiada Marina.

Mam nadzieję. Chcę wrócić do domu, ale razem z Oliverem. Co znaczy, że jesteśmy sobie winni przeprosiny.

Kolejno patrzę na każdą z nich.

– Nie wiem, jak wam dziękować – mówię.

Wzdychają, a może to jedynie szum fal obmywających skały, bo już ich nie ma. I gdyby nie bardzo piękna i bardzo przemoczona suknia, pomyślałabym, że wszystko sobie uroiłam.

W połowie drogi do zamku ziemia nagle drży pode mną. Podnoszę wzrok w oczekiwaniu burzy, ale widzę tylko strzępy wyrazów. Naraz dostrzegam kurzawę: z oddali dobiega rzenie konia i wyłania się Oliver, galopuje na złamanie karku w moją stronę.

Ściąga wodze i Strzała staje dęba, przebijając w powietrzu przednimi nogami. Oliver zeskakuje z siodła i biegnie do mnie. Zanim mam okazję wykrztusić przeprosiny, chwytą mnie w objęcia i przytula mocno.

– Bardzo cię przepraszam. Nie wziąłem pod uwagę, ile masz do stracenia. Myślałem tylko o tym, co sam mogę zyskać.

Odwzajemniam uścisk.

– Wiem. Znajdziemy sposób, żeby wrócić do domu. Ale ty pójdziesz ze mną.

Za plecami słyszę siąkanie.

– Jakie to romantyczne! – stęka Strzała.

Oliver chrząka.

– Strzało? Chyba znasz drogę do domu?

– W rzeczy samej – odpowiada z dumą wierzchowiec.

– Świetnie. Więc zmiataj. I to już.

– Ach! Chcesz powiedzieć... piąte koło u wozu, i tak dalej. Jasne. – Strzała potulnie zwiesza głowę i truchta z powrotem tam, skąd przybiegł.

– Aż do teraz nie rozumiałam chyba, jak się czułeś – przyznaję. – Jak bardzo pragnąłeś znaleźć się gdzie indziej.

– Nie powinienem zakładać, że jesteś tylko moja. Bardzo żałuję, że nie możemy przesłać wiadomości twojej mamie.

Markotnieję na wzmiankę o mamie.

Muska dłonią mój policzek.

– Mogę cię jakoś pocieszyć?

– Możesz mnie objąć – szepczę i w tej samej chwili zapadam w jego objęcia. Czuję uderzenia serca Olivera, ciepło, jakie bije od niego. Czuję jego dłoń w zagłębieniu pleców. Jest tak samo rzeczywisty jak ja. – Oliverze – mówię powoli, rozkoszując się tą świadomością. – Ty możesz mnie objąć.

– Ależ mogę jeszcze więcej. – Ujmuje moją twarz i delikatnie, czule całuje mnie w usta.



Leonard Uberhardt – chłopak, który mnie pierwszy całował, a dokładniej połknął mi pół twarzy – może się schować. Pocałunek jest słodki i pieszczotliwy, jakby Oliver opowiadał mi coś bez słów, a jego uczucia nie mieściły się w zdaniach i należało je oddać w ten, a nie inny sposób.

Kiedy się odsuwamy, brak mi tchu i tonę w jego oczach.

– Nie masz pojęcia, ile na to czekałem.

Zarzucam mu rękę na szyję.

– Może jeszcze raz – zgłaszam gotowość.

Bierze mnie za nadgarstki i odsuwa delikatnie.

– Kto jak kto, ale ty powinnaś wiedzieć, że najpierw musimy zająć się czymś innym.

Oczywiście ma rację. Chcę wracać do domu. Co nie znaczy, że nie jestem rozczarowana, tak odrobinę.

Oliver po raz pierwszy zwraca uwagę na mój strój.

– Co ci się stało?

– Syreny – mówię krótko.

– Dziwię się, że nie próbowały cię do mnie zniechęcić – oświadcza. – Raczej nie przepadają za facetami.

– Jaki masz plan? Jak wrócimy do domu? – pytam.

– No więc. – Oliver się czerwieni. – Tego jeszcze nie wiem.

– Przecież ty zawsze masz na wszystko rozwiązanie. Cokolwiek się dzieje, bez względu na powagę sytuacji, zawsze znajdujesz wyjście z opresji.

– Tak mnie napisano – tłumaczy. – Gdybym był naprawdę łośki, dawno bym się stąd wyniósł.

– Ale w książce zawsze...

– W książce zakochuję się w Serafinie – ucina. – Tylko dla potrzeb fabuły, wierz mi.

Nagle robi mi się zimno. Dociera do mnie, że wpadłam jak śliwka w kompot. Tkwię w bajce, do której może już nikt nie zajrzy. Po wielokrotnej lekturze płacze mi się fikcyjny Oliver z prawdziwym i już sama nie wiem, co jest prawdą.

Nieświadomie wypowiadam to na głos. Oliver bierze mnie za rękę.

– My – mówi z naciskiem. – I to.

Słońce chyli się ku zachodowi i obleka horyzont jaskrawym oranżem.

– Lepiej chodźmy do domu – dodaje Oliver, a ja prostuję zgarbione plecy. – Mam na myśli zamek – uzupełnia z przykrością.

Pomaga mi wstać i idziemy ubitą ścieżką przez pole. Czuję ciepło bijące z jego ramienia i zapach świerku, którym przesiąkła jego tunika. Wróżki tańczą przed nami jak świetliki, wypisują nasze inicjały na szarzejącym niebie. Uśmiecham się bezwiednie, oczarowana ich widokiem. Chcę opuścić ten świat, co nie zmienia faktu, że zapiera dech w piersi.

Jestem tak skołowana, że w pierwszej chwili nie dostrzegam Serafiny, która wyrasta przed nami. Stoi z wytrzeszczonymi oczami, jasne włosy spływają jej po plecach, a na pięknej twarzy maluje się wyraz bezbrzeżnego zdumienia.

– Oliver? – rzuca pytającym tonem.

– Och, uhm, cześć, Serafino – mówi książę. – Czy poznałaś... moją kuzynkę Delilah?

– I szepcze mi do ucha: – To nie jej wina, że nie grzeszy rozumem. Nie chcę jej zranić. Udawaj razem ze mną.

Serafina posyła mi najśłodszy uśmiech.

– Delilah! – Łapie mnie za rękę. – Na pewno zostaniemy przyjaciółkami!

Wysilam się na uśmiech.

– No ba – wykrztuszam.

– Robi się późno, matka czeka – dorzuca pośpiesznie Oliver.

– Naturalnie! – odpowiada Serafina. Rzuca się mnie wyściskać. – Może jutro wybierzemy się na wspólne zakupy na targowisku?

– Uhm...

– Jutro Delilah ma napięty grafik – wtrąca Oliver. – Ale może pojutrze. – Odciąga mnie i ruszamy dalej.

– Oliverze! – woła za nami Serafina. – Czy przypadkiem o czymś nie zapomniałeś? Odwraca się w jej stronę.

– Nie wydaje mi się... – Uśmiecha się z zaciśniętymi zębami.

Serafina podbiega, zarzuca mu rękę na szyję i wyciska soczysty pocałunek na jego wargach. Następnie odsuwa się, trzepocząc rzęsami.

– Niech ci się przyśnię – mówi wstydliwie.

Za zakrętem częstuję Olivera kuksańcem pod żebro.

– Kuzynka? – pytam.

– To pierwsze, co przyszło mi do głowy – tłumaczy. – Żal mi jej, tak?

– I całowałeś ją z tego żalu?

– To ona mnie pocałowała! – broni się Oliver.

– Nie widziałam, żebyś się wzbraniał – wypominam.

Oliver promienieje.

– Ktoś tu jest zazdrosny.

– Chciałbyś.

Splata palce z moimi.

– Chciałem. I się spełniło.

O zmroku docieramy do zamku. Na zwodzonym moście prowadzącym do bramy płoną pochodnie i na widok Olivera wartownicy stają na baczność jak posągi.



– Zaczynam rozumieć, czemu jesteś taki nadęty – mamroczę.

– Nazwałbym to raczej poczuciem własnej wartości – precyzuje Oliver.

Wchodzimy do środka i nagle znajdujemy się w ogromnej, kamiennej sali. Na ścianach wiszą gobeliny przedstawiające księżniczki i rycerzy z zamierzchłych czasów. U sufitu w kryształowym kandelabrze płoną świece, rzucają na posadzkę długie cienie. Podchodzi lokaj w liberii z granatowego aksamitu, z królewskim herbem wyszytym na piersi.

– Wasza wysokość – mówi. – Królowa Morena cierpi na migrenę, ale kazała przekazać, że północna wieża jest do dyspozycji gościa. Komnatę przygotowano.

– Dziękuję – odpowiada Oliver. – Sam odprowadzę lady Delilah.

– Jak wasza wysokość sobie życzy. – Lokaj podaje mu świecę.

Burczy mi w brzuchu.

– Czy mogę najpierw zrobić sobie kanapkę z dżemem i masłem orzechowym? – pytam szeptem.

– Co to jest kanapka? – pyta zaintrygowany Oliver.

– Przekąska – uściślam. – Jestem trochę głodna.

Posyła mi wymowny uśmiech.

– Znając królową Morenę, nie musisz się o nic martwić. – Lokaj zniknął, zostaliśmy sami w wielkiej sali. Idę za Oliverem i trzymam go za rękę, żeby się nie potknąć w ciemności. Gdy wchodzimy po krętych, kamiennych schodach, blask świecy pełga po ścianach, ukazując nasze cienie.

Pokonujemy siedem kondygnacji. Wreszcie Oliver prowadzi mnie korytarzem i staje przed ciężkimi, drewnianymi drzwiami.

– Wiem, że to nie dom, ale mam nadzieję, że na razie wystarczy. Naciska klamkę.

W komnacie z wysokim, sklepionym sufitem stoi misternie rzeźbione łoże z czterema kolumnami i powiewnym baldachimem. Ogień trzaska w kominku, przed którym stoją dwa czerwone, aksamitne fotele. Na ustawionym nieopodal niskim stole czeka istna uczta: pieczony kurczak, misa świeżych owoców, półmisek z tortem, dwa bochenki chleba oraz naczynia pełne warzyw.

– Oliverze. – Wzdycham. – Ona myśli, że ile mogę w siebie wcisnąć?

– Kucharkę czasami ponosi. – Oliver się uśmiecha.

– Nie chcę, żeby coś się zmarnowało. Wchodź i łap za widelec.

Patrzy na mnie ze zgrozą.

– Nie mogę wejść do twojej komnaty.

– A to dlaczego? Ile razy byłeś w moim pokoju?

Oliver się rumieni.

– Ale tutaj jest jakoś inaczej.

– Wcale nie. Zresztą jesteśmy na szczycie wieży. Nikt się nie dowie.

Następne parę godzin spędzamy przy kominku, czyniąc niewielki uszczerbek w obfitej zawartości stołu. Oliver rozśmiesza mnie opowieściami o kawałach, jakie robił Bule, i z grubsza kreśli rysopis postaci, które najprawdopodobniej poznam. Opowiadam mu o sprzeczce z Jules i rozmowie z mamą. Następnie prześcigamy się w pomysłach, jak wydostaniemy się z bajki.

– Znikniesz z chwilą otwarcia książki – przekonuje Oliver. – Nie należysz do opowieści.

– Nawet jeśli to prawda, bo nie wiemy na pewno, ty zostaniesz. I wrócimy do punktu wyjścia.

– Ale przynajmniej jedno z nas będzie wolne.

Nie umiem zdobyć się na szczerą odpowiedź. Kiedyś marzyłam, aby znalazł się przy mnie, ale nie wiedziałam, co tracę. Teraz już wiem i tym trudniej będzie mi go zostawić.

– Książka stoi na półce w moim pokoju. Nikt jej nie znajdzie, o otwarciu nie wspominając.

– Więc musimy sami ją otworzyć – kwituje Oliver. – Znajdziemy jakiś sposób.

– Może czarami – uzupełniam żartem.

Patrzy na mnie.

– No jasne. – Unosi brwi. – Zaczniemy od Orville’a.

Tłumię ziewanie, ale Oliver zauważa.

– Miałaś ciężki dzień. – Wstaje. – Pora spać.

Bierze świecznik, z którym przyszliliśmy, i podchodzi do drzwi.



– Nie możesz mnie zostawić samej. – Panikuję. A jeśli obudzę się i wszystko zniknie? Nie znam zasad tego świata. Nie wiem, co się stanie.

– Będę piętro niżej – obiecuje. – Tuż pod tobą. Tupnij nogą, a przybiegnę.

Stoimy na progu mojej komnaty.

– Czy przypadkiem o czymś nie zapomniałeś? – mówię, cytując słowa Serafiny.

Nachyla się z uśmiechem i całuje mnie na dobranoc. Kiedy się odsuwa, wciąż oboje się uśmiechamy. Kieruje się w stronę kamiennych schodów.

– Niech ci się przyśnię, kuzynie – wołam.

Śmieje się przez całą drogę na dół.



Oliver czuł pod paznokciami zaprawę kamiennej wieży. Nie wiedział, jak długo się utrzyma. Ale pod nim rozciągały się wzburzone fale i ostre skały. Jeden fałszywy ruch i zginie na pewno.

Ostatnim wysiłkiem podciągnął się na szeroki gzyms okiennej wnęki.

Ale zamiast pięknej księżniczki, dziewczyny swoich marzeń, za którą przemierzył świat wzdłuż i wszerz, ujrzał wysokiego mężczyznę w pelerynie; ten przechodził nerwowo tam i z powrotem.

– Ja czekam – rzucił tonem kategorycznym.

Głos jego był jak mgła wypełzająca na horyzont. Włosy opadały mu na jedną brew jak krucze skrzydło, a blizna przez całą długość twarzy ciągnęła kącik ust w dół. Niecierpliwie bębnił po ramionach długimi, kościstymi palcami.

– Marnujesz mój czas – dodał.

Nic nie zapowiadało, że Oliver spotka w wieży kogoś oprócz swojej prawdziwej miłości, lecz uznał z perspektywy czasu, że w zasadzie mógł się tego spodziewać. Gdyby miało pójść jak po maśle, chętnych do ratowania nadobnej panny byłoby na pęczki.

Zanim wpadł na pomysł, jak on – chłopak, który nawet nie nosił miecza i obiecał matce, że nie będzie walczył – pokona złoczyńcę wyższego o dobre piętnaście centymetrów i cięższego o blisko dwadzieścia kilo, zza parawanu wyłoniła się Serafina.

Miała na sobie suknię tak białą, że oczy bolały, z bogato zdobionym gorsetem i rękawami, które zwęzły się aż po końce palców. Na głowie widniał ślubny welon, wiotki niczym poranna mgiełka.

Jej wzrok, ponad ramieniem Rapskullia, natychmiast padł na Olivera.

Oliverowi oczy się zaświeciły na widok jej srebrzystych włosów, fiołkowych oczu i twarzyczki w kształcie serca. I nagle coś w nim drgnęło, wszystkie puste miejsca się zappełniły, oddech zgrał się z oddechem Serafiny i krew w nim zaśpiewała.

Właśnie temu służy muzyka, skonstatował. Bo niektórych uczuć nie sposób ująć w słowa.

Rozchyliły się usta Serafiny.

– Nareszcie – szepnęła, jakby od początku wiedziała, że się zjawi.

Ale to jedno słowo sprawiło, że Rapskullio zwrócił się w jego stronę, a peleryna wydeła się za nim jak kłęb dymu.

– No, no – rzekł, a każde słowo było niczym świst bata. – Patrzcie, kto się wprosił na wesele.

OLIVER

Następnego ranka każe przygotować piknik w wieży, z której ratuję Serafinę. Dochodzę do wniosku, że przed wizytą u Orville'a Delilah i ja musimy się posilić.

No i chcę z nią spędzić parę minut sam na sam, miast narażać ją na maglowanie przy królewskim śniadaniu.

Myślałem, że nauczyłem się jej na pamięć – począwszy od piegów, poprzez ulubioną bluzkę, a skończywszy na tym, jak dosypuje złotej rybce drugą porcję – ale okazało się, że wszystkiego nie wiedziałem. Na przykład tego, że ma skórę gładką jak jedwab, a jej włosy pachną jabłkami. Dłoń Delilah pasuje do mojej jak brakujący element układanki.

Idzie przede mną po schodach i nogi jej się plączą w sukience.

– Głupia kiecka – mamrocze.

– Może i głupia – przyznaję. – Ale bardzo ci w niej do twarzy.

Patrzy na mnie przez ramię.

– Założę się, że nie mówiłbyś tak, gdybyś sam ją nosił. Płasałeś kiedyś po łące na obcasach? Nie sądzę...

– Ja nie płasam. Mężczyźni nie płasają. My... kroczymy.

Delilah wybucha śmiechem.

– Kroczysz, ty?

Obrażony przystaję na schodach.

– No co? Nie podoba ci się, jak chodzę?

Ale Delilah wchodzi na wieżę i zapiera jej dech.

– Oliverze – mówi. – Kiedy tego dokonałeś?

– Zamek pełen służby czasem się przydaje – odpowiadam. Patrzę nad jej ramieniem i widzę, że przeszli samych siebie. Na podłodze leży koc z owczej skóry, a na nim pyszną się specjały. Nie zabrakło pieczonego indyka, morelowego chutney i nadziewanych fig. Są też oliwki, śliwki i winogrona, spiętrzone wysoko w najlepszych porcelanowych misach królowej Moreny. Pomiędzy dwoma złożonymi kielichami stoi karafka cydru jeżynowego.



– Przytyję tutaj z pięć kilo, zanim wyjadę – mruczy Delilah. – Wystarczyłaby grzanka.
Gdy z szelestem znieawidzonej sukienki siada na kocu, gołąbki gruchają wśród belek nad naszymi głowami. Z westchnieniem wkłada winogrono do ust.

– To takie nierzeczywiste. Czuję się jak księżniczka.
Nie mógłbym lepiej podjąć tematu.

– Ciekawe – mówię. – Myślałem o tym samym.
Delilah marszczy brwi.

– Też czujesz się jak księżniczka?
– Nie! – Kręcę głową. – Ja tylko... no, myślę, że *ty* byłabyś wspaniałą. – Z trudem napotykam jej wzrok. – Jeszcze nigdy tego nie robiłem. Znaczą, tak naprawdę. – Głośno przełykam ślinę, po czym klękam na kolano i ujmuję jej dłoń. – Delilah, czy wyjdiesz za mnie?

– Co? Co! Co ty wyprawiasz? – Popycha mnie, aż się przewracam. – Oliverze, ja mam piętnaście lat! Nie wyjdę za męża, skoro nawet jeszcze nie byłam na studniówce!

– Moglibyśmy tam pojechać na miesiąc miodowy – podsuwam z nadzieją.
Podnosi się, rozeźlona.

– Nic nie rozumiesz.
– Myślałem, że chcesz, byśmy byli razem.
Podchodzi do otwartego okna, bezwiednie odgrywając scenę z bajki.

– W moim świecie nie wychodzi się za męża w tym wieku – oznajmia. – Chyba że ktoś jest w ciąży i wystąpił w programie na MTV. Ja chcę mieć chłopaka. Chcę chodzić do kina, trzymać się za ręce i wymieniać żarty zrozumiałe tylko dla nas. Chcę robić śmieszne zdjęcia aparatem w mojej komórce. A na walentynki dostać kartkę nie tylko od mamy. – Przenosi wzrok na mnie. – Chcę z tobą chodzić.

– Chodzić. A... dokąd?
Uśmiecha się.

– Nie wiem. Dokądś. Żeby się lepiej poznać.
Nagle mam wrażenie, że wygłupiłem się z tym piknikiem.

– Nie musimy brać ślubu. Zawsze chciałem z tobą być, na niczym innym mi nie zależało.

– Ja też tak myślałam... lecz jak się okazało, nie miałam racji – przyznaje Delilah. – Chcę również budzić się we własnym łóżku. Nosić spodnie. I... matko, nie wierzę, że to mówię... chodzić do szkoły. – Oburącz ujmuję moją twarz. – Chcę, żebyś był w moim życiu. Ale to ma być moje życie.

Odsuwam się skruszony.

– Wiem, że to wszystko moja wina. Ale kiedy zrozumiałem, że nigdy nie uwolnię się z książki, nie mogłem znieść myśli, że...

– Chwila moment – zauważa przytomnie Delilah. – Jak to: rozumiałeś, że nigdy nie uwolnisz się z książki?

Krew uderza mi do twarzy.

– U Orville'a zobaczyłem swoją przyszłość – wyznaję szeptem. – I nie było tam ciebie. – Urywam. – W wizji zobaczyłem inną dziewczynę.

– Słucham? – mówi z niedowierzaniem Delilah. – Kogo? Serafinę?

– Uch. Błagam cię.

– Więc kogo?

– Nie wiem. W życiu jej na oczy nie widziałem.

Delilah głęboko się nad tym zastanawia.

– Przyszłość jest zmienna – zauważa. – Na przykład, jeszcze przed tygodniem nie wyobrażałaś sobie, że mogę być w książce. Niewykluczone, że jeśli Orville wyśle mnie do domu zaklęciem, twoja przyszłość zmieni się radykalnie. – Jej dłoń splata się z moją. – Nie pozostaje nam nic innego, jak sprawdzić.

Gdybym nie znał go na wylot, rzekłbym, że Orville smali cholewki.

W życiu nie widziałem u dziadunia takiej werwy. Odkąd przedstawiłem mu Delilah, rumieni się jak pensjonarka i zasypuje ją sztuczkami magicznymi: znikającą kijanką, skrzypcami samograjkami oraz swym najnowszym wynalazkiem – kaczką, która mówi płynnie po węgiersku.



Delilah rewanżuje się wiadomościami z podręcznika.

– Mieszasz cynk z wodorotlenkiem sodowym i doprowadzasz prawie do stanu wrzenia.

Następnie dodajesz miedziaki i robią się srebrne. Jeśli je podgrzejesz, zyskają złoty odcień.

– Alchemia! – wykrzykuje Orville.

– Hm, niezupełnie. Po prostu cynk w połączeniu z miedzią tworzy mosiądz. Ale wygląda jak złoto – dorzuca na pocieszenie Delilah.

Naburmuszony stoję z założonymi rękami.

– Jeśli skończyliście gruchać, chętnie zobaczyłbym znów swoją przyszłość...

– Ach tak, właśnie – mówi czarodziej. Prowadzi Delilah do warsztatu i targa na stół kamienną misę wraz z paroma fiolkami z barwnego szkła. Wlewa ich zawartość, rytmicznie mieszając.

Delilah i ja obmyśliśmy coś na kształt planu. Na podstawie mojego eksperymentu z Pyrem dowiedzieliśmy się, że książka, którą noszę przy sobie, replika mojej bajki, ma moc wywierania wpływu na świat Delilah. Jakimś cudem, na przykład, podpaliła książkę, w której mieszkamy. Gdybyśmy ją zatem zdetonowali, oryginał wystrzeliłby może z półki i spadł otwarty. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa my, wszyscy bohaterowie, powrócilibyśmy wówczas na stanowiska. A Delilah wróciłaby do domu.

Przynajmniej taką mam nadzieję.

Wszystkie eliksiry oraz ingrediencje są strzeżone zaklęciem, które przestaje działać z chwilą, gdy są w użyciu. Co znaczy, że nie możemy tak po prostu włamać się do chaty Orville'a po środek do detonacji. Musimy odwrócić jego uwagę i poczekać, aż sam zdejmie czar. Delilah wpadła na pomysł, aby prosić go o ponowne zaprezentowanie mojej przyszłości, dzięki czemu upieczemy dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Ciecz zaczyna wrzeć w misie i niemal natychmiast paruje pod postacią fioletowej mgły.

– Sprawdźmy. – Orville rozgląda się za czymś, co może do niej wrzucić. Delilah rzuca mi pytające spojrzenie spod uniesionych brwi i pyta bezgłośnie: Już?

Kręcę głową.

– Jeszcze nie – szepczę.

Czarodziej przegląda słoje i zlewki na półce. Wreszcie z uśmiechem sięga do kieszeni i wyjmuje płócienny woreczek.

– Popołudniowa przekąska – tłumaczy, wyjmując ziarenko i wrzuca w opary.

Fioletowy dym wzbija się w górę i przybiera kształt słonecznika.

– Już. – Na mój znak Delilah staje z tyłu, niby nie chcąc mi zasłaniać, ale tak naprawdę

poczyna zgarniać z półki za plecami Orville'a wszystkie flaszki niewielkich rozmiarów. Upycha je w kieszeniach i rękawach.

– Proszę uprzejmie – mówi czarodziej. Wrywa mi włos z głowy i wrzuca w dym. Podobnie jak ostatnim razem, mgła tworzy wysoką kolumnę, która rozszerza się w ekran, wyświetlając moją przyszłość. Widzę siebie na tapczanie w małym pokoju zagraconym książkami.

Delilah zamiera z pełnymi rękami flaszek i ziół, ale nie może odwrócić wzroku.

– I co? – pyta.

– Zaraz zobaczysz.

I rzeczywiście, pojawia się dziewczyna i mnie obejmuje. Czuję, jak Delilah sztywnieje za moimi plecami.

Dziewczyna odwraca się i widzimy jej twarz. Teraz widzę, że to nie dziewczyna, tylko kobieta. Kobieta, której nigdy przedtem nie widziałem.

Delilah ze świstem wciąga powietrze.

– Ja ją znam!

– Znasz?

– Tak! To...

Ale nie kończy zdania, bo drzwi chaty Orville'a otwierają się z hukiem. Wpada Buła i rzuca mi się z zębami do gardła. Ze zdumienia wrastam w ziemię.

– Buła! – krzyczę. – Co ty, na miłość bos...

Skacze jak oszalały, toczy pianę z pyska. Przewraca mnie i kotłujemy się na podłodze. Ledwo mam czas dostrzec, że w progu stoi Serafina, cała we łzach.

– Ty bezwstydnny łgarzu – szczeka Buła. – Złamałeś jej serce!

– Wcale nie masz kuzynki – zawodzi Serafina. – Nie masz nawet cioci ani wujka!

Zanim odzyskuję mowę, Delilah wkracza do akcji i odciąga Bułę za obrozę. Usiłuje go nakłonić, by wypuścił z zębów mój kołnierz. Wreszcie słychać trzask: Buła i Delilah wywijają salto w tył i wpadają na półkę Orville'a, strząsając na siebie jej zawartość.

– Delilah – wołam i rzucam się w jej stronę. – Jesteś cała?

– Tak – burczy. Wstaje z podłogi. Na sukni ma mokre plamy. – Ale śmierdzą skarpetami.

Orville ogarnia wzrokiem krajobraz zniszczenia.

– To mi wygląda na smarki trolla. Obrzydlistwo.

– Na miłość boską! Masz wściekлизnę, Buła? – wrzeszczę. – Co cię napadło?

Nagle Orville patrzy w górę.

– Uwaga! – huczy. – Kryć się! – Nurkuje pod ławę, a ja zasłaniam Delilah własnym ciałem, kiedy coś chybcze na najwyższej półce. To skrzynia z kutego żelaza, owinięta łańcuchem zamkniętym na kłódkę. – Żeby tylko nie spad...

Skrzynka drży i spada na podłogę, po czym łąduje między Delilah a Bułą i otwiera się na oścież.

– ...ła – kończy Orville słabym głosem.

Przez pęknięcia w skrzyni cisną się promienie blasku. Tworzą opalizującą kulę, która z wolna zaczyna dygotać, wibruje gwałtownie, by wreszcie wystrzelić w sufit jak fajerwerki. Tynk sypie się nam na głowy, ale świetlna kula podskakuje, odbija się od ścian i podłogi. Z każdym ruchem zdaje się nabierać mocy.

– Co to ma być? – krzyczy Delilah.

– Pandemonium – odkrzykuje Orville. – Musicie je zatrzymać, nim obróci wszystko w perzynę.

Światło mija o włos policzek Serafiny, która opędza się z piskiem, ale przy okazji wymierza Orville'owi policzek. Czarodziej pada i zbija mnie z nóg, a światło kręci młynka nad półkami, gruchocze ocalałe zlewki, sieka rozwieszzone zioła. Wpada do kamiennej misy, wytryskując kaskadą fioletowych isker, i z impetem wbija się w ziemię, gdzie tworzy czarny, głęboki lej.

Przez chwilę wszyscy siedzimy zamroczeni, w oczekiwaniu na ciąg dalszy. Orville i ja podczołgujemy się do tunelu, patrzymy w dół.

Wybucho jak wulkan, mija w locie Bułę...

Buła?

Mój wierny ogar zniknął. Na podłodze, goły jak go Pan Bóg stworzył, leży człowiek.



– Buła? – pytam osłupiały. – To ty?

– Nie chciałem się na ciebie rzucić, Ollie – tłumaczy potulnie. – Wściekłem się, kiedy

Serafina przyszła do mnie z płaczem i...

Głos Buły brzmi tak samo. Nawet zaciąga z lekka po psiemu, jak to miał w zwyczaju. Ale ewidentnie zmienił się nie do poznania.

– Stary – mruczę. – Uhm... – I wskazuję na jego nagie pośladki.

Spuszcza wzrok, stęka i łapie, co ma pod ręką – obrus w gwiazdki, którym opasuje biodra. Jest mniej więcej w moim wieku, żylasty i umięśniony, ze strzechą rozczochranych włosów w odcieniu dotychczasowej sierści.

– Co się stało? – szepcze i z uśmiechem maca się po nosie i rękach.

– Buła? – powtarza Serafina. Patrzy na niego, jakby oczu nie mogła oderwać.

Tymczasem pandemonium szaleje za naszymi plecami – żłobi wielką dziurę w stole Orville'a i przypala mu czubek kapelusza.

Klątwa. Zdjęła klątwę rzuconą na Bułę, ale jak?

Odwracam się do Delilah, ale pandemonium jest już pod jej nogami. Kiedy się przewraca, widzę plamy na jej sukni.

Połączenie eliksirów i ziół, które zachomikowała w rękawach, musiało chlapnąć na Bułę, kiedy razem upadli. Zapewne nie zdołałaby odtworzyć tego zaklęcia, gdyby próbowała, ale traf chciał, że Buła na powrót stał się człowiekiem.

– Oliverze! – Pandemonium leci prosto na Delilah.

– Kryć się! – wrzeszczy Orville.

Ale nie ma czasu: Delilah gorączkowo rozgląda się za czymś, co zmniejszy impet. W ostatniej chwili łapie coś, co leży na wyciągnięcie ręki. I dopiero gdy zasłania twarz, widzę, co to takiego.

Egzemplarz *Z innej bajki*, który musiał mi wypaść z pazuchy podczas szarpaniny z Bułą.

Pandemonium z całej siły trafia w grzbiet, aż kartki furkoczą. Delilah zatrząskuje książkę, zamyka blask w pułapce.

– Mam cię, gadzie – ogłasza triumfalnie, przyciskając bajkę do piersi.

Książka zaczyna dygotać, Delilah ledwo utrzymuje ją zamkniętą. Chcę podbiec, żeby jej pomóc, ale bajka wyskakuje jak z procy i się otwiera. Pandemonium ze świstem leci do góry, wybijając w dachu dziurę, przez którą sypią się gałęzie i odłamki skał. Zasłoniwszy oczy, wyciągam rękę do Delilah, żeby ją odciągnąć. Ale trafiam w próżnię. Kiedy książka wyskakuje

z objęć Delilah, ręce dziewczyny zastygają bez ruchu i przez całą ich długość biegnie gruba rysa. Pęknięcie rozszerza się i rozwidla na wysokości barków, pnie się po szyi i rozszczepia twarz – szeroko otwarte oczy i rozchylone usta. Widzę to jak w zwolnionym tempie: książka spada na ziemię, a Delilah kruszy się na milion kawałków i obraca w pył.



DELILAH

Kiedy otwieram oczy, mój wzrok pada na książkę. Otwarta, wystaje spod łóżka.

Przewracam się na plecy i widzę fioletowy sufit z fosforyzującymi gwiazdkami.

– Mój pokój – mamroczę.

Udało się. Nasz plan się powiódł.

– Jasne, że twój – napływa do mnie głos mamy.

Próbuję usiąść, ale czyjaś dłoń mi nie pozwala.

– Powoli, Delilah – mówi głos, który skądś kojarzę.

Patrzę na lewo i widzę doktora Ducharme'a, stojącego obok mamy.

Mama przysiada na skraju łóżka.

– Masz paskudnego guza na czole – informuje. – Musiałaś spać, gdy sięgałaś po film z półki.

Ostrożnie dotykam czoła, jest obolałe.

– Ile mnie nie było?

– Nie było? – Doktor Ducharme uśmiecha się. – Hm, spałaś, ale nigdzie się stąd nie ruszyłaś. Wczoraj wieczorem mama na wszelki wypadek wezwała lekarza. I zadzwoniła do mnie, gdy zaczęłaś mówić przez sen.

Nie wytrzymuję i siadam.

– Co mówiłam?

Wymieniają spojrzenia.

– Nic ważnego – kwituje mama. – Musisz odpocząć. Czeka cię ból głowy.

Zerkam nad jej ramieniem i widzę swoje odbicie w lustrze. Na czole wyrósł mi guz wielkości gęsiego jaja.

Ale nie mogłam tak po prostu walnąć się w głowę. Byłam w książce z Oliverem. Wiem o tym.

Wracam myślami do tamtych wydarzeń. Pamiętam tylko, że byliśmy w chacie Orville'a i udało mi się złapać pandemonium. I zaczęłam się kruszyć jak marmurowy posąg. Stękam i łapię się za lewą rękę.

Jest nienaruszona.

Co się tutaj dzieje?

– Jaki dzisiaj dzień? – pytam.

– Wtorek – odpowiada mama. – Dochodzi trzecia.

– Ja, uhm, umieram z głodu...

– Zaraz ci coś przyniesiemy. – Ale najpierw mnie obejmuj. – Martwiłam się, że nie wrócisz – szepcze.

Odwzajemniam uścisk.

– Ja też – mruczę.

Wstaje, a gdy wychodzą z pokoju, doktor Ducharme kładzie jej dłoń na ramieniu.

Ten zwykły gest napędza mnie ulgą. Uwięziona w bajce martwiłam się, że mama została sama. Ale może to się zmieni.

Drzwi się zamykają, a ja nurkuję pod łóżko i łapię książkę. Siadając, znów przeglądam się w lustrze. Zza kołnierzyka bluzki wystaje coś, co wybitnie – i niepokojąco – przypomina tatuaż.

Zdrętwiała ze zgrozy odsuwam kołnierz.

Na mojej szyi widnieje ciąg liter pisanych kursywą. Podważam jeden koniec paznokciem i odrywam ze skóry jak plaster. Następnie kładę na prześcieradle.

Pertypertypertypertyperty

Podobnie jak pająk wyjęty z książki przed paru dniami, naszyjnik syren – w moim świecie – zmienił się w ciąg wyrazów. Jednak Oliver w wizji Orville'a nie był tylko literami na kartce.



Skup się, Delilah, myślę. Otwieram książkę na stronie czterdziestej trzeciej, gdzie wyżej wspomniany patrzy na mnie z ulgą.

– Ty żyjesz! – woła.

– Co się stało? – pytam. – Byłam w książce?

Oliver markotnieje.

– Nie pamiętasz?

– Pamiętam – mówię szeptem. – Ale wolę sprawdzić, czy mi się nie przyśniło.

– Książkowa rzeczywistość nie ustępuje prawdziwej. – Oliver wyęcza wzrok. – Jesteś ranna?

– To tylko siniak – zapewniam. Ale przypominam sobie pandemonium i pobojowisko.

– A ty? Cały jesteś? Co z Orville'em? Jego biedna chatka!

– Stoi jak zawsze – informuje Oliver. – W chwili gdy otworzyłaś książkę, wszystko wróciło do normy. – Odwraca wzrok.

– Buła?

Oliver kręci głową.

– Znow jest psem.

– Ale się udało, Oliverze. Wybuch spowodował, że wróciłam do domu.

– A ja wciąż tkwię tutaj – uzupełnia ze smutkiem. – Znow jesteśmy w punkcie wyjścia.

– Nie, nieprawda. Pamiętasz wizję? Swoją przyszłość? Wiem, kim jest ta kobieta. To

Jessamyn Jacobs.

– Kto?

– Autorka – oświecam Olivera. – Kobieta, która cię stworzyła.

Oczy mu błyszczą.

– Znaczy, że w wizji jestem w jej domu?

Słyszę kroki na schodach.

– Zupa! – woła śpiewnie mama.

Zatrząskuję książkę, wpycham ją pod poduszkę i naciągam kołdrę pod brodę. Skrzypią drzwi.

– Dzięki. – Dla świętego spokoju biorę łyk.

Mama siada na łóżku i patrzy, jak zajadam, jedna łyżka, potem druga. Wycieram usta serwetką.

– Chyba nie masz zamiaru czekać, aż skończę?

– Tak. To znaczy, nie. – Mama się płoszy. Dodaje po chwili wahania: – Nie chcę, żebyś zasnęła. Steve mówi, że to niewskazane po takim wstrząsie.

„Steve”?

– Mamo – wzdycham. – Kiedy ostatnio spałaś?

– Nie musisz się o mnie martwić. – Ściska moją dłoń.

– Może i nie muszę. Ale się martwię.

Uśmiecha się, ale nie wstaje.

– Mamo? – dodaję. – Jeśli obiecuję ci, że nie zjadę, dasz mi zjeść w spokoju?

Podnosi się z ociąganiem.

– Zawołaj, kiedy skończysz – prosi.

Nadciąga obiecany ból głowy. Wiem, że Oliver czeka, aż otworzę książkę i dokończymy rozmowę, ale najpierw muszę coś zrobić. Wstaję z łóżka i ostrożnie podchodzę do biurka, gdzie leży mój laptop. Otwieram wyszukiwarke i wpisuję „Jessamyn Jacobs”. Wyświetlają się strony, na których o niej mowa. Klikam pierwszą z brzegu i na monitorze pojawia się zdjęcie z wizji Olivera. Czytam tekst pod spodem:

Jessamyn Jacobs urodziła się w Nowym Jorku w 1965 roku. Po studiach na Uniwersytecie Nowojorskim została redaktorką magazynu „HorrorFest”. Jednak szybko zrozumiała, że nie chce poprawiać cudzych tekstów – wolała tworzyć własne. Pierwszy kryminał wydała w wieku zaledwie dwudziestu sześciu lat i napisała dziesięć bestsellerów z rzędu, ale po napisaniu jednej powieści dla dzieci wycofała się z życia literackiego i w 2002 roku zamilkła na dobre. Mieszka w Wellfleet w stanie Massachusetts.

Po napisaniu jednej powieści dla dzieci wycofała się z życia literackiego.

Całe moje życie i aktualna obsesja sprowadzają się do przypadkowego zdania z życiorysu pisarki kryminałów, która nie tworzy od lat.

Ale chociaż wiem, gdzie jej szukać.

Odłączam telefon od ładowarki i piszę do Jules.

Jestem wstrętna.

Liczę do sześćdziesięciu dwóch, zanim przychodzi odpowiedź.

Wiem.

Klikam jak szalona. *Ciocia Agnes to Voldemort w spódnicy. Najchętniej zamknęłabym cię w szafie na całe lato. Co ty na to? Może się uda.*

Kolejny sygnał wiadomości. *Mam szafofobię.*

Uśmiecham się pod nosem. I piszę: *Nie mam prawa cię prosić i możesz mnie posłać na drzewo, ale potrzebuję twojej pomocy. Muszę jechać do MA. Po chwili dopisuję: Wyjaśnię po drodze.*

Tym razem jeszcze dłużej czekam na odpowiedź. *Będę za 5 min. Wezmę sam taty.*

Nie masz prawa jazdy, odpisuję.

Co nie znaczy, że nie umiem prowadzić.

Najgorzej znów zostawić mamę, i to tuż po powrocie. Najpierw chcę ją prosić o zgodę, ale jak wytłumaczę spontaniczną podróż na Przylądek Dorsza, na dodatek z potłuczoną głową? Jeśli się uprę, pewnie zawlecze mnie do neurologa. Nie, najlepiej będzie jej w to nie wciągać.

Sęk w tym, że aby wyjść z domu, muszę przedefilować pod jej nosem.

Nie jestem zwinna – okej, zasługuję na miano zwykłej ofiermy – lecz cel uświęca środki.

Mama nie zgodziłaby się na czterogodzinną podróż, to jasne, a już na pewno z Jules (bez prawa jazdy) w roli mojego kierowcy. Dlatego podnoszę żaluzję i oceniam wzrokiem odległość od najbliższej gałęzi rozłożystego drzewa.

Dawniej marzyłam o chłopaku, który cisnąłby kamyczkiem w moje okno, wlaź na górę i mnie porwał.

To nie ta bajka, myślę z przekąsem. To ja mam ratować księcia.

Łapię notes i wrywam kartkę. Piszę:

Niedługo wrócę. Nic się nie martw.

Czuję się świetnie.

Serio.

Kocham cię,

Delilah xoxo

Mama i tak spanikuje, ale przynajmniej będzie z nią doktor Ducharme. Może dzięki niemu pozwoli mi wyjaśnić, dlaczego nie miałam innego wyjścia. Koniec końców, jeśli się uda, będzie ze mną Oliver – trójwymiarowy, żywy i bardzo, ale to bardzo namacalny – i potwierdzi moją nieprawdopodobną opowieść.

Przetrząsam szufladę z bielizną w poszukiwaniu szkatułki, w której chowam kieszonkowe i to, co zarabiam za pilnowanie dzieci: trzysta dwadzieścia dwa dolary. Żaden majątek, ale chowam forszę do plecaka i pakuję też książkę. Rozglądam się po pokoju, czy nic nie zapomniałam, i mój wzrok znowu pada na odbicie w lustrze. Wyglądam, jakby mi ktoś przyłożył. Jeśli pokażę się tak Jessamyn Jacobs, pewnie ucieknie z wrzaskiem. Wyciągam z szafy czapkę, która zasłania mi czoło. Trochę za ciepła jak na tę porę, ale to ostatni krzyk mody.

Otwieram okno i wystawiam nogę. Przysięgam, że drzewo się odsunęło. I to o dobry

metr.



Biorę głęboki oddech, odbijam się od parapetu i ku swojemu zaskoczeniu zawisam, ciasno obejmując pień. Zsuwam się na dół i myślę o Oliverze, który dzień w dzień wspina się na stromą skałę.

Zeskakuję z hukiem i na palcach biegnę jedną przecznicę dalej, gdzie w zaułku czeka Jules, tak jak się umówiliśmy. Dziwnie wygląda za kierownicą. Na mój widok szerzy zęby i opuszcza szybę.

– Nie wypłacisz się do śmierci – zapowiada.

W życiu bym jej o to nie podejrzewała, ale Jules jeździ jak stara babcia. Wlecze się dwadzieścia kilometrów poniżej ograniczenia prędkości i włącza kierunkowskaz na dziesięć minut przed zakrętem.

– I co – zagaja, gdy wjeżdżamy na autostradę. – Powiesz mi wreszcie, dokąd jedziemy?

– Do Wellfleet – mówię. – Na Przylądku Dorsza.

Kiwa głową i poprawia ręce na kierownicy.

– Jasne. A po co?

Oddycham głęboko.

– Pewnie mi nie uwierzysz. Ale wysłuchaj mnie do końca i nie wyciągaj pochopnych wniosków, dobrze?

Jules bez słowa podnosi palce do przysięgi.

Zaczynam, hm, od samego początku. Opowiadam jej, jak prąd mnie przeszedł, gdy dotknęłam książki, i jak mnie wciągnęła, chociaż to bajka dla dzieci. Opowiadam o Oliverze, księciu, który dorastał bez ojca, jak ja. Mówię, że któregoś dnia obrazek zmienił się na moich oczach i usłyszałam głos Olivera, płynący prosto z serca.

Opowiadam o pająku, o tym, jak książka stanęła w płomieniach, jak znalazłam się w bajce, a potem wróciłam do domu.

Wyznaję, że chyba zakochałam się w Oliverze.

Gdy kończę, Jules patrzy na drogę i milczy jak zaklęta.

– I co? – ponaglam.

Jules nie odpowiada.

– Myślisz, że jestem stuknięta.

Wzrusza ramionami.

– Nie.

– I tyle? Znaczący, że mi wierzysz?

– Hm – mówi z namysłem. – Wierzę, że ty w to wierzysz. I jestem twoją przyjaciółką. To mi wystarczy.

Przez następne parę godzin wszystko zdaje się zupełnie normalne. Znow jesteśmy przyjaciółkami i nie muszę udawać, że książka nic dla mnie nie znaczy. Jest jak dawniej. Gramy w „Co widzę?” i zjadamy całą paczkę chipsów, które wzięła z domu. Wreszcie nawigacja informuje, że dotarliśmy na miejsce. Jules parkuje na poboczu głównej ulicy w Wellfleet, zahaczając kołem o krawężnik.



– Właśnie oblałaś egzamin na prawko – mówię żartem.

– Ale pomyśl, ile zaliczyłam godzin jazdy – odparowuje. Patrzy we wsteczne lusterko.

– Teraz dokąd jedziemy?

Hm, tego jeszcze nie wiem. Nie znam dokładnego adresu Jessamyn Jacobs, tylko nazwę jej miasteczka. Lecz jedno wiem na pewno – pójdę do niej sama. Jules dosyć dla mnie zrobiła, nie będę wciągać jej w ten bałagan.

– Nie „my” – precyzuję. – Ja.

– Nie zostawię cię tutaj samej.

Kręcę głową.

– Starczy, że gwizdnęłaś rodzicom samochód, Jules.

Wybucha śmiechem.

– To mój niecny plan. Wolę zgnić w poprawczaku, niż jechać do ciotki Agnes.

Biorę plecak, a ona odpina pas i wysiada.

– Dasz radę wrócić sama? – pytam. – Niedługo się ściemni.

– Pestka.

Obejmuję ją mocno.

– Dziękuję – mówię szeptem. Patrzę, jak wsiada do samochodu i włącza kierunkowskaz, żeby zjechać z pobocza.

Ale najpierw opuszcza szybę.

– Mam nadzieję, że go znajdziesz – rzuca z uśmiechem. – Swojego księcia.

W centrum miasteczka jest mała kawiarenka. Kiedy wchodzę do środka, brzęczy dzwonek i czuję na sobie wzrok kelnerki.

– Mogę skorzystać z łazienki? – pytam.

– Jasne. – Wskazuje drogę, a ja zamykam się w ciasnym pomieszczeniu i wyjmuję z plecaka książkę. Pewnie mogłam porozmawiać z Oliverem w samochodzie, ale miło było spędzić trochę czasu z Jules. Brakowało mi tego.

Gdy otwieram na stronie czterdziestej trzeciej, Oliver zaczyna się wydierać.

– Gdzie ty się podziewałaś? Kto to widział, uciekać w połowie tak ważnej rozmowy. Ta Jessamyn Jacobs...

– Mieszka tutaj – wpadam mu w słowo.

Widzę, że patrzy mi przez ramię i próbuje ogarnąć wzrokiem pomieszczenie.

– Gdzie ty jesteś?

– W łazience. No, tutaj nie mieszka. Ale przyjechałam do jej miasteczka i zamierzam się dowiedzieć, jak ją znaleźć. Jeśli ktokolwiek może ci pomóc wydostać się z bajki, to na pewno ona.

Obrzuca mnie chmurnym spojrzeniem.

– Chyba nie pójdziesz i nie powiesz: „Wpadł mi w oko jeden z pani bohaterów”.

Uśmiecham się z rozbawieniem.

– Czemu? Strzała to seksowna bestia.

Oliver wybuchają śmiechem.

– Nie omieszkam mu tego przekazać.

– Nie wiem, kiedy wrócę – zapowiadam. – Jeszcze nie obmyślałam planu.

– Czy to ma mnie pocieszyć?

– Nie, wzbudzić zaufanie.

Chcę zamknąć książkę, ale powstrzymuje mnie nuta w jego głosie.

– Delilah? Nie miałem okazji ci podziękować. Za wszystko, co dla mnie robisz.

Z jego twarzy bije nadzieja, wypisana czarno na białym jak zdania na stronie.

– Jeszcze mi nie dziękuj – kwituję.

Chowam książkę do plecaka, po czym spuszczam wodę i myję ręce, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Kiedy wychodzę z łazienki, kelnerka wciąż wyciera kontuar.

– Stolik dla jednej osoby? – pyta.

– Właściwie to chciałam tylko spytać o drogę – odpowiadam. – To strasznie krępujące, ale przyjechałam do cici na urodziny... autobusem... i nie pamiętam adresu. – Błyskam czarującym uśmiechem Bogu ducha winnej piętnastolatki. – Jessamyn Jacobs? Zna ją pani?

Kelnerka mierzy mnie niepewnym spojrzeniem.

– Ona nie przepada za gośćmi.

– Gośćmi – pryham. – Jestem rodziną.

Dziewczyna marszczy brwi.

– Ostatni dom na Wilson Street. Fioletowy, z widokiem na klif.

– Właśnie! – Klepię się w czoło. – Idiotka. Wilson Street.

Kelnerka wraca do pracy.

– Czy mogę zadać jeszcze jedno pytanie? – Czekam, aż podniesie wzrok. – A jak tam dojść?

Dom Jessamyn Jacobs przycupnął na skraju skały z widokiem na ocean niczym pływak w obawie przed skokiem. Ma śliwkowy kolor i szczelnie zaciągnięte zasłony. Chwilę stoję na ganku, rozważając ewentualne strategie.

„Dzień dobry, sprzedaję ciasteczka...”.

Nie, zbyt nachalne.

„Witam, prowadzę sondaż...”.

Odpada. Jestem za młoda na pracę w Komitecie Wyborczym.

„Zgubiłam kotka. Nie widziała go pani?”.

Nie. I co, schował się pod jej tapczanem?

Hm. Może lepiej zdać się na przyływ natchnienia w sytuacji stresowej. I niewiele myśląc, naciskam dzwonek.

Ale nikt nie otwiera.

Dzwonię drugi raz, jakby to mogło coś zmienić. Nikogo nie ma w domu. Nawet nie powstało mi w głowie, że odnajdę dom Jessamyn Jacobs i pocałuję klamkę.

Nagle drzwi garażu obok mnie otwierają się czarodziejskim sposobem, aż podskakuję ze strachu. Po chwili nadjeżdża samochód i zatrzymuje się na podjeździe. Czerwony minivan; mieliśmy taki, kiedy byłam młodsza. Wysiada kobieta z zakupami.

– Witaj – mówi. – W czym mogę pomóc?

Wiem, że mam przed sobą Jessamyn Jacobs, bo rozpoznaję rude włosy i twarz ze zdjęcia na okładce. Lecz na żywo nie wygląda tak szykownie. I ubrana jest, jak by to powiedzieć, jak mama.

– Ja, uhm, nazywam się Delilah McPhee. Jestem uczennicą – jąkam. – Robię projekt autorski i jeśli to możliwe, chciałabym przeprowadzić z panią wywiad.

Uśmiecha się blado.

– Od dawna nie jestem pisarką. Lepiej zwróć się do kogoś innego.

– Nie! – wołam. – To musi być pani!

Patrzy na mnie, lekko zaniepokojona moim wybuchem.

– Obawiam się, że nie mogę ci pomóc, Delilah. Ten rozdział mojego życia dobiegł końca.
– Ominąwszy mnie szerokim łukiem, otwiera drzwi wejściowe i wchodzi do środka.

Nie mogę do tego dopuścić. Nie po to zabrnęłam aż tutaj.

– Bardzo panią proszę – rzucam błagalnym tonem. – Ta książka wiele dla mnie znaczy.

– Sięgam do plecaka i wyjmuję bajkę. Ku mojemu zdumieniu, Jessamyn Jacobs staje jak wryta.

Wyciąga rękę i pieszczotliwie głaszcze okładkę.

– Dla mnie też wiele znaczyła – mówi cicho. Potem uśmiecha się do mnie. – Może wejdiesz?

– Większość ludzi, którzy jeszcze do mnie piszą, jest dużo starsza od ciebie i kolekcjonuje piły łańcuchowe oraz narzędzia tortur – informuje Jessamyn, stawiając na stole talerz ciasteczek. – Ludzie pamiętają mnie głównie za sprawą moich kryminałów, jeśli w ogóle. Niewielu moich czytelników nawet wie, że napisałam bajkę.



Wpatruje się w książkę leżącą na stole między nami.

– To moja ulubiona – mówię. – Znam ją na pamięć.

Jessamyn się uśmiecha.

– Unikalny egzemplarz – dodaje. – Niechcący trafił do kartonu z zabawkami i ubraniami przeznaczonymi na wyprzedaż charytatywną. Zawsze byłam ciekawa, co się z nim stało.

Za jej plecami widzę biblioteczkę i kominek, które Oliver zobaczył w wizji u Orville'a. Dziwnie znów je zobaczyć – zobaczyć naprawdę – ze świadomością, że jego tutaj nie ma.

Przenoszę wzrok na duże okno wychodzące na ocean. Dałabym sobie rękę uciąć, że widziałam już gdzieś ten widok, ale to bez sensu, przecież jestem tutaj po raz pierwszy. Nagle doznaję olśnienia – strona pięćdziesiąta dziewiąta. Oliver walczy z Rapskulliem, który wypada przez okno wieży. Widzimy to na ilustracji, gdy złoczyńca spada na skały.

Jessamyn podąża za moim spojrzeniem.

– Strona pięćdziesiąta dziewiąta – potwierdza. – Przy tworzeniu obrazków korzystałam ze znajomych miejsc. Zamkowa jadalnia to wierna kopia posiadłości, w której wzięłam ślub. Plaża Szczęśliwych Zakończeń wygląda jak wyspa, gdzie spędziłam miesiąc miodowy.

– Spuszcza wzrok. – Napisałam tę opowieść, gdy mój mąż umarł na raka. Walczył przez rok, ale przegrał. Bajka była dla mnie swoistą terapią. I miała pomóc mojemu synowi przez to przebrnąć.

Nagle czuję się nieswojo. Cokolwiek książka dla mnie znaczy, dla Jessamyn znaczy o wiele więcej.

– Tak mi przykro.

– Niepotrzebnie. To było dawno temu. I dlatego jej zniknięcie poniekąd sprawiło mi ulgę. Jakby skończył się pewien bardzo smutny rozdział mojego życia. – Sięga po książkę. – Dawno tego nie czytałam – dodaje i otwiera na stronie czterdziestej trzeciej.

Oliver podnosi głowę w nadziei, że to ja. Ale zauważa Jessamyn i wytrzeszcza oczy – rozpoznaje kobietę z wizji.

Jessamyn dotyka czubka jego głowy. Aż mnie ściska na wspomnienie jego włosów – jakie są gęste i miękkie w dotyku.

– Niesamowite. – Wzdycha. – Wygląda dokładnie tak, jak go sobie wyobraziłam.

Nie rozumiem, o co jej chodzi: przecież to ona go narysowała. Jasne, że wygląda tak, jak go sobie wyobraziła.

Jessamyn patrzy na mnie.

– Nie przyjechałaś na wywiad, prawda. – To nie brzmi jak pytanie, tylko stwierdzenie.

– Nie – przyznaję. Nabieram powietrza w płuca. – Przyjechałam zapytać, czy kiedykolwiek brała pani pod uwagę zmianę zakończenia.

Uśmiecha się lekko.

– Jesteś pisarką, Delilah?

– Bardziej czytelniczką.

– Ach tak. I dlatego nie rozumiesz.

– Czego nie rozumiem?

– Że przestałam mieć wpływ na fabułę. Może kiedyś do mnie należała, ale teraz należy do ciebie. I każdego, kto ją przeczytał. Akt czytania to partnerstwo. Pisarz stawia dom, ale to czytelnik się do niego wprowadza.

– Przecież to pani dzieło i tylko pani może je zmienić.

– Ale w jakim celu?

– Ponieważ to nie jest szczęśliwe zakończenie. I proszę mnie nie pytać dlaczego.

– A jednak spytam.

– Wiem od jednego z bohaterów. – Przysmykam oczy w przekonaniu, że Jessamyn Jacobs oficjalnie weźmie mnie za wariatkę. Ale ku mojemu zdziwieniu, kiedy znów otwieram oczy, ona kiwa głową.

– Ja kiedyś też rozmawiałam z bohaterami – przyznaje. – Chyba każdy pisarz powie ci to samo. Ale nawet gdybym zmieniła zakończenie, bajka trwa w pamięci wszystkich tych, którzy ją przeczytali. Nie sposób wymazać raz opowiedzianej historii.

Czuję, jakbym trafiła w ślepy zaułek. I nie mogę do tego dopuścić.

– Ale musi pani spróbować! – wołam.

Patrzy na mnie z wahaniem.

– Jak ty zakończyłabyś książkę?

– Oliver ucieka z bajki – mamroczę zakłopotana.

Unosi brwi.

– No tak. Chyba zaczynam rozumieć. Rzeczywiście jest przystojny. Też miewałam słabość do niektórych postaci. Pewien detektyw z mojej serii kryminalnej miał zniewalający uśmiech...

Jestem bliska płaczu.

– To nie jest żadna słabość. On jest dla mnie żywy.

– I zawsze będzie – zapewnia życzliwie Jessamyn. – Ilekróć otworzysz książkę. Na tym polega piękno lektury, prawda?

Jakbym rzucała grochem o ścianę. Na bank bierze mnie za wariatkę, rozhisteryzowaną panienkę, która zjawia się bez uprzedzenia i plecie banialuki o księciu z bajki, jakby miał usiąść z nami przy stole i wypić herbatkę.

Tylko jak ja to powiem Oliverowi?

Nagle miarka się przebiera. Liczyłam, że ona jedna zrozumie moje uczucia wobec książki, a tymczasem wmawia mi – jak pozostali – że bredzę. I że uczucie łączące mnie z Oliverem jest niemożliwością.

Zaczynam płakać. Zakłopotana podrywam się z krzesła z zamiarem natychmiastowej ucieczki. Jak kretynka uwierzyłam, że w życiu może być szczęśliwe zakończenie.

– Delilah! Dobrze się czujesz? – Zatrokana (bo kto nie byłby zatroskany, znalazłszy się oko w oko z wariatką na podwieczorku?), Jessamyn kładzie mi dłoń na ramieniu. – Mam do kogoś zadzwonić w twoim imieniu? Może do mamy?

Na myśl o tym, co musi przeżywać ta ostatnia, ryczę w dwójnasób. Po drodze sprawdzałam wiadomości głosowe: dałam sobie spokój po dwudziestej trzeciej z kolei.

Jessamyn prowadzi mnie na kanapę.

– Przyniosę ci szklankę wody. A potem pomyślimy, co dalej.

Wychodzi z pokoju, a ja łapię oddech. Chcę się uspokoić na tyle, by przynajmniej powiedzieć Oliverowi, że to koniec.

Słyszę kroki i podnoszę głowę, ale to nie Jessamyn. W drzwiach prowadzących do przedpokoju stoi Oliver.

W pierwszej chwili myślę, że mam zwidy. Ale wtedy on na mnie patrzy. Wszędzie rozpoznałabym te oczy.

– Cześć – mówi.

Zrywam się i zarzucam mu ręce na szyję.

– Oliverze! Jak się tutaj znalazłeś?

Odsuwa się jak oparzony, jakby mnie widział po raz pierwszy.

– Zszedłem na dół – burczy. – I mam na imię Edgar.

Jessamyn wraca z wodą. Przenosi wzrok z Olivera na mnie.

– Delilah. Widzę, że poznałaś mojego syna.

I nie pamiętam już nic więcej.

Żadna ze mnie mimoza. Widok krwi nie robi na mnie wrażenia, a horrory oglądam bez mrugnięcia okiem. Ale wczoraj podobno walnęłam się w głowę, a potem przejechałam trzysta siedemdziesiąt kilometrów o pustym żołądku, jeśli nie liczyć chipsów. Dlatego jestem strasznie skrępowana, kiedy budzę się na cudzej kanapie z zimnym okładem na czole i widzę chłopca, który wygląda jak Oliver, ale nim nie jest, wpatrującego się we mnie z wyraźnym obrzydzeniem.

– Ślinisz się.

Zmartwiła czym prędzej wycieram usta ręką.

– Obudziła się – komunikuje nie-Oliver. – Mogę już iść?

Zwraca się do Jessamyn, która nadchodzi z kuchni z talerzem zupy. Czemu wszyscy karmią mnie zupą?

– Dziękuję, że z nią posiedziałeś, Edgarze.

– Uhm. – Edgar przewraca oczami i już go nie ma.

– No dobrze. – Jessamyn siada na skraju kanapy. – Pora wyłożyć karty na stół. Masz kłopoty, Delilah? Uciekłaś z domu?

– Nie! – zapewniam. – To znaczy, uciekłam, ale tylko czasowo. Żeby panią znaleźć.

– Biorę od niej talerz. Brokułowa z serem. Pachnie przepysznie.



– Domyślałam się, że twoja mama nie wie, gdzie jesteś?

Komórka wibruje w kieszeni. Kolejna wiadomość.

– No – odpowiadam. – Tak jakby.

Jessamyn podaje mi telefon.

– Zadzwoń do niej.

Z ociąganiem wstukuję numer. Mama odbiera natychmiast.

– Cześć, mam! – mówię rześkim tonem.

Muszę odsunąć słuchawkę, bo z głośnika bucha wrzask. Czekam, aż zrobi przerwę na oddech, i próbuję jeszcze raz.

– Nie gniewaj się...

– Delilah Eve, czy ty masz pojęcie, jak się zamartwiałam? Gdzie jesteś? I co ty sobie

wyobrażasz?

– Miałam coś pilnego do załatwienia i wiedziałam, że nie pozwolisz mi wyjść.

– Gadaj, gdzie jesteś. Jadę po ciebie. Masz szlaban do końca życia.

– Jestem tak jakby w Massachusetts. Na Przylądku Dorsza.

Kolejna fala jazgotu. Odruchowo odsuwam słuchawkę od ucha.

– Pozwól, że się wtrączę. – Jessamyn wyciąga rękę po telefon. – Halo? Czy to mama Delilah? Nazywam się Jessamyn Jacobs. – Milknie. – Tak. To znaczy, właściwie byłam. O, to bardzo miłe. Cieszę się, że lubiła pani moje książki. – Kolejna pauza. – Proszę mi wierzyć, ja też się zdziwiłam... Ależ skąd, nie. Stanowczo za późno na taką podróż. Może niech Delilah przenocuje u mnie, a pani przyjedzie z samego rana. Dostanie nasz pokój gościnny.

Następuje słowotok mamy i Jessamyn podaje jej adres. Przekazuje mnie słuchawkę.

– Chce jeszcze zamienić z tobą dwa słowa.

– Żeby było jasne: masz szlaban do menopauzy – powtarza mama. – Ale chociaż wiem, że nie włączysz się po nocach ulicami. Zakłóciłaś tej pani spokój, więc masz się sprawować wzorowo. Zrozumiano?

– Tak, mamó – mruczę. – Jutro się widzimy.

– Delilah?

– No?

– Kocham cię, wiesz?

Wbijam wzrok w kolana. Narobiłam bigosu, a to wszystko w nadziei, że niemożliwe stanie się możliwe, a fikcyjna postać wyjdzie z książki. Nagle ogarnia mnie wstyd, że byłam taką egoistką.

– Ja ciebie też – szepczę.

Rozłączam się i podaję telefon Jessamyn.

– Dziękuję, że pozwoliła mi pani zostać.

– Nie ma sprawy. Miło gościć kogoś w wieku Edgara. On nie ma za wielu przyjaciół. Siadam.

– Mogę o coś spytać? Jakim cudem Oliver wygląda zupełnie jak pani syn?

– Bo jest moim synem. – Jessamyn patrzy na mnie. – Po śmierci ojca bał się wszystkiego.

Chciałam mu stworzyć wzór do naśladowania, chłopca, który nie jest może najsilniejszy i najodważniejszy, ale zawsze zwycięża za sprawą swojego rozumu. Edgar był wtedy młodszy,

musiałam sobie wyobrazić, jak będzie wyglądał, gdy podrośnie. I tak oto powstał Oliver.

– Są tacy sami.

– Niezupełnie. Edgar nigdy nie stał się Oliverem, jakiego miałam nadzieję w nim zobaczyć. – Uśmiecha się z lekkim smutkiem. – Nie umiałam mu pomóc po stracie taty. Nie wiedziałam, co mam robić, ale umiałam pisać książki. Uznałam więc, że spróbuję mu pomóc za pośrednictwem tego, co potrafię najlepiej. A gdy się nie udało, rzuciłam pisanie. I skupiłam się na tym, jak być lepszą matką. – Potrząsa głową, po czym klepie mnie po ramieniu. – Chodź, pokażę ci pokój.

Pokój gościnny pomalowano na kolor zachodu słońca. Stoi tam małe, drewniane biurko i podwójne łóżko. Jessamyn zostawia mi stosik czystych ręczników i obiecuje, że zajrzy, gdy trochę odpocznę.

Dziwnie podróżować tak bez bagażu. Przysiadam na łóżku i rozglądam się po pokoju. Na ścianach wiszą zdjęcia dziecka w różnym wieku. Wiem, że to Edgar, lecz coś mnie do nich ciągnie i dotykam ramek, zastanawiając się, czy Oliver wyglądałby tak samo w wieku dwóch i czterech lat, gdy po raz pierwszy jeździł konno i uczył się pływać w oceanie.

Nagle strasznie mi go brakuje. Rozpinam plecak i wyciągam książkę. Otwiera się na czterdziestej trzeciej stronie.

– To ona, naprawdę ona! Jesteś niesamowita, Delilah! Udało ci się! – Jest tak szczęśliwy, że aż serce pęka od tego widoku.

– Oliverze – mówię szeptem. – Ona nie chce zmienić zakończenia.

Mina mu rzednie.

– Może spróbuję ją przekonać.

– Nie zrobi tego, nawet gdyby cię usłyszała. Napisała tę książkę dla syna. Nie wprowadzi żadnych zmian. To dla niej zbyt osobista sprawa.

– Ma syna? – dziwi się Oliver. – Poznałaś go? Może on ją przekona.

– Tak, poznałam.

– I co, jaki jest?

– Mógłby być twoim bliźniakiem.

Oliver na chwilę traci mowę.

– Przebywałeś pod jednym dachem z chłopakiem, który wygląda jak ja, tylko jest prawdziwy?

Myślę o tym, co Jessamyn powiedziała o Edgarze.

– Nie jest tobą – ucinam.

Odpowiedź Olivera ginie w zgiełku dochodzącym z sąsiedniego pokoju. Słyszę przeraźliwe wrzaski, gwizdy i wycie syren.

– No? – ponagla Oliver. – I co myślisz?

– Nie słyszałam, co powiedziałeś... – Przez zgiełek przebija czyjś głos: *Dopadnę cię, ty krwiożerczy zasrańcu!*

– Co jest...? – Ostrożnie odkładam książkę, żeby jej nie zatrzaskać. – Czekać chwilę – przykazuję Oliverowi. Wstaję, wychodzę na korytarz i pukam do drzwi sąsiedniego pokoju.

Nikt nie odpowiada. Nie dziwię się, w takim łomocie nic nie słysząc. Naciskam klamkę i zaglądam do środka.

Edgar siedzi na dziwnym fotelu tuż nad podłogą z konsolą w rękach. Na monitorze komputera wybucha asteroida.

– A masz, Zorg! – wrzeszczy Edgar, wymachując pięścią. Na ekranie pojawia się podsumowanie:

STATYSTYKI

EDGAR349,880

EDGAR..... 310,900

EDGAR..... ..298,700

EDGAR..... 233,100

Ciekawa jestem, czy Edgar kiedykolwiek grał z drugą osobą.

Jessamyn wspomniała, że jest samotnikiem.

– Cześć – mówię. – Mogę z tobą posiedzieć?

Obraca się w fotelu.

– Kto ci powiedział, że tutaj jestem?

– Wszystko słysząc przez ścianę...

Mruży oczy.

– A grałaś kiedyś w Battle Zorg 2000?

– Nie bardzo.

Szuka na biurku drugiej konsoli.



– Więc muszę cię nauczyć.

Wrzuca menu, aby zmienić ustawienia na dwóch graczy zamiast jednego.

– Zwykle gram sam – rzuca lekko. – Zaznaczam, że jestem mistrzem.

Słucham opowieści o Galaktoidach z planety Zugon, które chcą przejąć Ziemię.

– Naszym zadaniem – tłumaczy Edgar – jest je zabić, nim podłożą bombę ozonową w San Andreas Fault albo stworzą pole siłowe, które spali wszystkich na popiół, kiedy znajdą się w jego zasięgu.

Bezwiednie myślę o pandemonium.

– Jeśli uda ci się minąć szeregowy Galaktoidy – ciągnie Edgar – przejdziesz do Astrokomory, gdzie musisz wypełnić czternaście zadań, aby stanąć przed Zorgiem.

– Kim jest Zorg?

Edgar prycha.

– Tylko największym, najstraszniejszym roboto-androide w galaktyce Afelionu!

Z wahaniem biorę konsolę i naciskam guzik.

– Jeszcze nie! – krzyczy Edgar. – Musimy ci wybrać awatar!

Parę kliknięć i staję się Aurorą Axis, geofizykiem z Waszyngtonu. Podążam za awatarem Edgara przez kolejne poziomy gry i prawie natychmiast padam ofiarą nisko latającej asteroidy.

– Cholibka! – wrzeszczę, wściekła na siebie. – Ślepa jestem, czy co?

Edgar uśmiecha się z wyższością.

– Praktyka czyni mistrza.

Przez trzy kwadranse walczymy z kosmitami orężem najróżniejszego rodzaju. Ginę niewyobrażalnie dużo razy. Wreszcie, kiedy już tracę nadzieję, wspólnymi siłami pokonujemy Amazonkę strzelającą promieniowaniem elektromagnetycznym i topimy ją

w mikrometeorowym stawie. I dostajemy się do Astrokomory.

– Tak! – krzyczymy i nagle otwierają się drzwi do pokoju Edgara.

– Edgarze! – woła Jessamyn. – Nie widziałeś przypadkiem... Ach! – Patrzy na mnie, potem na Edgara, a potem znów na mnie. – Tutaj jesteście.

Edgar obraca się razem z fotelem.

– Chciała nauczyć się grać.

Uśmiecham się z satysfakcją.

– Jak się okazuje, mam wrodzoną smykałkę do wiązek neutrinowych.

Jessamyn sprawia wrażenie zdziwionej – moim komentarzem, a może tym, że jej syn ma koleżankę.

– Super! – mówi. – Potrzeba wam czegoś? Mleko? Herbatniki?

– Święty spokój? – podsuwa Edgar.

Jessamyn wycofuje się z pokoju, a on ponownie ujmuje konsolę.

– Ale zonk – mówi. – Czekaj, właśnie mieliśmy...

– Dokopać Zorgowi? – uzupełniam.

Edgar celuje konsolą w monitor, który nagle robi się jaskrawozielony.

– Kurka wodna – mamrocze Edgar. – Tylko nie to.

– Co się stało?

– Głupi rupieć. Bez przerwy się zawiesza. Oby gra się zachowała... – Naciska guziki, po czym resetuje komputer. – Mama nie pozwala mi ładować gier na nowym komputerze, bo zajmują za dużo pamięci, więc muszę grać na tej prehistorii.

– Nie wygląda na taki stary...

– Ponieważ był cudem techniki, gdy pisała na nim książki. Ale wierz mi, musiałem go naszpikować kartami graficznymi i głośnikami, żeby współgrał z Zorgiem 2000.

Siadam, jakby mnie kto ukłuł.

– To był komputer twojej mamy?

– No. A co?

– Nie wiesz może, czy są na nim jej stare foldery?

– Jasne, że są. Nie pozwala mi ich wykasować. Ilekroć zaczynam grać, widzę tę głupią bajkę, na samym końcu spisu.

Nachylam się w jego stronę.

– Nie lubisz tej historii?

– Nie znoszę. – Jak byś się czuła, gdyby twoja matka ogłosiła całemu światu, że ma cię za frajera?

– Ależ ona...

– Stworzyła tego durnego księcia w nadziei, że stanę się do niego podobny. Ale ja nie będę polował na smoki i przekonywał je do dbania o zęby. Bajki to nie moja specjalność.

– Przyjechałam tutaj właśnie z powodu tej książki – przyznaję. Biorę głęboki wdech i wyrzucam z siebie: – Czy mogę ci zadać dziwne pytanie?

– Wal śmiało.

– Czy grając w Battle Zorg 2000, czujesz, jakbyś tam był?



Edgar kiwa głową.

– No jasne. W przeciwnym razie nie zdobywałbym tylu punktów.

– Nie, nie... Pytam o to, czy kiedykolwiek chciałeś znaleźć się w środku gry.

W pierwszej chwili boję się na niego spojrzeć, ale niepotrzebnie, bo wpatruje się we mnie z uwagą.

– Czasami – przyznaje ściszym głosem. – Czuję, jakbym słyszał dowódców, którzy mówią mi, co mam robić.

Kładę mu rękę na ramieniu.

– Coś ci pokażę.

Biegnę do sąsiedniego pokoju i wskakuję na łóżko. Książka leży otwarta, a Oliver chrapie w najlepsze.

– Oliverze – mówię szeptem, po czym nachylam się i krzyczę: – Wstawaj!

Zrywa się na równe nogi i wali głową w gałąź.

– Czy przez „zaraz wracam” masz na myśli przyszłe tysiąclecie?

– Coś mnie zatrzymało. Słuchaj, musisz kogoś poznać. – Łapię książkę i niosę ją do pokoju Edgara.

– Co? Myślisz, że to dobry pomysł? Nikt mnie nie usłyszy i wyjdiesz na jeszcze większą wariatkę.

– Dzięki – mówię ironicznie. Wchodzę do pokoju Edgara. – Mam dobre przeczucia.

– W związku z czym?

Kładę książkę na biurku.

– Nie mówiłam do ciebie – tłumaczę. – Tylko do niego. – Wskazuję na Olivera, który się uśmiecha.

Edgar zerka na książkę i podnosi wzrok na mnie.

– Mówisz poważnie? Czy naprawdę myślisz, że książka mojej mamy z tobą rozmawia?

– Wolnego – perswaduję. – Ludzie go nie słyszą, bo nie słuchają uważnie. Ale po tym, co mi powiedziałaś o grze, myślę, że z tobą może być inaczej. No? Chociaż spróbuj.

– Wcale nie jest przystojny. – Oliver nadyma się.

– Oliverze, wyglądacie zupełnie tak samo – mityguję.

Edgar staje z założonymi rękami.

– Te, lalusz, mama stworzyła ciebie na moje podobieństwo...

Ze świstem wciągam oddech.

– Usłyszałeś go? Usłyszałeś, jak mówi?

Edgar wytrzeszcza oczy i odsuwa się gwałtownie od książki. Klepie się w bok głowy, jakby chciał wytrząsnąć wodę z ucha.

– Nie, nie, nie, nie, nie – cedzi pod nosem. – To niemożliwe.

– A jednak. – Łapię go za ramię. – Wiem, że nie możesz uwierzyć, ale postaraj się. To prawda. On jest prawdziwy. A ja obiecałam mu wydostać się z książki.

No niesamowite. Jeśli nie jestem jedyną osobą, która słyszy Olivera, ktoś może pomóc mi go uwolnić. Ale czuję lekki ucisk w piersi, jakby nasza więź traciła przez to swój szczególny wymiar.

– Co to takiego? – Oliverowi rozbłyskują oczy. Podążając za jego wzrokiem, widzę, że komputer się zrestartował i wielka armia kosmitów znów oblega Ziemię.

– Battle Zorg 2000 – odpowiadam. – Gra komputerowa.

– Jak te ludziki tam wlażyły?

Nie pora na wykład o elektronice.

– Potem ci wyjaśnię. Grunt, że to urządzenie posłużyło Jessamyn Jacobs do napisania *Z innej bajki*. Tekst nadal znajduje się w środku.

– I co z tego? – mówią jednocześnie Edgar i Oliver, po czym wymieniają spojrzenia.

– Oliverze, ty nie mogłeś zmienić zakończenia. A Jessamyn Jacobs nie chce. – Czekam, aż na mnie popatrzy. – Ale ja zamierzam spróbować.





STRONA 52

W lochu Samotnej Wieży, wśród pisku szczurów depczących mu cholewki i skrzeku nietoperzy w mroku, Oliver doszedł do wniosku, że czeka go haniebny koniec życiorysu.

Próba uwolnienia niedoszłej oblubienicy zakończyła się fiaskiem.

Było mu żal Serafiny, ale bardziej ubolewał nad sobą.

Nigdy już nie pocałuje na Strzale po łące.

Nie rzuci Bule patyka.

Nie będzie rządził królestwem.

Nie poczuje na twarzy deszczyku.

I nie pocałuje swojej prawdziwej miłości.

Pomyśl o plusach, Oliverze, upomniał się w duchu. Nie musi martwić się, że wyłysieje. Spożywać wątróbki z cebulą. I nie zachoruje na ospę.

I przestanie go tak cholernie swędzieć w dole pleców, tam, gdzie nie może sięgnąć, bo ma związane ręce.

Rozzłoszczony spróbował je przesunąć, ale tylko sobie naderwał rękaw.

Coś stuknęło o kamienną podłogę.

Wyteżył wzrok w przyćmionym świetle. Był to ząb rekina, który dostał od syren.

Zachował go w kieszeni, na szczęście. Psu na budę taki ząb, chyba że się jest rekinem, który chciałby sobie wstawić implant.

Albo skępowanym w lochu więźniem.

Ukląkł, wymacał ząb i położył się na nim. Potem uważnymi ruchami począł rozcinać krępujące go więzy. Zdawało się, że trwa to wieczność, a Serafina nie miała czasu do stracenia. Lada chwila Rapskullio pojmie ją za żonę.

Poczuł, że coś wchodzi mu na but i pnie się po nodze. Był to szczur, który – zwabiony ruchem – postanowił wkroczyć do akcji. Oliver zastygł bez ruchu, a zwierzę przegryzło sznury na tyle, aby mógł sam je rozerwać.

W lochu nie było oddzielnych cel, więc musiał tylko wyleźć z cuchnącej dziury, do której go wrzucono. Bezszelestnie wspiął się po krętych schodach, nasłuchując głosu wroga. Ale gdy

wszedł na samą górę i wsunął głowę do pokoju, ten okazał się pusty.

A przynajmniej tak się Oliverowi zdawało, dopóki ktoś nie wskoczył mu na plecy i zaczął okładać po uszach.

Zrzucił napastnika i ujrzał Serafinę, która legła na podłodze w obłoku tiulu i tafty.

– Ty nie jesteś Rapskullio! – zawołała.

– Rozczarowana?

Z uśmiechem pokręciła głową. Była piękna, gdy się uśmiechała. Ale gdy się nie uśmiechała, również.

– Wiedziałam, że po mnie przyjdiesz!

Oliver spojrzała na nią w przekonaniu, że mógłby ubić i stu chłopca, gdyby zaszła taka potrzeba. Czy na tym polega odwaga? Żeby ktoś w nas uwierzył?

– Mam plan – szepnął i pomógł jej wstać. – Ale do tego potrzebna mi twoja suknia.

OLIVER

Nie jestem pewny, czy się zgadzam z Delilah.

Przede wszystkim, nawet jeśli zmieni opowieść, istnieje duże prawdopodobieństwo, że bajka wróci do dawnej postaci, jak zawsze.

Po drugie, czuję się trochę nieswojo, gdy siedzi przy komputerze i przegląda jego zawartość. Jakby szperała komuś w głowie. To prawie jak kradzież.

– Chyba zły pomysł – mówię głośno.

Delilah wzdycha.

– Więc może mi powiesz, co mamy robić? Wszystkiego już próbowaliśmy.

– Przecież sama powiedziałaś, że według autorki nie można zmienić bajki, gdy została opowiedziana...

– I właśnie dlatego to ma sens – zapewnia Delilah. – Będziemy jedynymi posiadaczami zredagowanej wersji.

Czuję na sobie baczne spojrzenie tego całego Edgara. Co jakiś czas dźga mnie palcem po głowie i wygina mój świat, jakby nie mógł uwierzyć w to, co ma przed nosem. Widziałaś?, krzyczy. Ruszył się, prawda?

Delilah obraca się na krześle i nagle znika mi z pola widzenia.

– Nie widzę cię! – drę się z niepokojem, na co rozeźlona pojawia się znowu.

– Edgarze, czy mógłbyś podeprzeć książkę? – prosi.

Trzymam się skały, podczas gdy Edgar przewraca mnie na bok, wbija mi w plecy pochyłą literę „k”, a następnie przywraca do pionu.

– Możemy szybciej? – pyta. – Chciałbym wrócić do gry.

Wiem, że Delilah też ma komputer – słyszałem już to słowo, podobnie jak klikanie, gdy wykonywała jakąś czynność z nim związaną, ale nigdy nie widziałem go na własne oczy.

Przypomina duże okno z przepływającymi obrazkami, podłączone rodzajem pępowiny do czegoś, co wygląda jak otwarta książka, z literami ustawionymi w różnych rzędkach w języku, którego nie rozumiem.

Dłonie Delilah śmigają nad tą dziwną książką i litery pojawiają się w oknie jak za sprawą

czarów.

– Niesamowite! – wołam. – Muszę opowiedzieć Orville’owi!

Delilah jakby mnie nie słyszała.

– Folder nie chce się otworzyć. Trzeba wpisać hasło. Na pięć liter.

– E-D-G-A-R – podsuwam.

Wpisuje imię i pstryka kolejny przycisk. Słysząc pisk, ale w oknie nic się nie zmienia.

– Masz inny pomysł? – pyta Edgara. – Psa przypadkiem nie mieliście?

– Jestem uczulony na wszystko oprócz kotów egipskich...

– Imię twojego taty? – proponuje Delilah.

Edgar spuszcza wzrok.

– Isaac.

Patrzę na dłonie Delilah: I-S-A-A-C. Kolejny pisk. Delilah wali pięścią w stół.

– Jesteśmy tak blisko – mamrocze. – Masz może inny pomysł, Edgarze?

Rzuca różne propozycje: nazwa ulicy rodzinnego domu matki, imię jej psa z dzieciństwa, tytuł pierwszej wydanej książki. Ale wszystko na nic. Z każdą nieudaną próbą ciało ciąży mi coraz bardziej, jakbym wrastał w fabułę.

Po bezowocnej półgodzinie Delilah podnosi się z krzesła i klęka przy łóżku, dzięki czemu widzę ją wyraźniej.

– Wybacz, Oliverze – szepcze głosem nabrzmiałym rozczarowaniem. – Próbowałam.

– Wyciąga rękę, a ja moją. Ale jest inaczej, niż kiedy była ze mną w książce. Ponownie dzieli nas cienka warstwa papieru.

Orville wspomniał mi kiedyś, że ludzie tak naprawdę nigdy się nie dotykają. Dlatego, że jesteśmy tylko zlepkiem tych atomów otoczonych polem elektromagnetycznej siły. I nawet gdy trzymamy się za ręce, tak naprawdę to tylko złudzenie, bo stykają się jedynie elektrony uwięzłe pomiędzy nami.

Wówczas tego nie rozumiałem; ot, plótł tak, jak to Orville ma w zwyczaju. Ale teraz... teraz klapki spadły mi z oczu.

– I co? – W moje rozmyślenia wdziera się głos Edgara. – Mamy tak po prostu zrezygnować?

– To był głupi pomysł – burczy Delilah.

– Ale co z nim? – Edgar macha kciukiem w moją stronę. – Każdy zasługuje na szczęśliwe

zakończenie. – Potrząsa głową. – Gadam jak matka. Zawsze powtarzała mi to na dobranoc.

Delilah odwraca się powoli i liczy na palcach. Znow siada na krześle i palce fruują jej po klawiaturze.

– „Każdy” – powtarza i wpisuje literę „K”.

„Zasługuje”. „Z”.

„Na szczęśliwe zakończenie”. „N-S-Z”.

I nagle ekran wypełniają setki wyrazów – wyrazów, które przeżywałem tysiące razy.

Delilah zjeżdża w dół i zaczyta czytać. Zanim mam okazję się połapać w sytuacji, Edgar kartkuje książkę i znajduje wskazany fragment.

Pęd powietrza wtłacza mnie w margines. W takim tempie zderzam się z wrózką, że nie sposób jej nie rozpoznać, a gdy zdaje mi się, że dostrzegam srebrne włosy, tracę dech, bo Świerzb toczy się jak kula armatnia i wali mnie w mostek.

– Na miejsca – krzyczy Buła. Królowa Morena przepływała obok mnie z trenem rozpiętym jak żagiel i wszyscy przeskakujemy kilkanaście stron do finału.

Piasek parzy mnie przez podeszwy. Serafina, cała w jedwabiu, koronkach i zachwycie, ściska moją dłoń. Ale po raz pierwszy na mnie nie patrzy, bo tęsknym wzrokiem goni za Bułą, drepczącym po plaży z obrączką przywiązaną do obroży. Strzała rży w oddali, a do siodła ma przytwierdzone puszki i chorągiewkę z napisem „Nowożeńcy”.



Niczym przez głośnik płynie głos Delilah i jak marionetka robię to, co nakazuje narracja.

„Jak okiem sięgnąć, na Plażę Szczęśliwych Zakończeń całe królestwo przybyło świętować zaślubiny księcia Olivera z księżniczką Serafiną. Kapitan Krab i jego żeglarze oświetlili plażę pochodniami napełnionymi gazem rozweselającym i rozpalonymi subtelnym płomykiem oddechu Pyra. Syreny usypały nawę z pokruszonych muszelek w kolorze różowym, a trolle wzniosły baldachim z wierzbowych gałązek, udekorowany przez Orville’a magicznymi kwiatami, które emanowały blaskiem i zaśpiewały wraz z nadejściem panny młodej. Wróżki niosły tren srebrzysty, a Serafina wzniosła przepelnione miłością oczy na człowieka, z którym chciała odtąd kroczyć przez życie”.

Czuję, jak we mnie wzbierają słowa, wypowiedane już wielokrotnie.

– Serafino. – Mój głos jest echem głosu Delilah. – Każdy zasługuje na szczęśliwe zakończenie. Czy będziesz moja?

W duchu pukam się w czoło, że sam nie wpadłem na to hasło.

– Ach, Oliverze. Czy w ogóle musisz o to pytać?

Być może tylko ja zauważam lekkie drżenie w jej głosie. Czyżby wreszcie wpadła na to, że jesteśmy czymś więcej niż tylko bajką?

Dochodzimy do momentu, kiedy rzuca się w moje ramiona i robi dzióbek. Coś mi mówi, że po raz pierwszy chyba żadne z nas nie kwapi się do odegrania swojej roli. Przymykam oczy i zbieram się w sobie, gotów na to, co ma nadejść, ale czuję, że coś ciągnie mnie za stopę jak magnes i muszę zrobić krok w tył.

– „Oliver” – mówi głośno Delilah, bębniąc w klawiaturę – „nagle odsuwa się od narzeczonej”. – Zerka na mnie. – I jak ci się podoba?

Słowa kipią mi z ust, chcą się wydostać, więc nie mam wyboru.

– Nie mogę ożenić się z tobą – wypowiadam równocześnie z Delilah. – Mam rozpocząć własną bajkę, w innym świecie, z Delilah Eve McPhee.

Serafina mruga powiekami i oczy mało nie wychodzą jej z orbit. Dostrzegam w nich nadzieję, strach i zmieszanie, ale nie śmie zakwestionować fabuły, gdy książka jest otwarta, a obok stoi Czytelnik. Widzę kątem oka, że pozostali nerwowo przestępują z nogi na nogę. Nie taką bajkę znają.

Mrowi mnie prawa dłoń. Najpierw myślę, że Serafina odcięła mi krążenie, ale zaraz spostrzegam, że moje ciało blednie, chybocze jak płomień, po czym znika.

– Twoja dłoń! – Serafina wzdycha, łamiąc zasady. Tak mi się przynajmniej wydaje, dopóki nie słyszę tego samego z ust Delilah. Łypię poza kartkę i widzę swój nadgarstek – dryfuje wraz z dłonią między Delilah a Edgarem.

– Chyba działa – szepcze ten ostatni.

Kręci mi się w głowie i oddech więźnie w gardle. Patrzę w dół: moja tunika drży, a następnie pruje się i znika.

– Oliverze – mówi Delilah. – Twoja tunika. Jakby ktoś ją tkął na naszych oczach!

Serce tłucze mi tak, że chyba słyszą je wszyscy zebrani, a może nawet Delilah i Edgar. Czy naprawdę działa? Naprawdę jestem o krok od wolności?

Patrzę na Bułę, który wpatruje się we mnie z mieszaniną wyrzutu i lęku na włochatym pysku. Nie mogę się odezwać – nie podrzucano mi kwestii – lecz przesyłam mu bezgłośnie: „Żegnaj, przyjacielu”. Przymykam oczy w nadziei na pomyślny finał.



– Edgarze? – Nieznajomy głos napływa na plażę. – Co wy czytacie?

Mój świat wiruje i zastyga. Delilah łapie książkę i zasłania nią monitor. Teraz widzę pokój jak na dłoni, ale pod innym kątem. Edgar zasłania sobą widmowe członki dryfujące w powietrzu – i gdy Jessamyn Jacobs wchodzi do środka, nie widzi, co się dzieje.

– Tę starą bajkę – rzuca Edgar nieco zbyt piskliwie. To możliwe, by matka nie zorientowała się, że on kłamie? – Zapomniałem, jak się kończy.

– Ma się rozumieć, szczęśliwie – odpowiada Jessamyn.

– No właśnie. – Delilah uśmiecha się promiennie. – Oczywiście.

Nagle czuję, jak krew z powrotem napływa w ramię i pierś. Czuję, jakby płonęły, jakbym miał wyskoczyć ze skóry. Z jękiem padam na kolana na piasku, zgięty z bólu.

– Przyszłam tylko powiedzieć wam dobranoc. Potrzebujesz czegoś, Delilah?

– Nie... – Dziewczyna się uśmiecha. – Dzięki. Za wszystko.

Kłęczę, ale coś znów ciągnie mnie do Serafiny. I podrywa na zasadzie odwrotnej, przewrotnej grawitacji. Ręka wpada mi w jej dłoń, palce zaplatają się ciasno.

Wiem, co się dzieje. Próba uwolnienia się z książki spełzła na niczym, jak każda inna. Bajka zawsze wygrywa.

Jessamyn podchodzi bliżej, kolejna Czytelniczka. Patrzę, jak nachyla się nad kartką.

– Bardzo lubiłam tę ostatnią scenę...

Edgar łapie książkę, aż kręci mi się w głowie.

– Uhm – burczy i zatrząskuje okładkę, a ja tracę równowagę.

Natychmiast podnosi się szum, gdy bohaterowie omawiają dziwny incydent, który właśnie rozegrał się na ich oczach. Serafina wybucha płaczem, zasłania rękami twarz i ucieka z plaży. Orville rzuca się ku mnie i maca po ramieniu.

– Mój chłopcze – woła. – A cóż to znowu za czarna magia?

– Nic mi nie jest – zapewniam i zwracam się do pozostałych. – Ot, wypadek przy pracy. Wszystko wraca do normy.

Uspokojeni rozchodzą się do swoich zajęć, nadal dyskutując o tym, co zaszło. Zostaje tylko Buła, siedzi obok mnie na plaży.

– Ollie. Zbyt długo się przyjaźnimy, żebyśmy się na to złapał.

Szuram butem po piasku. Tak się wszystko zaczęło, od narysowanej tutaj szachownicy.

– Chcę stąd zniknąć, Buła – przyznaję. – Ja tutaj nie pasuję, tak jak ty nie pasujesz do psiej postaci.

– Przecież nie mamy nic do powiedzenia – zauważa Buła.

– A dlaczego tylko mnie czeka szczęśliwe zakończenie? – pytam. – Nigdy cię to nie zastanawiało?

– Widać uznałem, że ci się poszczęściło.

– Nam wszystkim może się poszczęścić. Moglibyśmy być, jacy chcemy, zamiast żyć pod cudze dyktando.

Buła potrząsa łbem.

– Wyobraźnia cię ponosi, Ollie.

– Dzięki niej tutaj trafiliśmy, prawda? – odpowiadam łagodnie.

Bule oczy rozbłyskują na myśl o przyszłości innej niż ta w książce. Potem przypomina sobie zdarzenie sprzed paru minut.

– Próbowaleś odejść – mówi z wolna w olśnieniu.

– Tak. Nie mogę tutaj zostać.

Buła zadziera głowę.

– W takim razie idę z tobą.

Wskazuję tam, gdzie Serafina siedzi nad wodą i wciąż dyskretnie ociera łzy.

– Wcale tego nie chcesz, prawda? – Uśmiecham się do niego. – Jeśli stąd wyjdę, masz moje słowo, że uczynię wszystko, byś wrócił do ludzkiej postaci.

W zamyśleniu drapie się za uchem.

– Ollie? Mógłbym mieć jeszcze jedną prośbę? Jeśli stąd wyjdiesz... czy sprawiłbyś... żeby mnie zauważyła?

– Myślę, że już to zrobiła. – Popycham go lekko. – No idź.

Biegnie do skały, gdzie siedzi Serafina. Księżniczka z roztargnieniem klepie go po

głowie. Buła zerka na mnie i merda ogonem.

Unoszę prawą rękę, żeby im pomachać na pożegnanie. Jest znów przytwierdzona do ciała, jak zawsze – na wieki wpisana w bajkę, z której być może nie dane mi będzie uciec.

DELILAH

Po wyjściu matki Edgar odwraca się i na mnie patrzy.

– No! – mówi zachwycony. – To było cza-do-we!

Natychmiast siadam przy komputerze i dopisuję słowa NOWY KONIEC do zmienionej bajki, która umożliwi ucieczkę Oliverowi – ale kursor podjeżdża do góry i wymazuje tekst napisany przeze mnie. Wyraz „nowy” znika jako ostatni, pozostawiając sam „koniec”.

– O nie. – Odwracam się i jest tak, jak podejrzewałam: zarys Olivera w pokoju zniknął bez śladu.

– Gdzie on się podział? – Edgar zagląda pod łóżko i do szafy.

Nie wiem, czemu komputer nie dopuszcza do wprowadzenia zmian. Może pisarka zastosowała blokadę, a może to złośliwy wirus. Ale mam przed sobą namacalne potwierdzenie słów Jessamyn Jacobs: ta konkretna bajka żyje w umysłach czytelników. Nie można jej zmienić, bo zaistniała w pierwotnej postaci.

Stało się jak wówczas, gdy Oliver sam chciał zmienić zakończenie w obrębie książki, i gdy ściągnął mnie w głąb narracji. Kiedy coś nie należy do fabuły, zmiana nie ma szans się utrzymać. Gdy nazwiemy coś opowieścią, klamka zapadła. Ma początek, rozwinięcie i koniec, który nie podlega zmianom, bowiem wtedy mielibyśmy do czynienia z opowieścią innego rodzaju.

– Już tak bywało – wyjaśniam Edgarowi. – Jakby książka miała własny rozum.

Zastanawia się chwilę.

– Umiesz dobrze pisać?

– Bo co?

– Bo mam pomysł. – Siada na łóżku, kładąc ręce na okładce. – Nie możesz zmienić bajki, bo została opowiedziana. A gdybyś stworzyła nową?

– Jak to?

Podekscytowany wychyla się naprzód.

– W tej chwili Oliver jest jedyną postacią, która chce zmienić fabułę. Powiedzmy, że pozostali bohaterowie dostaną nowy scenariusz do zagrania. Jeśli wszyscy to kupią, może książka

dopuszcza do zmiany.

Otwieram na stronie czterdziestej trzeciej. Oliver, blady i wyczerpany, podnosi na mnie wzrok ze skały.

– Jesteś cały – szepczę.

– Jestem taki jak zawsze – mruczy. – I właśnie w tym problem.

– Edgar ma pomysł. – I wyłuszczam Oliverowi plan.

– Nie rozumiem, na czym polega różnica – mówi, gdy kończę. – Nadal jestem postacią z bajki.

– Lecz na końcu nowej fabuły odchodzisz – zaznaczam. – Zgodnie z przewidywaniami pozostałych.

Oliver wzdycha.

– Na tym etapie spróbowałbym wszystkiego.

Siadam przy komputerze, bo umiem szybciej pisać. Patrę na Edgara.

– I co? – pytam. – Jak zaczniemy?

Wszyscy milkną. Dotąd nie przyszło nam do głowy, jak trudno stworzyć coś z niczego.

– Co powiecie na to: pies spotyka kota i zakochują się w sobie mimo sprzeciwu rodzin?

– rzuca Oliver.

– Jasne, Romeo – odpowiadam. – Wolisz wyjść z książki jako pudel czy wilczur?

Tylko kręci głową.

– Słuchajcie, mam. – Edgarowi oczy się iskrzą. – Ciemność, nadciąga burza, a w okolicy szaleje morderca z siekierą...

– Niedaleko pada jabłko od jabłoni. – Wzdycham.

Edgar wzrusza ramionami.

– To sama coś wymyśl.

Aż tu nagle doznaję olśnienia.

– Był sobie książę – zaczynam – który utknął w bajce. Do czasu, aż usłyszała go dziewczyna z zewnątrz.

Pochyłam się nad klawiaturą i zaczynam pisać.



STRONA 58

Na kamiennych schodach wieży załomotały kroki Rapskullia. Gdy wkroczył do sali, przez łukowe okno dmuchnął wiatr. Serafina stała przy parapecie, zapatrzona w ocean.

– Zamyślona narzeczona – rzekł oschle Rapskullio, podchodząc bliżej. – Jeśli myślisz o ucieczce przez okno... nie radziłbym.

Nie odpowiedziała, tylko dalej wpatrywała się w huczące bałwany.

Rapskullio oparł jej ręce na ramionach. Zadrżała. Jego oddech owiał jej kark.

– Nauczysz się mnie kochać – oznajmił.

Odwróciła się, a wtedy on podniósł welon, który zasłaniał jej twarz.

Ale to nie była twarz Serafiny.

– Wybij to sobie z głowy – zapowiedział Oliver, po czym dał mu z główki w brzuch, aż tamten zatoczył się do tyłu.

Złoczyńca dobył miecza.

– Co z nią zrobiłeś?

– Włos jej z głowy nie spadł – rzekł Oliver. – I należy do mnie.

– I tu się mylisz, wasza wysokość. Nadszedł czas zapłaty. Wreszcie dostaniesz za swoje.

Oliver zdębiał, wpatrzony w jego dziobatą twarz. W życiu nie spotkał człowieka: czym mu się naraził?

– Nie ujdzie ci to na sucho – zapowiedział.

Usta Rapskullia wygięły się w karykaturze uśmiechu.

– To samo rzekł Maurycy, kiedy napuściłem na niego smoka. Jaki ojciec, taki syn.

Oliver cofnął się o krok.

– Zna... znałeś mojego ojca?

– Poprawka – uściślił Rapskullio. – Ja go zabiłem.

Słowy podziały na księcia niczym płachta na byka. Emocje wzięły górę nad rozumem i dotarło do niego, że odwagi nie dostaje się w kołysce, i nie jest ona wcale brakiem strachu. Być odważnym to zapanować nad strachem w sytuacji, kiedy ważą się losy bliskich.

Adrenalina pchnęła go naprzód i rzucił się na złoczyńcę.

Nogi zaplątały mu się w spódnicę i genialny dotąd plan przechytrzenia Rapskullia wydał się szyty grubymi nićmi. Ten bowiem machnął mieczem, przeciął warstwę tiulu i ostrze drasnęło Olivera w ramię.

– Twój ojciec odebrał mi tę, którą kochałem najbardziej w świecie – syknął. – Pora wyrównać rachunki.

Oliver uskoczył przed kolejnym ciosem. Miecz trafił w ścianę, buchnął snop iskier. Książę przetoczył się po podłodze, zaplądając w suknię, i podciął przeciwnikowi nogi. Rapskullio padł twarzą na kamienną podłogę, wnet jednak chwycił Olivera za but i pociągnął za sobą.

Książę zamotał mu welon wokół nadgarstka i spróbował wyrwać miecz, ale próba sił wypadła na korzyść Rapskullia, który wbił jego łokieć w podłogę i się uwolnił.

Zamachnął się na Olivera, trafiając go w twarz oraz klatkę piersiową. Zamroczony młodzieniec potoczył się jak kłoda i chwiejnie dzwignął z podłogi. To wystarczyło, aby tamten się zerwał i przystawił miecz do książęcej szyi.

– I co teraz? – rzucił drwiąco.

Oliver zrobił krok w tył. Spod ostrza wypłynęła kropla krwi. Rapskullio natarł na niego kolejny i jeszcze jeden raz. Za plecami księcia wyrosła ściana.

Obiecuj mi, że nie będziesz walczyć, prosiła matka. Z nikim ani z niczym.

Przechytrzyć smoka i trolla lub negocjować z kapitanem piratów i syrenami to jedno... ale jak miał wygrać walkę na miecze, skoro nawet nie nosił przy sobie broni?

Rapskullio cofnął miecz i w oczach zalśnił mu obłęd.

– Żegnaj, książę. – I natarł, gotów przeszyć Oliverowi serce.

Nazwijcie to tchórzowskim instynktem lub przejawem geniuszu. Nazwijcie to, jak chcecie: Oliver zrobił unik.

Miecz trafił w pustkę; Rapskullio miał przed sobą otwarte okno i runął jak kłoda, chybotając przez chwilę na śliskim, granitowym gzymsie.

Książę, zdyszany, osunął się na kolana. Ale zanim choćby odczuł ulgę, szarpnięcie mu uświadomiło, że Rapskullio na odchodne uczepił się sukni. I Oliver runął jego śladem, z wysokości dwudziestu metrów, prosto na poszarpane skały.

OLIVER

Boli mnie ręka. Podczas gdy Delilah stuka w klawiaturę, ja zapisuję całą opowieść węglem na skale, i próbuję ją zapamiętać, co nie jest zbyt trudne. Wszak żyję nią od paru dni.

Gdy kończymy, Delilah nachyla się nad kartką.

– Powodzenia – szepcze. – Widzimy się na zewnątrz.

Rozmawialiśmy o tym i wiem, że jestem zdany na siebie: ona musi zamknąć książkę, żebym mógł skrzyknąć pozostałych i opowiedzieć im nową bajkę. Niebo ciemnieje i strony się zwierają. Biorę głęboki oddech, jeszcze raz przeciągam palcem po zdaniach nagryzmołonych na skale.

Schodzę na dół i przeskakuję w przerwach między krawędziami kartek, mijam Zaczarowany Las oraz łąkę jednoroźców. Gdy znajdę Bułę, poproszę go o pomoc. Tylko on potrafi szybko zwołać wszystkich i wiem, że mogę liczyć na jego wsparcie.



Ale najpierw muszę się z kimś zobaczyć. Znajduję królową Morenę w ogrodzie różanym za zamkiem, podcina ukochane krzewy. Przystaję na chwilę, patrząc, jak czule unosi ciężką główkę róży i gładzi jej płatki. Nie była moją prawdziwą mamą, ale innej nie miałem i będę tęsknił za czułością, która przychodzi jej tak łatwo.

Nabieram powietrza – teraz albo nigdy – wyciągam koszulę z tuniki i czochem włosy. Potem wypadam na ścieżkę przed Moreną.

– Oliver? – mówi. – Co ci się stało?

Osuwam się na ziemię, udając zdyszanego.

– Twórca – zipię. – Który stworzył nasz świat. Wezwał mnie.

Królowa robi wielkie oczy.

– Wezwał cię?

– Tak.

– Ojej.

– No właśnie.

Patrzy z namysłem.

– Dlatego zaczęłaś znikać?

– Nie inaczej. Przysłał mnie z powrotem z wiadomością dla wszystkich. Ponoć bajka, w której żyjemy, nie jest bajką prawdziwą. Stanowi tylko część większej historii.

– Chyba nie rozumiem – przyznaje królowa Morena.

– Muszę odejść – oświadczam.

– Przecież dopiero przyszedłeś!

– Nie... muszę odejść z książki. Na tym polega finał zasadniczej historii.

Królowa się zastanawia.

– Ale wrócisz, ilekroć otworzą książkę?

Boże, mam nadzieję, że nie. Czy Delilah to uwzględniła?

– Rzecz jest niezwykle skomplikowana. Wyjaśnię to na plaży. Buła ma wszystkich zwołać.

– Czemuż więc rozmawiasz ze mną na osobności?

– Ponieważ – wyznaję – należysz do osób, za którymi będę tęsknił najbardziej.

Łzy stają jej w oczach i podchodzi do mnie z otwartymi ramionami. Mocno ją przytulam: trudno mi sobie wyobrazić, że robię to po raz ostatni.

Odsuwa się nieco i patrzy mi prosto w oczy.

– Gdybym miała prawdziwego syna, Oliverze, chciałabym, aby był do ciebie podobny.

Gdy zbliżamy się do Plaży Szczęśliwych Zakończeń, dołączają do nas pozostali, zwołani przez Bułę: brzęczące wróżki (zasypują mnie pytaniami), trolle, których tupot roznosi się na kilometr. Rapskullio przychodzi z tamborkiem, a Serafina wciąż ma na sobie szlafrok i kapcie.

Na końcu zjawiają się syreny – podpływają do brzegu i kładą się na mieliźnie, a włosy falują jak peleryny za ich plecami.

– Skąd ten pośpiech, Buła? – pyta Marina.

Stojący obok piratów Pyro wydmuchuje krążki dymu, a Orville odgania je od swojej twarzy.

– Panie i panowie! – ogłasza Buła. – I mityczne stworzenia. Zwołałem was tutaj na prośbę księcia Olivera, który ma coś ważnego do powiedzenia. – Merda ogonem, ustępując mi pola.
– Powodzenia, Ollie – dorzuca na stronie.

Wstaję, nagle stremowany.

– Zapewne zdziwiło was to, co wydarzyło się podczas ostatniego otwarcia książki
– mówię.

– Zacząłeś znikać! – oświadcza kapitan Krab. – Wszyscy zauważyliśmy!

– Tak, hm, mnie też to zdziwiło – odpowiadam niezgodnie z prawdą. – Wciągnęło mnie do Innegoświata.

Rozlega się zbiorowe westchnienie.

– Chcesz powiedzieć – odzywa się Iskierka – że na widownię?

– Żeby tylko. To robota Twórcy. Osoby, która wymyśliła nasz świat.

– Facet czy babka? – pyta rzeczowo Ondine.

– Babka.

Triumfalnie patrzy na siostry.

– A nie mówiłam?

– Ładna? Założę się, że ładna. – Żagiewka wzdycha.

Myślę o Jessamyn Jacobs.

– Nie zwróciłem uwagi. Musiałem zapamiętać nowy scenariusz. – Urywam teatralnie.

– Ten, który mam wam przekazać.

– Nie rozumiem – mamrocze Parch. – Mamy nowe kwestie do nauczania?

– No, do pewnego stopnia. – Patrzę na wszystkich. – Okazuje się, że nasza opowieść to zaledwie część większej całości. Ta prawdziwa jest o księciu z bajki...

– Czyli o tobie! – piszczy Serafina.

Uśmiecham się z przymusem.

– Zgadłaś! Jak mówiłem, o księciu z bajki, który chce uciec.

– Z królestwa? – Liszaj drapie się po głowie. – Chyba nie nadążam...

– Nie, z książki. Do Innegoświata.

– Ależ to niemożliwe – oponuje Orville. – To jest jedyny świat, jaki został nam dany.

– Ale wiemy, że ktoś gdzieś wymyślił rzeczywistość, w której mogliśmy zamieszkać, tak?

– pytam. – Nie poznaliśmy tej osoby, a jednak tutaj jesteśmy. Co dowodzi, iż tamten inny świat

był zawsze obecny. Tam znajdują się ci, którzy nas czytają.

Patrzę, jak trawią moją teorię. Buła bada ich reakcje i przerywa niezręczne milczenie.

– Proponuję, aby Oliver opowiedział nam tę nową bajkę!

Pozostali kiwają głowami. Nawet najwięksi sceptycy ulegają magii słów, skuszeni perspektywą tego, o czym jeszcze nie słyszeli.

– Jestem za – oświadcza królowa Morena.

Zaczynam mówić, czując na sobie ich spojrzenia.

– Jeśli chcecie wiedzieć, kiedy mówią „Dawno, dawno temu...”, kłamią jak z nut. Żadne tam „dawno temu”. Ani nawet „kiedyś”. Rzecz toczy się setki razy, ilekroć ktoś przewraca kartki tej zakurzonej książki.

Gdy kończę, zapada głucha cisza.

A potem wszyscy zaczynają klaskać.

– Brawo! – skowyczy Buła. – Brawo!

Nawet syreny są wzruszone.

– Może jednak nie wszyscy faceci to kałamarnice – mruczy Kyrrie.

Serafina w osłupieniu wbija wzrok w swoje stopy.

– Chcesz powiedzieć, że od początku ciągnęło mnie do Buły?

Przytakuję.

– Ale bałaś się to okazać, bo nie chciałaś zranić uczuć księcia Olivera.

Serafina uśmiecha się z ulgą i przyciąga do siebie Bułę.

– Od razu wiedziałam – mówi nieśmiało.

– Macie więcej pytań? – zwracam się do wszystkich.

Strzała stuka kopytem w ziemię, żeby zwrócić moją uwagę.

– Tak, Strzało?

– Oliverze, gdy wspomniałeś, że w nowej wersji jestem dumnym rumakiem... czy to znaczy... że jestem nieco szczuplejszy?

– Jesteś najprzystojniejszym rumakiem w całym królestwie – zapewniam. – Wzorem do naśladowania dla innych rumaków.

Zachwycony rzy i potrząsa grzywą.

Pyro podnosi masywne ramię.

– Czegoś tu nie rozumiem... a co mną właściwie kieruje?

– Masz przelać w swój występ cały gniew i frustrację płynące z bycia niezrozumianym przez otoczenie – podpowiadam.

Smok tłumi czkawkę.

– To już coś – przyznaje.

– Świetnie! – Klaszczę w ręce. – Proponuję zatem, byśmy rozeszli się i poćwiczyli w samotności, aby przygotować się na moment otwarcia książki...

– Jedną chwilę. – Rapskullio wstaje, złowieszczy i wysoki, czarna grzywka opada mu na czoło i rzuca cień na szramę. – Co będzie z tobą, Oliverze?

Uśmiecham się z satysfakcją.

– No cóż, opuszczę bajkę i będę żył długo i szczęśliwie.

– Ale czy zachowasz dotychczasowe rozmiary? – pyta Żagiewka. – Byłbyś przy nich mały jak karaluch.



– Będziesz wyglądał jak oni, czy zostaniesz płaski? – dodaje Zezik.

Przewraca mi się w żołądku. Prawdę mówiąc, nie znam odpowiedzi na te pytania. Zdaje się, że wszystko wyjdzie w praniu.

– Hm, to jedna wielka niewiadoma – rzucam wymijająco. – Dam wam znać, kiedy się tam znajdę.

Słyszę ciche rzężenie; to Buła chrząka.

– Możemy czasem wpaść? – pyta cicho.

Napotykam wzrok najlepszego przyjaciela. Nie wyobrażam sobie więcej go nie zobaczyć.

– Nie jestem pewien – mówię otwarcie. Z rozczarowaniem zwiesza pysk, a ja chcę podrapać go za uchem i pocieszyć, ale Serafina jest szybsza: nachyla się i głaszcze go po grzbiecie. Jedno wiem na pewno: Buła będzie w dobrych rękach.

Nagle piasek burzy się pod nogami i krawędzie plaży zawijają się do góry.

– Na miejsca! – szczeka Buła. – Ale już!

Lecę strona za stroną i spadam na kamienną posadzkę zamku. W chwili gdy podnoszę głowę, królowa Morena klapie na tron, aż korona spada jej z głowy. Buła łapie ją w zęby jak

frisbee.

– Wasza wysokość. – Podaje królowej zgubę.

Opowieść zaczyna się jak zawsze, gdy oznajmiam matce, że wyruszam na poszukiwanie prawdziwej miłości. Różnica polega na tym, że prawdziwa miłość nie czeka na mnie na plaży, tylko dużo dalej.

– Życz mi powodzenia – mamroczę pod nosem w nadziei, że Delilah słucha, i wypowiadam swoją kwestię.

Przez następną godzinę mijam kolejne strony: atakują mnie wróżki, wpadam do oceanu wprost w objęcia syren, przechodzę podstępem po moście trolli. Porywa mnie kapitan Krab, walczę z Pyrem i odwiedzam Orville’a w poszukiwaniu miejsca pobytu Serafiny. Pozostali bohaterowie też odgrywają swoje role. Jestem pod szczególnym wrażeniem występu Strzały, który nagle staje się nieustraszonym rumakiem, jakby sama pewność siebie dodała mu trzydzieści centymetrów. Patrzę kątem oka na Serafinę – tęsknie wodzi za Bułą wzrokiem po każdej wspólnej scenie.

W pewnym momencie, jak zawsze, staję u stóp skały – ale tutaj zatrzymuję się i wygłaszam mowę.

Tworząc na nowo opowieść, Delilah uwzględniła jedną samotną scenę, w razie gdybyśmy musieli rozmówić się na osobności. Ale teraz, zamiast na czterdziestej trzeciej wspiąć się na kamienną ścianę, mówię o niej. O dziewczynie, która wbrew przeciwnościom losu ujrzała we mnie żywą istotę.

Potem szast-prast, odgrywamy ostatnią scenę na Plaży Szczęśliwych Zakończeń. Stoję obok Buły, który na obroży ma zawieszoną obrączkę. Serafina nadchodzi nawą z muszelek. Ale tym razem nie całuję panny młodej.



– Zgłaszam sprzeciw – mówię w myśl najnowszej wersji.

Kapitan Krab, który czyni honory mistrza ceremonii, ze zdziwieniem podnosi głowę.

– Na własnym ślubie, synu?

– Mam prawo, jeśli to nie jest moja prawdziwa miłość.

– Ja też zgłaszam sprzeciw – oznajmia Serafina. – Kocham innego. – Patrzy na Bułę.
I nachyliwszy się, całuje go w nos.

Widać deszcz iskier i na naszych oczach Buła znów staje się chłopakiem. W ubraniu, dla odmiany. Dopilnowałem tego, gdy Delilah pisała tę scenę.

Maca się po rękach i nogach, a następnie przesyła mi najszerszy z uśmiechów.

– Prawdziwa miłość – oświadcza – może złamać najpotężniejsze zaklęcie.

Jego przemiana znaczy, że książka dopuszcza do pewnych zmian, które wprowadziliśmy. Oby tak dalej. Fortel polega na tym, że nie zmieniamy bajki, tylko uzupełniamy ją o nowe elementy. Nie trzeba nic poprawiać, trzeba tylko odwalić dodatkową robotę.

Ujmuję dłoń Serafiny i wkładam ją do ręki przyjaciela.

– Nie chciałbym, żeby ominęła cię prawdziwa miłość, i ty mi tego nie życzysz – mówię do niej. – Każdy zasługuje na szczęśliwe zakończenie... a moje znajduje się poza stronicami tej książki.

Czytałem ten akapit z tuzin razy; znam go na pamięć. I ruszam przed siebie. Noga za nogą po plaży, wzdłuż krawędzi wody. Syreny machają mi na pożegnanie, ale ja się nie oglądam. Boję się, że zacznę tęsknić za tymi, których zostawiam.

Zbliżam się do brzegu ilustracji, gdzie kolory bledną w białą kartkę.

Biorę głęboki oddech i skaczę.

I trafiam czołem w twardą, sztywną przeszkodę.

Przez chwilę widzę gwiazdy i pustkę.

Coś liże mnie po twarzy i widzę Bułę, znowu w psiej postaci. I słyszę głos Serafiny.

– Oliverze? Może ta książka po prostu nie chce cię wypuścić.

Jesteśmy na czterdziestej trzeciej. Każde po swojej stronie. Delilah podparła książkę o poduszkę i rozmawiamy po ciemku.

Kiedy okazało się, że nasz plan znowu nie wypalił, grzecznie życzyła Edgarowi dobrej nocy i zaniósła książkę do swojego pokoju. Nie płakała, póki nie zostaliśmy sami, lecz od tamtej pory nie przestała.

– Głowa do góry – pocieszam bez przekonania. – Przecież nie jest tak źle.

– Nie możesz tam wytrzymać – szlocha. – A ja nie wytrzymam bez ciebie.

Wyciągam rękę i próbuję sobie przypomnieć, jak to jest spacerować z nią po królestwie.

– Jestem tutaj, ilekroć mnie potrzebujesz – mówię. – To chyba jasne, że nigdzie się stąd

nie ruszę.

Jest coś gorszego, niż nie móc dzielić się radością z ukochaną osobą: nie móc jej pocieszyć, kiedy jest smutna.

– Delilah Eve McPhee – oświadczam. – Nawet jeśli nigdy nie opuszczę tych stron... zrobiłbym to jeszcze tysiąc razy, żeby tylko móc cię poznać.

– Ach, Oliverze – szepcze. – Ja ciebie też kocham.

Delilah zasypia z otwartą książką, dzięki czemu mogę na nią patrzeć. Jeśli myślicie, że nie ma nic ciekawego w widoku śpiącej osoby, chyba jeszcze nie spotkaliście dziewczyny swoich marzeń. Kosmyk, który spadł jej na twarz, faluje z każdym oddechem. Czasem mocniej obejmuje poduszkę i wzdycha głęboko.

Teraz, kiedy wiem, że nie możemy być razem na zawsze, nie chcę tracić cennych minut, które nam zostały. Dlatego nawet nie zmrużyłem oka, aby odpocząć. Boję się, że jeśli to zrobię, ona zniknie bezpowrotnie.

I nie śpię, kiedy drzwi pokoju otwierają się powoli. Zrywam się na równe nogi i przywieram do skały, jak to mam w zwyczaju na czterdziestej trzeciej. Ale rozpoznaję twarz, która pochyła się nad kartką.

– Ciii – szepcze Edgar i ostrożnie wysuwa książkę z objęć Delilah.

Wpadam w panikę. Co jeśli przyszedł zniszczyć bajkę? Sam przyznał, że nigdy za nią nie przepadał. Może jest zazdrosny i chce mieć Delilah tylko dla siebie? Albo lunatykuje i wyrzuci mnie do śmieci?

Ale Edgar idzie do swojego pokoju i zamyka drzwi. Siada na łóżku, zgina kolana i kładzie na nich książkę, żebym go lepiej widział.

– Wiem, czemu się nie udało – oznajmia. – Nie można wyjąć bohatera z książki. Ilekroć zostanie otwarta, wraca tam, skąd przybył. Zamiast ucieczki potrzebny nam zwrot akcji.

Potrząsam głową.

– Ale po co, skoro i tak mam tutaj zostać...

– A jeśli to nie ty zostaniesz? Jeśli opowiedziałeś niewłaściwą bajkę i na końcu zostajesz zdemaskowany?

– Że niby... nie jestem księciem? – pytam z niedowierzaniem.

– Ani nawet Oliverem – uzupełnia Edgar. – Tylko kimś, jak by to ująć, bardzo podobnym. Język staje mi kołkiem z wrażenia.

– Zrobiłbyś to? Dla nas?

– Nie, ale zrobiłbym to dla siebie. Nawet nie masz pojęcia, ile nas łączy. Obaj tkwimy w rzeczywistości, do której nie pasujemy. Obaj straciliśmy ojców. I chcemy być kimś innym, niż jesteśmy. Chętnie bym się z tobą zamienił.

Ale ja nauczyłem się jednego: rozstanie z bliskimi to katorta. A gdy wpisałem Delilah w książkę, ona chciała wrócić do matki. Gdybym ją miał, też nie wyobrażałbym sobie jej zostawić.



– A twoja mama? – pytam.

– Ona stworzyła wasz świat. Byłaby blisko mnie. Poza tym zawsze chciała mieć syna takiego jak ty. Zresztą, skoro ja cię słyszę, ty usłyszysz mnie. Dam znać, jeśli zmienię zdanie.

– Wzrusza ramionami. – Co masz do stracenia, Oliverze? Ty dostaniesz dziewczynę, a ja zostanę bohaterem.

Podnosi plik kartek, których wcześniej nie zauważyłem. Dopiero teraz widzę, że oczy ma jak królik i jest wykończony. Chyba wcale się nie kładł.

– Kiepski ze mnie pisarz – dodaje – ale pasuje mi taka bajka.

Chciałbym uścisnąć mu rękę. I podziękować, jak należy. Może się nie uda, jednak spróbować warto. Daję mu znak.

– No dobra – mówię. – Posłuchajmy.

DELILAH

Kiedy się budzę, nie mam pojęcia, gdzie jestem.

Leżę w obcej pościeli, a ściany pokoju są pomalowane na inny kolor. Nie słyszę mamy, fałszującej w kuchni przy smażeniu boczku.

A potem wszystko wraca.

Ucieczka z domu.

Szlaban aż do śmierci.

Jessamyn Jacobs.

Edgar.

Bajka napisana od nowa.

Porażka boli. W perspektywie mamy cztery godziny wyrzutów i pretensji w czasie długiej, morderczej drogi powrotnej. Ze świadomością, że wreszcie spotkałam kogoś, kto mnie lubi i akceptuje – i okazał się wytworem mojej wyobraźni.

Naciągam kołdrę na głowę i żałuję, że się obudziłam. Przynajmniej w snach mogę być z Oliverem.

Oliver.

Macam naokoło, ale książka znikła. Zrywam się i zaglądam pod łóżko, na komodę. Odrzucam kołdrę i prześcieradło. Wiem, że zasnęłam z książką w objęciach. Wiem na pewno.

– Gdzie ona jest? – mamroczę i w tym momencie słyszę pukanie do drzwi.

Otwierają się i Edgar staje w progu z książką w ręku.

– Tego szukasz? – pyta z uśmiechem.

– Tak! – Ze złością wrywam mu bajkę. – Nie wolno kraść cudzej własności.

– Zaraz, ona nie należy do ciebie. Gwizdnęłaś ją z biblioteki szkolnej.

– Ja ją tylko wypożyłam... – Urywam i mrużę oczy. – A ty niby skąd wiesz?

– Bo słucham – mówi Edgar, podchodząc bliżej. Odbiera mi książkę, odkłada ją na łóżko i bierze mnie za rękę. – Uważnie słucham wszystkiego, co mówisz, Delilah.

Patrzy, jakby przewiercał mnie wzrokiem. Robi mi się dziwnie, bo to jednak Edgar – Edgar, który całymi dniami gra na komputerze. Tylko oczy ma inne. Trudno to opisać, ale

jakby... łagodniejsze. I mądrzejsze. A może nieco zdziwione.

– Delilah – szepcze. – To ja.

– Oczywiście, że ty, Edgarze. A któż by inny?

– Oliver. Udało się, Delilah. Naprawdę się udało. – Uśmiecha się i przez chwilę prawie mu wierzę. Uśmiecha się kącikiem ust. A w jego głosie brzmi echo brytyjskiego akcentu.

Ale nie, przecież się nie udało. Sama widziałam. Cofam się o krok i potrząsam głową.

– Udowodnię ci to. – Edgar sięga po książkę. Bierze kartkę w dwa palce i przejeżdża dłonią po ostrej krawędzi, kalecząc skórę.

– Przestań! – Łapię go za rękę, ale za późno. Zamknięta książka spada na łóżko, a ja sprawdzam, jak mocno się skaleczył.

Krwawi, ale krew nie jest czerwona.

Tylko czarna jak atrament.





STRONA 60

Lecąc ku wzburzonym falom, książę Oliver zamknął oczy i przygotował się na śmierć. Na policzkach czuł pył wodny i podmuchy wiatru, a strzępy ślubnej sukni łopotały za nim jak sztandar. Usłyszał wrzask Rapskullia i zrozumiał, że za parę sekund czeka go to samo.

Rzemyk spadł mu z szyi i znalazł się tuż nad jego głową. Ojcowski kompas. Oliver zacisnął mocno palce na małym dysku w nadziei, że zmarły rodzic użyczy mu nieco ze swojej legendarnej odwagi.

Puścił mosiężny zawias, igła kompasu zawirowała jak szalona. I wydając swoje ostatnie tchnienie na ziemi, Oliver pomyślał o domu.

Nagle wokół zrobiło się białe. Drgnął, po czym świat odzyskał realne kształty.

Przestał spadać. I nie rozbił się o ostre skały wśród szalejących grzywaczy. Był cały i zdrowy, w objęciach ukochanej.

I w tamtej chwili pojął, że dom to nie miejsce, tylko ludzie, którzy cię kochają.

Co znaczy, że Oliver i jego wybranka żyli odtąd w spokoju. Długo i szczęśliwie, rzecz jasna.

OLIVER

Wiem, że mi wierzy, bo twarz jej się zmienia jak niebo po burzy, otwarta na możliwości.

– Ale co z Edgarem...? – pyta.

– To był jego pomysł – odpowiadam. Tym razem to *ja* otwieram książkę. Dziwnie się czuję, jakbym został obdarzony czarodziejską mocą.

Bajka otwiera się na ostatniej stronie. Wszyscy bohaterowie stoją na Plaży Szczęśliwych Zakończeń, ale nastąpiły istotne zmiany. Na przykład Serafina ma na sobie obcisły kombinezon ochronny. Buła – w ludzkiej postaci – wymachuje miotaczem laserowym. A pośrodku stoi ktoś, kto bardzo przypomina księcia Olivera, z mieczem w jednej i odciętą głową potężnego Zorga w drugiej dłoni.

– „Mieli dużo szczęścia, odkrywając, iż żyjący wśród nich intruz wcale nie był księciem, tylko zaprawionym w bojach żołnierzem z przyszłości” – czyta Delilah na głos. – „Kiedy bojownicy o wolność pokonali ostatnią Galaktoidę z planety Zugon, Edgar machnął mieczem i jednym ciosem powalił straszego Zorga. Zwycięstwo! – krzyknął głośno”.



Dałbym głowę, że Edgar puszcza do nas oko.

Powoli zamykam książkę, wyobrażając sobie, jak Buła krzyczy „Cięcie!”, a pozostali uśmiechają się i gratulują sobie dobrze wykonanej roboty.

– Ciekawe – mówi Delilah. – Inaczej to zapamiętałam.

– Czyżby? – Obejmuję ją i przyciągam. – A jak?

– Bardziej tak – odpowiada, po czym staje na palcach i mnie całuje.

Ma rację. Właśnie tak powinna kończyć się bajka. Ale teraz, kiedy patrzę w górę, nie widzę słowa KONIEC nad głową.

Pewnie dlatego, że to dopiero początek.



PODZIĘKOWANIA

Podobnie jak w przypadku bajki, której ożywienie wymaga zaangażowania konkretnej obsady, tak nasza książka nie powstałaby bez udziału liczного grona osób. Chciałybyśmy podziękować całemu zespołowi z Emily Bestler Books oraz z Simon Pulse, który podzielił nasz entuzjazm: Kate Cetrulo, Caroline Porter, Judith Curr, Carolyn Reidy, Davidowi Brownowi, Ariele Fredman, Mellony Torres, Jonowi Andersonowi, Bethany Buck, Marze Anastas, Michaelowi Strotherowi, Lucille Rettino, Sooji Kim, Carolyn Swerdloff, Dawn Ryan, Lauren Forte, Jessica Handelman, Mike'owi Rosamilia, Russellowi Gordonowi, Julie Doebler, Paulowi Crichtonowi, Nicole Russo, Michelle Fadlalla, Laurze Antonacci i Venessie Williams. Dziękujemy również Camille McDuffie i Kathleen Carter Zrelak za pomoc w rozpuszczaniu wici!

Specjalne podziękowania dla Emily Bestler i Jen Klonsky za pomoc w doprecyzowaniu naszego wyimaginowanego świata i za aprobatę, że końcowy efekt ma być nieco „nietypowy” jak na książkę dla młodzieży. W tym kapryśnym świecie książek elektronicznych zależało nam na stworzeniu opowieści, którą chce się zachować „na zawsze” – przekazać dzieciom z uwagi na jej piękne wydanie – by stała się tym samym, czym książka jest dla Delilah. I podobnie jak w przypadku cudnych rycin Arthura Rackhama z przełomu stulecia, nasza powieść miała zapierać dech w piersi. Dzięki wsparciu Emily i Jen nasz cel został osiągnięty.

I dlatego musimy również podziękować Yvonne Gilbert, która ożywiła naszego przystojnego księcia, a także Scottowi M. Fischerowi – jego miniatury nie przestają nas zachwycać. Wasza wizja i zaangażowanie w to przedsięwzięcie po prostu zbiły nas z nóg.

Dziękujemy też Laurze Gross, za to, że zachęciła nas do podjęcia pomysłu Sammy, a także Timowi van Leer i Jane Picoult, którzy czytali brudnopis i śmiali się w odpowiednich miejscach.

I dziękujemy wszystkim czytelnikom Jodi, którzy od lat prosili o opowieść nadającą się dla dzieci – niekiedy zbyt młodych, aby zmierzyć się z kwestiami zawartymi w jej powieściach dla dorosłych. Mamy nadzieję, że wspólna lektura sprawia im tyle frajdy, ile my miałyśmy jej przy pisaniu.

